LEKCJA GEOPOLITYKI

Warzecha bez owijania w bawełnę o relacjach Polski ze Stanami Zjednoczonymi

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 2/509 9–15 STYCZNIA 2023

CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Czy Bruksela próbuje oderwać Śląsk od Polski?

JAK DZIŚ WYGLĄDA ŻYCIE W KIJOWIE

Fotowoltaika, czyli z rosyjskiego deszczu pod chińską rynnę

WYDANIE SPECJALNE

DOKOŃCZONY PONTYFIKAT

Pożegnanie Benedykta XVI

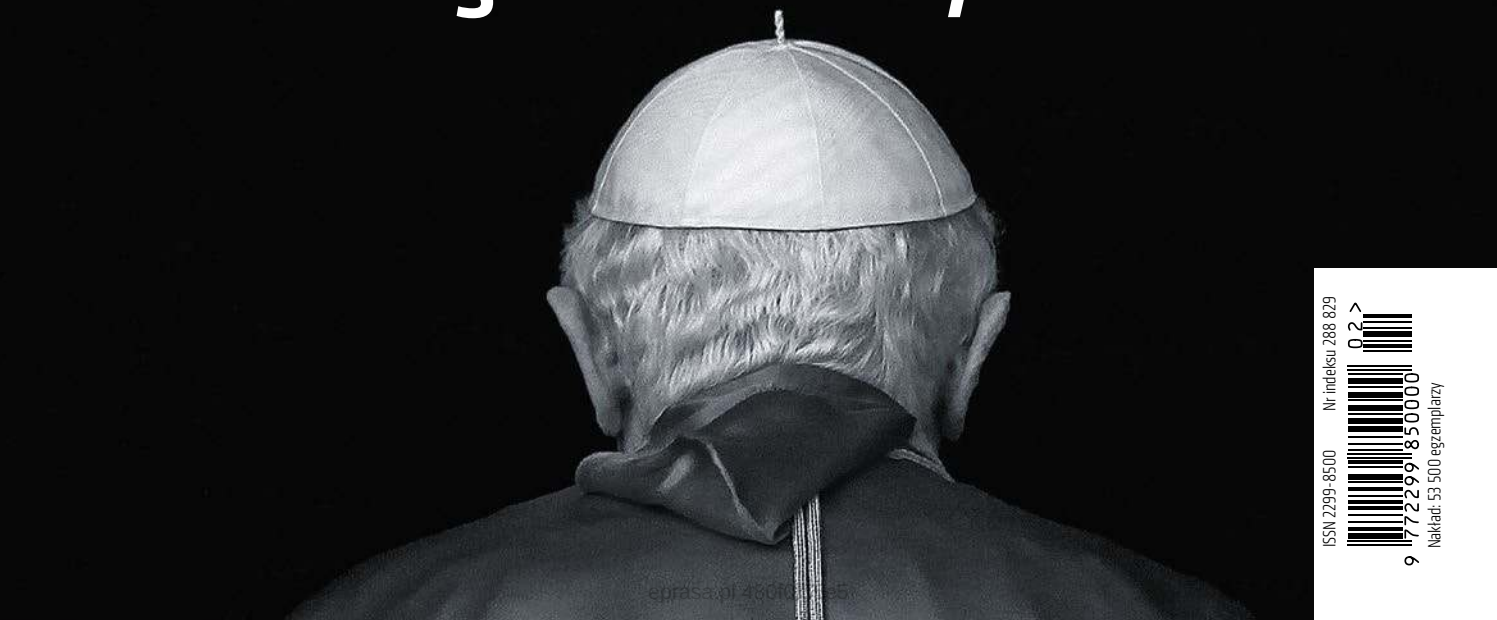

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

Nakład: 53 500 egzemplarzy

eprasa.pl 4601

REPUBLIKA

DZIENNIKARSKI POKER

od **poniedziałku**
do **czwartku**
19:10

Podsumowanie najważniejszych wydarzeń dnia w Telewizji Republika z udziałem zaproszonych do studia polityków, dziennikarzy, komentatorów i ludzi kultury.

Prowadzą: **Adrian Stankowski**, **Piotr Lisiewicz** i **Tomasz Sakiewicz**

RepublikaTV @RepublikaTV Telewizja Republika @RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

eprasa.pl 480f0f55e5

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Trwałe dziedzictwo Benedykta

Myśląc o śmierci Benedykta XVI, nie mogę się uwolnić od dwóch obrazów. Ten pierwszy sprzed dwudziestu kilku lat, kiedy pierwszy i jedyny raz w życiu spotkałem go osobiście, w Krakowie, gdzie udzielił mi (a ściślej nam, bo byłem tam razem z Grzegorzem Górnym i Rafałem Smoczyńskim z „Frondy") dużego wywiadu w całości poświęconego niebezpieczeństwu relatywizmu. Sam wywiad ukazał się wtedy najpierw we fragmentach w „Rzeczpospolitej", potem w całości we „Frondzie", a później w innych pismach, aż wylądował w XVI tomie dzieł zebranych Josepha Ratzingera/Benedykta XVI. Uderzyło mnie wtedy to niezwykłe zderzenie: z jednej strony rozmawiałem z prefektem Kongregacji Nauki Wiary, jak mówiono, drugim najpotężniejszym po papieżu człowiekiem w Kościele. Sama Kongregacja zastąpiła przecież Święte Oficjum, a to było z kolei nowym wcieleniem słynnej rzymskiej inkwizycji, prawdziwej bête noire liberalnego Zachodu. Otóż ten, jak go wtedy nazywano, „pancerny kardynał", „potężny inkwizytor" nieśmiało się uśmiechał, mówił spokojnie, nie unosił głosu, nie miał też żadnych oznak majestatu czy tym bardziej grozy. Był przede wszystkim profesorem. Tłumaczył, argumentował, podawał racje, wyjaśniał. I drugi obraz już tylko z telewizji: chwila, kiedy do wiernych dociera wieść o abdykacji z Tronu Piotra i na placu słychać szlochanie, widać łzy, ból. Mnie też coś porusza, przeszywa. Dlaczego ustąpił? Co się stało?

Myślę, że to zagadka, która nie została tak naprawdę wyjaśniona. Z jednej strony to, co mówił sam Benedykt, niezbyt przekonywało. Jako powód abdykacji podawał zmęczenie, kłopoty zdrowotne, obawy przed zdolnością do wypełniania misji papieskiej. Ale przecież zachował jasność umysłu i, przynajmniej przez kilka lat po abdykacji, siły. Na samym początku XX w. Leon XIII rządził aż do śmierci w wieku 91 lat. Z drugiej strony w miarę czasu tak papież senior, bo w ten sposób chciał się nazywać Benedykt, wskazywał, że abdykacja miała inny, wyższy cel. Że chodziło o swego rodzaju zmianę samego urzędu papieskiego, jego mutację, podział na to, co czynne i bierne. Oznaczałoby to, że ten papież, którego wielu uważało za ostoję konserwatyzmu i tradycjonalizmu, dokonał najbardziej rewolucyjnego aktu w historii papiestwa.

Zastanawiam się, czy ten brak jasności, ta dwuznaczność i niepewność nie były po prostu najważniejszą cechą umysłowości, a także całego pontyfikatu Benedykta XVI. W przeciwieństwie do swoich poprzedników doskonale rozumiał potrzebę ciągłości. To, co drogie, święte i nienaruszalne dla poprzednich pokoleń katolików, musi być takie i dla nas, inaczej Kościół popada w schizofrenię. Jednak od tego rozumienia do ustalenia prawdziwych przyczyn choroby, a tym bardziej do zaaplikowania lekarstw droga jest daleka. Kardynał Joseph Ratzinger, Benedykt XVI i wreszcie papież senior zawsze podkreślał, że jedyne prawdziwe przezwyciężenie kryzysu musi się zaczynać od przyjęcia dokumentów Soboru Watykańskiego II. Owszem, dostrzegał błędy i słabości współczesnego mu katolicyzmu, ale widział w nich wypaczenia, błędny rozwój tego, co nazywał „antyduchem soboru" czy też „soborem mediów". Tym samym nie był gotów do dokonania krytycznej rewizji właśnie tych zasad zawartych w dokumentach soborowych – jak uznanie wolności religijnej, ekumenizmu, dialogu międzyreligijnego – które to, jak sądzę, musiały prowadzić do skutków, które zwalczał. Z tego powodu „hermeneutyka ciągłości", do której wzywał, musiała się zakończyć fiaskiem, czego symbolem były kolejne decyzje podejmowane przez jego następcę. Przepaść między katolicyzmem w roku 2023 a tym w roku 1962 nigdy nie była równie głęboka jak obecnie. Zerwanie i nieciągłość to wręcz cechy wyróżniające postępowanie Franciszka.

Wbrew opowieściom medialnym Benedykt XVI nie prowadził katolickiej rekonkwisty; zwalczał najbardziej jaskrawe przejawy patologii współczesnego chrześcijaństwa i liberalnej kultury. Przeciwstawił się temu, co Jan Paweł II nazywał „cywilizacją śmierci": powszechnej zgodzie na aborcję, promocji wynaturzeń pod wdzięczną nazwą ideologii LGBT (za jego pontyfikatu i po nim dochodziły kolejne literki), wreszcie eutanazji. Jasno krytykował wprowadzenie w różnych państwach Zachodu tzw. homomałżeństw. Nasilił też walkę z klikami homoseksualnymi w Kościele, szczególnie przeciwstawiając się przyjmowaniu homoseksualistów do seminariów katolickich.

Trudno powiedzieć, żeby jego poczynania przyniosły oczekiwany rezultat. Być może trafił na zbyt silny opór, a być może zabrakło mu woli. Na pewno jednak udało mu się jedno: stworzył atmosferę, w której w Kościele mogło się odrodzić to, co najbardziej katolickie: przywiązanie do Tradycji i sprzeciw wobec dyktatury relatywizmu. To coś, co na pewno będzie jego trwałym dziedzictwem. ©℗

eprasa.pl 480f0f55e5

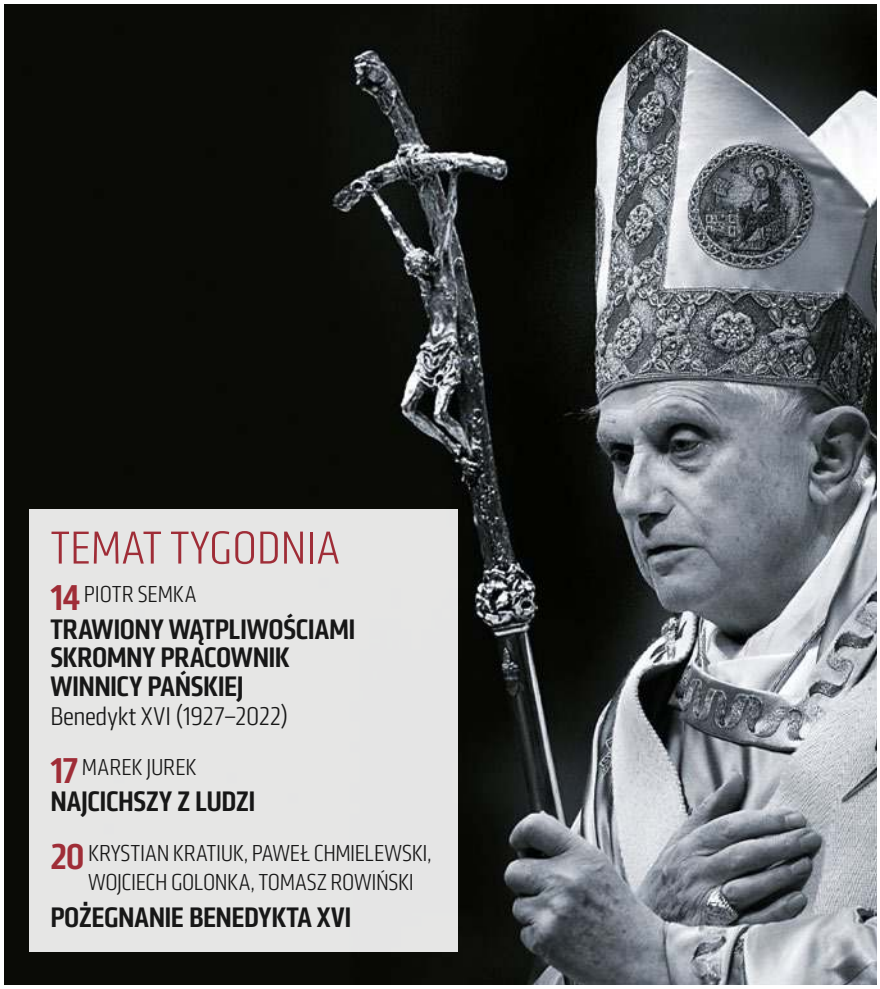

TEMAT TYGODNIA

14 PIOTR SEMKA
TRAWIONY WĄTPLIWOŚCIAMI SKROMNY PRACOWNIK WINNICY PAŃSKIEJ
Benedykt XVI (1927–2022)

17 MAREK JUREK
NAJCICHSZY Z LUDZI

20 KRYSTIAN KRATIUK, PAWEŁ CHMIELEWSKI, WOJCIECH GOLONKA, TOMASZ ROWIŃSKI
POŻEGNANIE BENEDYKTA XVI

KRAJ

22 ROZMOWA Z MARCINEM PALADE
WŁADZA SIĘ ODKLEIŁA OD RZECZYWISTOŚCI
Nastroje Polaków w roku wyborczym

26 ANDRZEJ KRZYSTYNIAK
CZY BRUKSELA PRÓBUJE ODERWAĆ ŚLĄSK OD POLSKI?

28 JAN FIEDORCZUK
NOWA NADZIEJA KORWINISTÓW?

30 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
SYLWESTER Z PIEKŁA RODEM

32 ROZMOWA Z MARCINEM WARCHOŁEM
NIKOGO NIE BĘDĘ PRZEPRASZAŁ

34 ŁUKASZ ZBORALSKI
CICHA PRYWATYZACJA EDUKACJI

36 ZUZANNA DĄBROWSKA
CZY MOŻNA CHWALIĆ KOŚCIÓŁ?

KULTURA

38 DARIUSZ WIEROMIEJCZYK
SOLIDARNOŚĆ SEKSWORKEREK
Nowa produkcja Netflixa

40 PIOTR GOCIEK
ZŁO CZAI SIĘ WSZĘDZIE

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

48 ŁUKASZ WARZECHA
POLITYKA ULEGŁOŚCI
Polska wasalem USA

52 TOMASZ ROWIŃSKI
USUWANIE KSIĘDZA PRO-LIFERA

HISTORIA

54 KRZYSZTOF MASŁOŃ
ROMUALD SPASOWSKI: PERSONA NON GRATA
„Spowiedź ambasadora" wreszcie po polsku

ŚWIAT

60 ROZMOWA Z PROF. LUBOMÍREM KOPEČKIEM
WIELKI ZNAK ZAPYTANIA
Kto będzie nowym prezydentem Czech?

63 ROZMOWA Z JAROSŁAWĄ KRAWCZENKO
JAK SIĘ DZIŚ ŻYJE W KIJOWIE

66 WITOLD REPETOWICZ
WOJNA O AFRYKĘ

68 PIOTR WŁOCZYK
HOMO REPUBLICANUS

EKONOMIA

70 JAKUB WOZINSKI
Z ROSYJSKIEGO DESZCZU POD CHIŃSKĄ RYNNĘ
Groźne kulisy ekorewolucji

SPORT

72 TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT
PIŁKARZ WSZECH CZASÓW
Pelé (1940–2022)

ŻYCIE I NAUKA

74 ADAM ZUBEK
NEOTROPICIELE
Przeczesywanie Kosmosu

FELIETONY:

SEMKA (5), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), GABRYEL, WARZECHA (51), ŻEBROWSKI, KOPER (58), PRZYBYLSKI (59), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (80), KUCHARCZYK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 480f0f55e5

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Robienie z tata wariata

Nic się nie stało, prawico, nic się nie stało". Mijają dni od tęczowej demonstracji Black Eyed Peas na Sylwestrze Marzeń, a przekonywanie, że nic takiego się nie stało, jest już domeną nie tylko ludzi TVP, lecz także czołowych polityków PiS. Z najwyższych kręgów rządzącej partii dowiedzieliśmy się, że „nie wolno ograniczać jakiejkolwiek ekspresji artystycznej zespołów, które wykonują swój program". Usłyszeliśmy też, że „PiS dba o rodzinę, o to, aby wszystkie wartości bliskie sercom ogromnej większości Polaków były pielęgnowane, ale też jest bardzo tolerancyjny dla wszystkich". Dodatkowo padła jeszcze solenna deklaracja, że „nikt nie będzie cenzurował w najmniejszym stopniu ekspresji artystycznej".

Wyborcy prawicy mieli wszelkie prawo do tego, by po wysłuchaniu takich deklaracji czuć się traktowani jak małe dzieci. Nagle wmawia się im, że wrażenie ostrej wojny propagandowej o Sylwestra Marzeń było tylko ich złudzeniem. Tak jakby nie przeprowadzono gigantycznej operacji propagandowej, aby skłonić Melani C do wycofania się z zakopiańskiej imprezy, a potem jakby „ktoś" nie wykonał odpowiedniej pracy agitacyjnej, aby amerykański zespół uparł się, by założyć tęczowe opaski. Opaski, które w dzisiejszych realiach nie oznaczają idealistycznej chęci, by wszyscy bez wyjątku cieszyli się szacunkiem, ale w Polsce kojarzą się np. z awanturą i profanacją figury Jezusa Ukrzyżowanego na Krakowskim Przedmieściu czy profanacją obrazu jasnogórskiego.

Nie będę tu wnikał, kto na Woronicza odpowiada za to, że po „koszu", którego telewizja dostała od Melanii C, zamiast niej zaproszono za grube pieniądze zespół, po którym można było się spodziewać dokładnie takiej demonstracji, którą zobaczyliśmy w sylwestrową noc. Dla wyborców prawicy o wiele poważniejsze jest co innego. Czołowi politycy PiS zaczynają wchodzić w narzuconą przez lewicę retorykę, w myśl której tęczowe opaski nie powinny kojarzyć się nikomu z żadną polityką ani z żadnym konfliktem cywilizacyjnym. Od tego już niedaleka droga do samokrytyki za poruszanie kwestii LGBT w czasie kampanii prezydenckiej Andrzeja Dudy. A przecież wtedy walczący o reelekcję prezydent nie kierował się żadną nienawiścią do osób pragnących żyć w związkach jednopłciowych. Jeśli poruszał ten temat, to dlatego, że przestrzegał przed wyborem Rafała Trzaskowskiego jako polityka, który w Warszawie wprowadzał programy preferencyjne dla osób spod znaku tęczowej flagi i oskarżany był o wpuszczanie tęczowych aktywistów do szkół bez wiedzy rodziców. To takie pomysły budziły sprzeciw, a nie jakaś wyimaginowana niechęć do homoseksualistów.

Zbliża się kampania wyborcza, w której Prawo i Sprawiedliwość będzie potrzebowało każdego głosu z prawej strony. Robienie z tata wariata na pewno w takiej mobilizacji nie pomoże. Zaufanie zdobywa się długo, a trwoni szybko. Ciekawe, czy na szczytach rządzącej partii znany jest nowy gorzki dowcip: Kto będzie nowym rzecznikiem PiS? Jak to kto?! Tomasz Kammel! ©℗

FOT. ZOFIA BAZAK/EAST NEWS

OMNIBUS OBNAŻYŁ FAŁSZYWE PROMOCJE

Udawane rabaty czy podwyżki zamiast obniżek. O tym, że handlowcom nieobce są nieuczciwe zagrania, od lat wiedziało wielu klientów. Od 1 stycznia obecnego roku łatwiej przyłapać sklepy na fałszywych promocjach. W życie weszła bowiem unijna dyrektywa Omnibus, która nakłada na sklepy obowiązek informowania klientów o tym, jaka była najniższa cena produktu będącego obecnie w ofercie promocyjnej w ciągu ostatnich 30 dni. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 480f0f55e5

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Kamila Gala, Zofia Magdziak, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło.**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Stefan Wermuth/WPA Pool/Getty Images**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Agnieszka Jabłońska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek,** tel.: 508 040 664, pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829, Nakład 53 500 egzemplarzy
NAKŁAD KONTROLOWANY

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.
PRENUMERATA: **Prenumerata realizowana przez RUCH SA:**
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Przyszedł mnie nawracać", Barbara Gruszka-Zych, „DRz" nr 51/2022

Nie jestem miłośniczką twórczości ks. Jana Twardowskiego, o której pisze się tylko na kolanach, podobnie jak o autorze. Zawsze dziwiłam się, że jego proste „wierszyki" były tak lansowane i wydawane w masowych nakładach, a niektóre sformułowania (wielokrotnie powtarzane) nabrały rangi banału. Hipotetyczną przyczynę znalazłam w książce Joanny Siedleckiej „Biografie odtajnione. Z archiwów literackich bezpieki" (wyd. Zysk i S-ka). Na stronie 396 znajdziemy kwestionariusz rejestracyjny ks. Jana Twardowskiego. Ksiądz Jan Twardowski został zarejestrowany w 1987 r. jako TW „Poeta" ze względu na swoją „propaństwową postawę – chętnie i pełne cennych informacji rozmowy o Kościele toczone od roku 1980 z oficerem SB, którego przyjmował u siebie". „Realizował też jego polecenia, wygłaszając homilie nawołujące do spokoju, zamykając kościół zaraz po mszach, uniemożliwiając schronienie uczestnikom solidarnościowych manifestacji, uciekającym przed pałkami ZOMO" – pisze Joanna Siedlecka.

Wyobrażam sobie głosy oburzenia wielu czytelników i pytania typu: „Po co grzebać w przeszłości i »szargać świętości«?". Odpowiadam, że w imię prawdy. W imię prawdy i szacunku dla tych, którzy się nie dali złamać SB, płacąc za to często wysoką cenę.

Barbara Kęcińska-Lempka

Od autorki

W książce Magdaleny Grzebałkowskiej „Ksiądz Paradoks", w żadnym wypadku niebędącej hagiografią ks. Jana Twardowskiego, autorka odnosi się do niesłusznego oskarżenia go o współpracę z SB. „Od 1980 roku ks. Twardowskiego co jakiś czas odwiedzali przedstawiciele SB. W 1987 roku Jan Twardowski został zarejestrowany jako tajny współpracownik »Poeta«, w 1989 roku współpracę rozwiązano". Wojciech Polak, historyk z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, uważa, że ks. Twardowski nie wiedział o rejestracji jako TW. „Żaden dokument nie świadczy o świadomej współpracy księdza z bezpieką" – ocenia Polak.

– Rozmowy z esbekami, które czytałam, o niczym nie świadczą – uważa

eprasa.pl 480f0f55e5

Grzebałkowska, która przed rozpoczęciem pisania książki zaznaczyła wydawcy, że jeśli trafi na jakikolwiek kontrowersyjny temat, to bez wahania o nim napisze. – Ksiądz Jan mógł zostać wpisany na listę raczej jako kandydat na TW. Jestem pewna, że nie donosił.

Co do wierszy ks. Jana Twardowskiego, do których autorka oskarżycielskiego listu odnosi się z takim lekceważeniem, wszyscy wiemy, że ludzie mają gusty i guściki. Nie będę pisać, do której kategorii, według mnie, należy przytoczona opinia. Nikt jednak nie może podważyć znaczenia setek tekstów napisanych przez badaczy literatury, zajmujących się poezją ks. Jana Twardowskiego, powstałych w oparciu o nie prac magisterskich i doktorskich. Już nie wspomnę o takich jak ja miłośnikach literatury, których przychodził nawracać – także przez swoje wiersze.

Barbara Gruszka-Zych

„Matrona od dekonstrukcji", Zuzanna Dąbrowska, „DRz" nr 50/2022

W odpowiedzi na artykuł pt. „Matrona od dekonstrukcji", który ukazał się 12 grudnia 2022 r. w „Do Rzeczy", pragnę przekazać Czytelnikom tygodnika kilka słów wyjaśnienia w sprawie wyboru dyrektora i finansowania Teatru Dramatycznego w Warszawie.

Dyrektora Teatru Dramatycznego powołuje organizator – w tym przypadku jest to Prezydent m.st. Warszawy – na podstawie przeprowadzanego konkursu. Zgodnie z Ustawą z dnia 25 października 1991 r. o organizowaniu i prowadzeniu działalności kulturalnej w skład komisji konkursowej wchodzi:

1) trzech przedstawicieli organizatora (m.st. Warszawy);
2) dwóch przedstawicieli ministra właściwego do spraw kultury i ochrony dziedzictwa narodowego;
3) dwóch przedstawicieli zakładowych organizacji związkowych;
4) dwóch przedstawicieli stowarzyszeń zawodowych lub twórczych właściwych ze względu na zakres działania tej instytucji kultury.

W komisji konkursowej na dyrektora Teatru Dramatycznego w Warszawie rzeczywiście było dwoje przedstawicieli Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Przedstawiciele Ministra KiDN jako jedyni byli przeciwni kandydaturze p. Moniki Strzępki, m.in. z uwagi na zawarty w jej programie kontrowersyjny, wykluczający charakter inscenizacji, odejście od tradycji Teatru Dramatycznego w Warszawie oraz niedopasowanie oferty do „widzów środka". Przy dziewięcioosobowym składzie komisji konkursowej dwa głosy sprzeciwu przedstawicieli MKiDN nie mogły jednak przesądzić o braku wyboru kandydatki na dyrektora.

Ponadto należy podkreślić, że Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego nie finansuje działalności Teatru Dramatycznego m.st. Warszawy (bo tak brzmi pełna nazwa teatru), który jest instytucją m.st. Warszawy. Wspierało natomiast – w ramach Programów Ministra – projekty, które uzyskały dofinansowanie w trybie konkursowym podczas kadencji poprzedniego dyrektora, a dotyczyły przede wszystkim dostosowania instytucji do potrzeb osób z niepełnosprawnościami oraz zakończonego w maju 2022 r. (czyli również za kadencji poprzedniego dyrektora) festiwalu Warszawskie Spotkania Teatralne.

Z wyrazami szacunku
Anna Pawłowska-Pojawa,
Dyrektor Centrum Informacyjnego,
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

NEKROLOG

Naszemu Koledze

Kosmie Złotowskiemu

Wyrazy głębokiego współczucia

z powodu śmierci

ŚP.

Taty

w imieniu grupy Europejskich Konserwatystów i Reformatorów składa Ryszard Legutko

NEKROLOG

Z OGROMNYM SMUTKIEM PRZYJĘLIŚMY WIADOMOŚĆ

O ŚMIERCI

ŚP.

AGATY GAŁUSZKI-GÓRSKIEJ

ZASTĘPCY PROKURATORA KRAJOWEGO WYBITNEGO PROKURATORA WSPANIAŁEGO CZŁOWIEKA

RODZINIE I NAJBLIŻSZYM PRZEKAZUJEMY W TYM TRUDNYM CZASIE WYRAZY SZCZEREGO WSPARCIA I WSPÓŁCZUCIA

PIERWSZY ZASTĘPCA PROKURATORA GENERALNEGO PROKURATOR KRAJOWY

ZASTĘPCY PROKURATORA GENERALNEGO WSPÓŁPRACOWNICY Z PROKURATURY KRAJOWEJ

eprasa.pl 480f0f55e5

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Niesubordynowane wirusy

Stało się coś doprawdy nie do przewidzenia. Coś, w każdym razie, czego nie przewidziały nasze potężne media, butne profesory oraz autorytety polityczne, medyczne i „dwu-płciowe" (że tak Norwidem pojadę): okazało się, że jak się ograniczyło w panice przed COVID-19 kontakty między ludźmi i przekazywanie sobie przez nich patogenów, to poza wszystkimi fatalnymi skutkami ubocznymi tej operacji okazała się ona powodować ogromny wzrost zachorowań. Ludzie „uchronieni" przez państwowe restrykcje przed kontaktem z wirusami i bakteriami stracili bowiem mocno na odporności na owe bakterie i wirusy, nawet te „banalne", i kiedy w końcu zaczęli się z nimi stykać, „zwykła" grypa przybrała rozmiary epidemii dużo groźniejszej niż kiedykolwiek.

No, skłamałem, mówiąc, że nikt takiego efektu nie przewidział – było takich kilku, ale – jak np. ostatnio dr Zbigniew Martyka – spotkali się oni z surową karą za głoszenie herezji. Herezje były wprawdzie zgodne z medyczną wiedzą i doświadczeniem wielu pokoleń – bakterie i wirusy, zwłaszcza te drugie, stale mutują i nie ma innej rady niż przechodzić infekcje i w ten sposób zyskiwać skuteczne przeciwciała. Po to wymyślono medycynę, żeby to ludziom ułatwiać. Ale teraz wymyślono, że zamiast szukać leku na nową mutację wirusa i pomagać ludziom przetrwać do czasu, aż naturalną koleją rzeczy wirus złagodnieje, można wszystkich pozamykać w domach i czekać nie wiadomo na co. Na szczepionkę? Bzdura, szczepionka nie zapewni trwałej odporności, co też się właśnie pięknie okazało: nowy wariant COVID, nazwany „kraken", ponoć zupełnie się szczepieniami nie przejmuje, no bo to były szczepienia przeciwko wariantom poprzednim. Kto by na to wpadł, że z grypą COVID-19 będzie zupełnie tak samo, jak z każdą inną? Poza takimi „foliarzami" jak wspomniany doktor.

Najgorsze, że ofiarami głupich pomysłów polityków, którzy chcieli się wykazać, jak bardzo chronią wyborców przed pandemią, i wąsko specjalizowanych profesorów, którzy poczuli się przy nich bardzo ważni, w największym stopniu padły dzieci. Ale tak jest przecież zawsze… ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Angor Patriae

Niepokój o przyszłość Ojczyzny to jedno z najszlachetniejszych uczuć. Tak jak niepokój o rodziców, współmałżonka, dzieci, przyjaciół. Przyszłość jest niepewna, chęć jej kontroli to nakaz natury, a dysponowanie środkami do tego potrzebnymi to realna miara wolności. Oczywiście nawet uzasadniony niepokój nie jest cnotą absolutną. Chrześcijaństwo i stoicyzm uczą, jak również w tym zachować umiar. Trudno jednak za „cnotę" uznać nieprzejmowanie się Ojczyzną, rodziną, przyjaciółmi, beztroski stosunek do przyszłości w ogóle.

Społeczeństwa Europy Środkowej obawiają się, że stracimy to, co odróżnia nas dziś od Europy Zachodniej. Na przykład, że w debacie publicznej będziemy coraz bardziej tracić poczucie dobra i zła. Bo dziś nasza kultura ciągle jest bliższa Dekalogowi niż w państwach zaawansowanego liberalizmu. Cześć dla religii, szacunek dla rodziców, wierność małżeńska to ciągle dla nas wartości. Oczywiście wartości (jak mówi socjologia) „deklarowane", bo znacznie mniej kontestowane niż w świecie liberalnym. „Our" values, ich wartości – to przecież niewyróżnianie odziedziczonej wiary, ograniczanie władzy rodzicielskiej, deregulacja seksualna. Wystarczy poczytać rezolucje Parlamentu Europejskiego, by się o tym przekonać.

Obawy żywimy jednak wszyscy, to nas nie różni. Tyle że za „populizm" nie uchodzi straszenie społeczeństwa polexitem przy najmniejszym odruchu opozycji wobec władz UE. Tak samo jak nie jest „populizmem" szerzenie lęków przed chodzeniem do kościoła w czasie kwarantanny. To nie tylko lęki uzasadnione, ale wręcz dla rozwoju społeczeństwa liberalnego niezbędne. Wyeliminować należy jedynie nacjonalistyczne obawy o przyszłość Ojczyzny, o ciągłość tradycji, o demograficzne przetrwanie narodu. To wcale nie jest pozbawianie ludzi instynktu samozachowawczego. Wręcz przeciwnie, niech każdy troszczy się o siebie jak najwięcej. Świat wtedy będzie lepszy i łatwiej będzie nim rządzić. ©℗

eprasa.pl 480f0f55e5

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

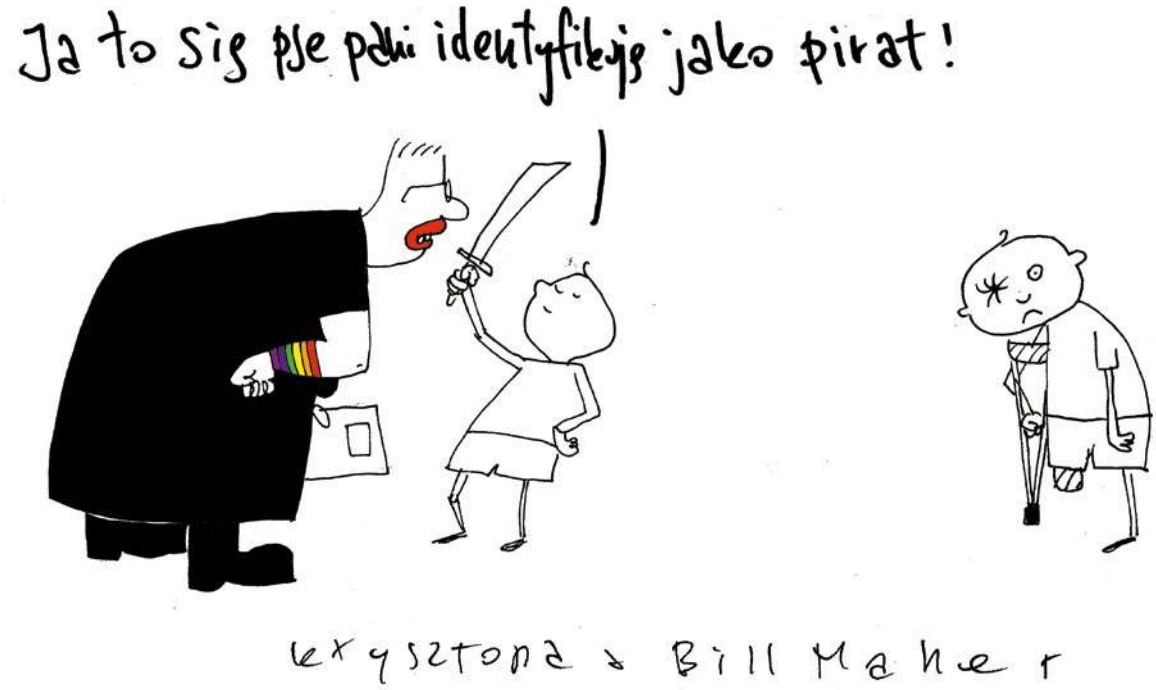

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O rybaku ludzi

Luca Casarini (55 lat) to zawodowy, sprytny zadymiarz i organizator protestów przeciw wszystkim i wszystkiemu: bazom NATO w Italii, wojnie w Afganistanie i Iraku, imperializmowi w ogóle, a jego amerykańskiej odmianie w szczególe. Premier Romano Prodi wynagrodził to aktywiście intratną posadą doradcy w swoim rządzie. Potem gwiazda Casariniego nieco przygasła. Z ramienia wszelkich możliwych lewicowych partyjek kandydował w wielu wyborach, powszechnych i lokalnych, ale zaufania wyborców nie zdobył.

Casarini zwietrzył biznes. Jego stateczek wziął kurs na Sycylię, a zadymiarz rozpoczął negocjacje z armatorem. Zaproponował, że weźmie migrantów na pokład swego „Mare Jonio”

W końcu założył organizację pozarządową, zebrał trochę forsy od swoich superpostępowych sponsorów, zakupił stateczek „Mare Jonio” i wyruszył na Morze Śródziemne ratować migrantów. Okazja, by zarobić na tych nieszczęśnikach trochę grosza, sama zapukała do drzwi. W sierpniu 2020 r. duński zbiornikowiec „Maersk Etienne” na Morzu Śródziemnym wziął na pokład 27 migrantów z uszkodzonej łódki i popłynął w kierunku Sycylii. Ale sprawy zaczęły się ślimaczyć. Nie wiadomo było, kto ma przyjąć migrantów. Ani Malta, ani Italia, ani Dania nie miały na to najmniejszej ochoty. Targi trwały cztery tygodnie. Duński statek, zamiast przywieźć ropę czekającym odbiorcom, grzecznie stał na kotwicy u południowych wybrzeży Sycylii, a armator z każdym upływającym dniem tracił coraz więcej pieniędzy.

Casarini zwietrzył biznes. Jego stateczek wziął kurs na Sycylię, a zadymiarz rozpoczął negocjacje z armatorem. Zaproponował Duńczykowi, że weźmie migrantów na pokład swego „Mare Jonio” i wybawi go z kłopotów. Chciał 300 tys. euro. W końcu stanęło na 125 tys. Zarobek niezły: ponad 4,6 tys. euro za migranta na trasie długości kilkunastu mil. „Mare Jonio” jako włoski statek włoskiej organizacji bez przeszkód wpłynął do portu w Pozzallo. Włosi zajęli się migrantami, a Casarini z towarzyszami otworzyli szampana.

Za wcześnie. Wszystko się wydało. Wyrokiem sądu wydrwigrosz musi pieniądze zwrócić, a teraz będzie odpowiadał za handel żywym towarem. ©℗

eprasa.pl 480f0f55e5

ZUZANNA DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

FOT. ADAM JANKOWSKI/REPORTER

TYSIO ODKRYWA ŚWIAT

Gdyby myśleli państwo, że w okresie świąteczno-noworocznym nasze gwiazdy zamilkły i raczyły nas mniejszą liczbą bzdur niż zazwyczaj, to muszę państwa zmartwić: nie. Wręcz przeciwnie – wygląda na to, że większa ilość wolnego czasu (wolnego od chodzenia po branżowych imprezach – dodajmy) generuje jeszcze większą niż zazwyczaj potrzebę wymądrzania się. Fotograf Marcin Tyszka, znany z programu „Top Model", znienacka uznał, że koniecznie musi podzielić się ze światem opinią na temat… tłumaczki języka migowego. „Wszystko rozumiem, jest tłumaczenie, ale nie można bardziej neutralnie? TVP… raczej trudno się skupić na kolędach" – narzekał pierwszego dnia świąt Bożego Narodzenia na Instagramie, komentując koncert kolęd. Tyszka wyraził zdziwienie nie tylko nadmierną ekspresją pani tłumaczki, lecz także samą jej obecnością. Fotograf przekonywał, że można przecież użyć napisów, a program emitować z tłumaczeniem na język migowy. „W dzisiejszych czasach to żaden problem, by emitować kanał z tłumaczeniem lub bez, można też dodać napisy jak w kinie lub Netflix" – twierdzi juror „Top Model". Bardzo ciekawie „Tysiowi" odpowiedziała krytykowana przez niego tłumaczka, znana i lubiana przez widzów TVP Małgorzata Limanówka. „Tłumaczenie artystyczne ma to do siebie, że poprzez mimikę transferujemy emocje utworu oraz nastrój pieśni, w tym wykonaniu kolędy. To, jak dla osób słyszących wygląda tłumaczenie, jest precyzyjną informacją na poziomie leksykalnym oraz gramatycznym" – wyjaśniła. „Język migowy nie jest do »oglądania«, tylko do przekazywania treści z języka wyjściowego" – zaznaczyła tłumaczka. Na koniec dała jurorowi „Top Model" cenną radę: „Panu, Panie Tyszko, życzę odwagi, aby to wszystko, co Pan pisze, mógł Pan wyrazić mnie osobiście. Internet to mała wieś, warto pamiętać". Warto dodać życzenie większej tolerancji na inność. Nie tylko na papierze.

TOURNÉE PO KOŚCIOŁACH

Marcina Tyszkę zawiodła tłumaczka języka migowego podczas koncertu kolęd, a Edytę Górniak zamknięte w Boże Narodzenie kościoły. Gwiazda poczuła bowiem potrzebę pomodlenia się za swoich fanów. W tym celu przemierzyła taksówką całe Zakopane i okolice, ale wszystkie świątynie były zamknięte. „Dobry wieczór, kochani. Chciałam ucałować wszystkich was w te piękne święta. Zawsze, ale szczególnie dziś. Szczególnie dziś chciałabym utulić tych, dla których te święta zawsze są wyzwaniem albo stały się wyzwaniem i trudem w tym roku. Chciałam się pomodlić za nas wszystkich, podziękować za łaski dla nas, za to, że dostaliśmy szansę zbawienia i dostajemy ją od nowa i od nowa. Ale niestety wszystkie kościoły w Zakopanem i w okolicach są pozamykane. Jeździłam tutaj taksówką i niestety wszystkie są zamknięte" – relacjonowała w sieci wokalistka. „Cóż to za czasy, że wyznaczone są godziny na modlitwę. Zawsze myślałam, że w takie święta kościół jest otwarty przez te wszystkie trzy dni, przez cały czas albo przynajmniej kapliczki są pootwierane. Czasami przecież lubimy się modlić sami" – stwierdziła Edzia. To naprawdę przedziwne – Górniak, która jeszcze niedawno mówiła, że „religie powstały po to, aby ludzi podzielić i nastawić ich przeciwko sobie", oraz że „Kościół musi się rozpaść", jest oburzona faktem, że świątynia nie jest otwarta 24/7. Chciałoby się zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi, ale to chyba przypadek beznadziejny. A właściwie – na pewno.

NIE TEN VIBE…

Jeżeli Edzi w Polsce jest tak ciężko, to może warto pójść śladami Justyny Gradek i rozważyć wyjazd z kraju? Modelka, (nie)naturalna piękność, w instagramowej sesji Q&A zorganizowanej dla fanów zapowiedziała, że pozałatwia w ojczyźnie kilka ważnych spraw i wkrótce wraca do Miami. „Muszę przyznać, że w Miami odnalazłam swoje miejsce na świecie. Mój vibe pasuje do tego miejsca. A w Polsce czuję się przygaszona. Jakoś ciężko mi tutaj…" – wyznała celebrytka. I żeby nie było, że nie ostrzegałam! Kilka tygodni temu alarmowałam w tej rubryce, że Dżasta rusza do USA. – Nie wiem, co się tam wydarzy. Ogólnie myślę, że jeżeli nadarzy się taka okazja, to tam zostanę. Mam bilet powrotny, ale kto wie, może nie wrócę. Lecę do mojej przyjaciółki Anety Glam. Będziemy się dobrze bawić, już na samym starcie idziemy na event Dolce & Gabbany – mówiła wtedy polska Kim Kardashian. Nikt nie zrobił nic, aby nasz skarb narodowy pozostał w Polsce. Wstyd! ©℗

eprasa.pl 480f0f55e5

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, oburzyliśmy się na wyniki plebiscytu na słowa roku, którymi zostały „wojna" oraz „inflacja". Te wybory wydają się nam takie jakieś dziaderskie – wiecie, jak z Noblem czy innymi nagrodami przyznawanymi przez komisje. Siedzi taka grupa starszych, białych, heteroseksualnych mężczyzn i rości sobie prawo do decydowania o tym, które słowo ma zostać wyróżnione spośród wielu innych słów. To przecież absurd.

Wszyscy wiemy, iż niestety jest wojna i inflacja. Taki plebiscyt był więc szansą, iżby zaakcentować inne zjawiska, potrzeby i wyzwania, z którymi mierzy się współczesny ten kraj. Można było zbudować inkluzywną narrację akceptacji i pójść w kierunku wyróżnienia słów związanych z prześladowanymi mniejszościami, przejawami katofashysmu czy nacjonalizmu.

A tymczasem słowo roku oddaje to, co najbardziej obchodzi tę komisję. Dlatego też nie liczylibyśmy na to, iż w najbliższych latach będą to słowa związane z tak ważnymi wyzwaniami jak: prawidłowe stosowanie zaimków, kryzys klimatyczny, aktywizm miejski czy rozdział Kościoła od państwa.

Trochę nas wkurza, iż wszyscy dookoła pytają nas o noworoczne postanowienia. Jakby posiadanie tzw. silnej woli miało być jakimkolwiek powodem do chwały czy zadowolenia. W zasadzie moglibyśmy odpowiedzieć dowcipnie i przewrotnie: tak, mamy jedno postanowienie, mianowicie, aby nie mieć żadnych postanowień.

Dobre, co nie?

No ale w sumie co niby mielibyśmy sobie postanowić? Nie będziemy się odchudzać, iż byłoby to przyłączenie się do ruchu tzw. body shaming. Na siłownię karnet możemy wykupić, iżby mieć się czym pochwalić w towarzystwie, no ale bez przesady, nie będziemy tam chodzić, to są jaskinie toksycznej męskości.

Widzimy też, iż niektóre osoby się flexują planowaną liczbą przeczytanych książek lub obejrzanych filmów. No kochani, można i tak. Ale czy to nie jest culture shaming wobec osób, które nie lubią czytać lub oglądać filmów, a wolą siedzieć na TikToku? Chyba nie chcecie, iżby w wyniku waszych postanowień ktoś się poczuł źle?

Zresztą sama, prawda, materia postanowień to jeden problem, a drugi to absurdalny pomysł, aby sobie coś postanowić, a potem kazać przyszłemu sobie tego dotrzymywać. To jest pomysł niedorzeczny i nietolerancyjny wobec przyszłej własnej osoby, która następnego dnia może być np. zmęczona postanowieniem ograniczenia używania fejsa.

Dlatego, jak mówiliśmy, my w tym wyścigu nie będziemy brać udziału i zachęcamy was do tego samego. A ocenianie czyjejś woli w kategorii słaba/silna to fashysm, patriarchat i toksyczna męskość.

Beka z TVP w ogóle, jak się dali przechytrzyć temu zespołowi, co kosztował ileś tam milionów dolarów, a który popularny był gdzieś z 20 lat temu. Przyjechali do stolicy polskiego folkloru i założyli tęczowe opaski, a lokalnym bacom pewnie aż skwaśniało mleko na oscypki xD

Jak sobie wyobrazimy, ile nerwów i narzekań wywołało to u wąsatych Januszów z podkarpacia, którzy chcieli w spokoju sobie zobaczyć Zenka, a zetknęli się z „promocją" LGBT, to aż się nam robi milej i przyjemniej.

I w ogóle bawią nas głosy, iż to wszystko było ustawione. No niby jak? Przecież telewizja nie zgodziłaby się na takie zagrywki, bo wiadomo, że kosztowała 2 mld, jest PiS-owska i za żadne skarby nie pozwoliłaby sobie na to, iżby posuwać się do takich makiawelicznych postępków. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Czajnik na gazie

Jak kolano, panie prezesie?
Kolano jak kolano, jest, boli. Waldek, ty mi lepiej powiedz w końcu, jak ty to KPO negocjowałeś? Bo tyle razy pytałem i mam cały czas wrażenie, że mi prawdy nie mówisz.

Oj, no jak negocjowałem... Normalnie, coś tam im przedstawiłem, oni mnie też coś, była kawa, ciasteczka... A jak łokieć? Znaczy, chciałem powiedzieć, kolano? O, konfitury przyniosłem.
Dziękuję, do herbaty się przydadzą. Ale tak konkretnie to co ty zaproponowałeś, a co oni? Mówią, że np. ten podatek od samochodów to nasz pomysł był.

Dużo tego było, dawno to było, nie pamiętam już dobrze, wie pan, tyle stron tekstu, jeszcze po angielsku... O, tutaj ciasto mam, osobiście kupiłem, z migdałami.
To może przypomnij sobie!

O, właśnie sobie przypomniałem: zostawiłem czajnik na gazie w domu, muszę pędzić! ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Kusiło mnie, żeby na akcję WOŚP w tym roku wystawić Konstytucję Rzeczypospolitej z fiolką łez".

SZYMON HOŁOWNIA, *lider Polska 2050, w rozmowie z Radiem Zet o swoich publicznych występach z płaczem*

eprasa.pl 480f0f55e5

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Łowy na krety – ten ciekawy, zwykle zarezerwowany dla kontrwywiadu sport znajduje zwolenników w TVP. Wszystko po tym, jak uszyto buty nowemu prezesowi telewizji z okazji Sylwestra Marzeń. Wiecie, o co chodzi: wszystkie te manewry z tym, kto chce swoim występem dołożyć dobrej zmianie. Z tego, co słyszeliśmy, łowy są o tyle ciekawe, że krety to kury.

Oczywiście „Kura" trzeba napisać dużą literą. Tak się bowiem składa, że ludzie poprzedniego prezesa Kury Kurskiego wciąż mogą wiele zamieszać na Woro. O czym przekonano się niespodziewanie podczas gali z okazji 70-lecia TVP. Tak się bowiem dziwnie złożyło, że lista osób zaproszonych na ekskluzywne afterparty odpowiadała preferencjom poprzedniego prezesa. A nie aktualnego. Aktualny nie musiał świecić jednak twarzą, gdyż był w tym czasie w bezpieczniejszym miejscu niż Woronicza – w Kijowie.

Ciekawa rzecz – wśród wierchuszki PiS panuje przekonanie, że to właśnie Jacek Kura Kurski nakręcił jazdę na TVP za Sylwestra Marzeń, wykorzystując SolPol. Przekonanie jest równie silne jak irytacja wywołana tym przekonaniem.

Teraz o innej radzie. TVN oburzył się na Krajową Radę Radiofonii i Telewizji, że zamierza zareagować na wniosek Antoniego Macierewicza i nałożyć na stację karę. Dodajmy, że nie cała KRRiT, bo optuje za tym głównie jej szef Maciek Świrski. Część członków Rady jest zdania, że nie powinno się w tej chwili irytować naszego sojusznika, którym są Stany Zjednoczone, a to właśnie Amerykanie są właścicielami żółto-niebieskiej stacji. Nie dziwi jednak, że się TVN zdenerwował. Nasze wiewiórki mówią o nałożeniu kary nawet w wysokości 170 mln zł. Dodajmy, że jest to suma, która może nawet zaboleć krezusów z Wiertniczej.

Pałacowi Prezydenckiemu nie udało się niestety przyćmić słynnego wyjazdu Jerzego Ossolińskiego do Rzymu z 1633 r.

Sprawy poważne też odnotowujemy. Ale lekko. Zatem: Pałacowi Prezydenckiemu nie udało się niestety przyćmić słynnego wjazdu Jerzego Ossolińskiego do Rzymu z 1633 r. Przypomnijmy: poseł ów, udający się w imieniu króla Władysława IV do papieża, stanął na czele orszaku liczącego kilkaset osób i wiele dziesiątek koni w rzędach, zdobionych diamentami, rubinami i szmaragdami. Konie były zaś podkute złotymi podkowami, które gubiły ku uciesze gawiedzi.

Wyjaśniamy: orszak prezydenta Andrzeja Sebastiana udający się w dwudniową delegację na pogrzeb Benedykta XVI był znacznie skromniejszy. Kilkadziesiąt raptem osób, z których wejściówki do sektora dla VIP dostało ledwo pięć. Reszta musiała stać z pospólstwem. Jeszcze skromniej wyglądał orszak premiera Morawieckiego. Co więcej, premier nawet żadnego orszaku ze sobą nie wziął. I wizytę też zaplanował krótką: pogrzeb, pożegnanie i powrót. Za Wazów nie do pomyślenia.

Odrobinę spóźniona wieść, bo sprawa miała miejsce tuż przed świętami. Otóż w PAŻP (taka instytucja zajmująca się kontrolą nieba nad Polską) wybuchła dzika awantura z powodu paczek świątecznych. Kontrolerzy lotów dostali czekoladowe mikołaje, ale nie wszyscy takie same. Część dostała figurki z Goplany, część z Wedla, ale najlepsze były te od szwajcarskiego Lindta. I o to cała awantura, bo goplanowcy i wedlowcy poczuli się poniżeni. Dla porządku przypomnijmy – kontroler lotniczy to taka osoba, która zarabia nieraz nawet i sto tysięcy. Nie rocznie. Miesięcznie. Jedyne określenie, jakie nam przychodzi do głowy, niestety nie nadaje się do druku.

Jeszcze jedna ciekawa wiadomość sprzed świąt. Pamiętacie, jak poseł Dariusz Rosati, postkomuszek, a obecnie gwiazda Kołalicji Łobywatelskiej, publicznie się chwalił, że miał COVID-19, a i tak poszedł do Sejmu głosować, by obalić Ziobrę? Pamiętacie, zwłaszcza że potem szef Rosatiego bronił tej decyzji w sposób głęboko kompromitujący. Cóż, w szeregach PiS poseł Czarnecki junior też złapał w owym czasie chińskiego wirusa, ale jego szef kazał mu zostać w domu. Wiecie, kto wygrał. A młody Czarnecki dostaje od nas na pocieszenie honorowego czekoladowego mikołaja.

eprasa.pl 480f0f55e5

Jeszcze o Eine Totalopposition. Jak donoszą wiewiórki, w szeregach PeŁo narasta przekonanie, że – trawestując Kazika – choć czasem są upadki i wzloty, to z Donaldem nic więcej, jak tylko kłopoty. Problem w tym, że szeptacze, także ci z wysokich stanowisk, nie mają pojęcia, jak problem rozwiązać. Odnotowujemy więc naturalną ciągłość w działaniach tej zasłużonej partii: kiedy nawet wiedzą, co trzeba zrobić, to nie wiedzą jak. Donald też tak miał.

Życzyliśmy Radkowi Sknerusowi Sikorskiemu w nowym roku pieniędzy za konsultacje od Arabów, ale dżin zamiast tego przyniósł mu eliksir mądrości. Eliksir trzeciego sortu, bo w efekcie Radek oświadczył, że nie rozumie, dlaczego mąż musi płacić żonie alimenty, skoro nie mieli dzieci. Czekamy na kolejne mądrości. Na przykład: Dlaczego po zjedzeniu obiadu w restauracji mamy płacić rachunek, skoro już nie jesteśmy głodni?

Powyższe refleksje u Radka wywołała sprawa Isabel vs. Kazik Marcinkiewicz. Odnotowujemy jego troskę o los kobiet skrupulatnie, bo to recydywa: Radek nie tylko chce im zabrać pieniądze, lecz także używał już wobec pań takich sformułowań jak „bura suka", „jakaś p..da" oraz „jak to mówią angielscy dżentelmeni: nie zrzuciłbym z końca członka", by wspomnieć tylko część. A mimo to kobiety chętniej głosują na PeŁO. Jak długo jeszcze?

W szeregach Peło narasta przekonanie, że choć czasem są upadki i wzloty, to z Donaldem nic więcej, jak tylko kłopoty

Nowy rok, stare głupoty. Dosłownie. Wczytaliśmy się bowiem w raport Amnesty International na temat triumfów praw człowieka na świecie w minionym roku 2022. Już na dzień dobry na jednym wydechu wymieniono przypadek prof. Faizullaha Jalala, który siedział cztery dni w więzieniu talibów w Afganistanie, oraz trzy dziewczątka z Polski, którym sąd puścił na sucho plakaty Matki Boskiej na fladze LGBT+. Czasem pytacie, kto kształtuje na świecie wizerunek Polski jako nieledwie Putinlandii-bis. No to już wiecie.

Tymczasem w europarlamencie nowy rok ciężkiej, niewdzięcznej pracy za psie pieniądze rozpocznie się w Strasburgu od problemu: kim zastąpić na stanowisku wiceszefa PE socjaldemokratyczną Greczynkę Evę Kaili, bohaterkę korupcyjnej Katargate. Pewniakiem był belgijski eurodep Marc Tarabella, ale co za pech, jeden z osobników zatrzymanych w aferze zarzuca także Belgowi miłość do Kataru.

Polskie przekaziory lansują tezę, jakoby wielkie szanse na stanowisko po Evie Kaili miał nasz swojski tęczowy Robik Biedroń. Przypuszczamy, że wątpimy. Od naszych braci Włochów, należących do Braci Włochów, słyszeliśmy, że inni Włosi, ci, którzy nie są braćmi Braci Włochów, robią wszystko, by to jakiś Włoch (ale nie Brat) przejął fotel po Evie. My wolelibyśmy przejąć po niej prezenty. ©℗

REKLAMA

Rzecznik Finansowy

Codziennie na straży Twoich finansów!
www.rf.gov.pl

Jak Rzecznik Finansowy pomaga klientom?

- **Poradnictwo:** udzielamy porad mailowych i telefonicznych
- **Postępowania interwencyjne:** stajemy po stronie klienta po odrzuceniu reklamacji przez podmiot rynku finansowego
- **Postępowania polubowne** prowadzone przez bezstronnych i niezależnych ekspertów z zachowaniem poufności
- **Istotne poglądy** na etapie postępowania sądowego
- **Wnioski o uchwałę Sądu Najwyższego** w razie dostrzeżenia istotnych rozbieżności w orzecznictwie
- **Działania systemowe** w przypadku problemu na rynku, który powtarza się i dotyczy wielu osób

eprasa.pl 480f0f55e5

Trawiony wątpliwościami skromny pracownik winnicy Pańskiej

Piotr Semka

Losy Josepha Ratzingera to zmaganie się wybitnego teologa z poczuciem winy i słabości. Tę próbę, w której wyzwaniem była dla niego jego osobista słabość, Benedykt XVI zdecydowanie wygrał

FOT. ALESSANDRA BENEDETTI/CORBIS/GETTY IMAGES

eprasa.pl 480f0f55e5

Kardynała Josepha Ratzingera spotkałem tylko raz w życiu. Jako dziennikarz Radia Plus przybyłem do Turynu, aby relacjonować uroczyste wystawienie Całunu z odbiciem Ciała umęczonego Jezusa. W trakcie uroczystości wymknąłem się bocznym wyjściem na krużganki przylegające do turyńskiej katedry. Było zdumiewająco pusto, ale nagle zobaczyłem zmierzającego w kierunku katedry prefekta Kongregacji Nauki Wiary. Byłem tak zaskoczony, że jedyne, co mogłem zrobić, to podejść do słynnego już wówczas hierarchy, przedstawić się, uklęknąć, ucałować jego dłoń i poprosić o błogosławieństwo. Kardynał zatrzymał się i przez parę sekund mogłem przyjrzeć mu się z bliska.

Pierwszym, co rzucało się w oczy, był nieśmiały uśmiech i uważnie, życzliwie patrzące oczy. Zrozumiałem, że mam przed sobą kogoś, kto łączy analityczny umysł z tym, co nazywane jest niekiedy słonecznością katolicyzmu. Ten dobroczynny wpływ wiary rzymskiej widoczny jest szczególnie u południowych Niemców, u których typowa dla germańskości sztywność i zasadniczość łagodzona jest przez katolicyzm.

NIEDŹWIEDŹ ŚW. KORBINIANA

O tej przedziwnej zbitce różnych cech, które znalazły swoją syntezę w niepowtarzalnej osobowości Josepha Ratzingera, przypomniałem sobie wiele lat później, gdy we wrześniu 2006 r., już po objęciu Tronu św. Piotra, najsłynniejszy wówczas Bawarczyk na świecie odwiedził swoją ojczyznę. Przemawiając 9 września 2006 r. w Monachium przed Kolumną Maryjną vis-à-vis ratusza nowo mianowany papież Benedykt XVI wyznawał: „Nominacja wyrwała mnie z dobrze mi znanej pracy wykładowcy akademickiego, stawiając przed nowymi zadaniami i nowym zakresem odpowiedzialności".

Jak wspominał nowy Pontifex, przyszedł mu wówczas na myśl symbol z jego herbu arcybiskupiego zarządcy archidiecezji Monachium i Fryzyngi, w którym znalazł się symbol niedźwiedzia św. Korbiniana. Ten wczesnośredniowieczny święty, patron diecezji we Fryzyndze, w czasie pielgrzymki do Rzymu zmusił napotkanego w puszczy niedźwiedzia do niesienia swych tobołków. Jak zaznaczył Benedykt w Monachium, motyw niedźwiedzia św. Korbiniana przyszedł mu na myśl w kontekście analizy interpretacji 22. i 23. wersetu Psalmu 73, dokonanej przez św. Augustyna. Psalmista pytał, dlaczego złym ludziom tak dobrze wiedzie się na tym świecie i dlaczego tak wielu dobrym ludziom wiedzie się na tym świecie źle. Augustyn wskazywał, że pokora chrześcijańska powinna prowadzić do zaakceptowania woli kogoś, kto ciągnie pług po Bożej roli, wykonując ciężką pracę, która została mu przydzielona. Jak wskazywał Benedykt: „Niedźwiedź w tym kontekście biskupa Hippony zachęcił mnie, abym stale na nowo pełnił swoją posługę z radością i ufnością. Tak było przed 30 laty, tak jest i obecnie, jak wypełniam nowe zadania".

Każdy, kto znał i obserwował rozwój kariery Josepha Ratzingera, mógł odgadnąć, że w tym wyznaniu było też podsumowanie swoistej metamorfozy, którą przeszedł niegdysiejszy bawarski chłopiec z Marktl am Inn. Ku religii zwrócił się po wojnie, chcąc odpokutować dramat, który przeżyła jego ojczyzna po zakończeniu konfliktu.

Należał do pokolenia, które w Niemczech nazywa się Flakhelfer-Generation. Zaliczano do niej ludzi urodzonych w okolicach 1927 r., których pod koniec wojny wtłaczano w mundury i kierowano do obsługi dział przeciwlotniczych broniących III Rzeszy przed nalotami Brytyjczyków i Amerykanów. Fakt, że Joseph Ratzinger, choć krótko, nosił na sobie mundur z hitlerowską wroną i swastyką, miał traumatyczny wpływ na pokolenie młodych księży, którzy opuszczali seminaria duchowne na początku lat 50.

WSPÓŁPRACOWNIK PRAWDY

Profesorem teologii został w 1959 r. na uniwersytecie w Bonn. Wraz z ówczesną generacją młodych teologów zachłysnął się teologią reformatora Karla Rahnera, który był jednym z najbardziej zwodniczych dla Kościoła ideologów reform soborowych. W 1966 r. Ratzinger został przewodniczącym Wydziału Teologii Dogmatycznej na Uniwersytecie w Tybindze. Początkowo lansował opinię, że papież ma obowiązek słuchania różnych głosów w Kościele podczas podejmowania decyzji. Ostro krytykował centralizację Kościoła i nadmierną władzę papieża w Rzymie.

Szybko jednak zobaczył, jak wygląda na własne oczy lewacka rewolta 1968 r. Oglądał upokarzanie szacownych profesorów przez studenckich hunwejbinów – coraz bardziej agresywny styl zwolenników akceptacji homoseksualizmu i sytuacje, w których rozsądni, wydawałoby się, wykładowcy katoliccy – pod wpływem mody i ponagleń radykałów – nagle zaczynali wywracać do góry nogami moralną naukę Kościoła.

O ile w latach Soboru Watykańskiego II Ratzinger publikował na łamach reformatorskiego pisma „Concilium", którego trybunem był późniejszy kontestator kościelny Hans Küng, o tyle potem, przerażony tym, jak wygląda w praktyce wypuszczenie modernistycznego dżina z butelki, uciekł na uniwersytet w Ratyzbonie, gdzie nie doszło do przejęcia rządu dusz przez kościelnych rewolucjonistów.

W 1972 r. założył pismo teologiczne „Communio", które stało się miejscem odrodzenia rozchwianej w większości niemieckiej myśli teologicznej. Z perspektywy czasu można uznać, że był to najszczęśliwszy okres jego życia. Mógł robić to, co najbardziej kochał. Pisać rozprawy teologiczne i zajmować się pracą wykładowcy. Powołanie przez Pawła VI 25 marca 1977 r. na arcybiskupa Monachium i Fryzyngi potraktował jako brzemię rzucone na jego plecy. A jednak o tym, że był już wtedy człowiekiem Kościoła, który miał świadomość rosnącego zamętu w nauczaniu kościelnym, świadczy przydomek, który pochodził z jego biskupiej dewizy. Było to określenie „Cooperatores Veritatis", czyli „Współpracownicy Prawdy".

Samo to określenie, przypominające, że w katolicyzmie istnieje pojęcie prawdy, było wówczas bardzo niemodne. Modernistyczni teologowie prześcigali się w coraz bardziej wymyślnych teoriach, a ich cnotą wydawało się być przekraczanie i negowanie wszystkich pewników w nauczaniu kościelnym.

Przyjęcie funkcji arcybiskupa spowodowało też zmianę czysto zewnętrzną. Ratzinger na nowo zaczął nosić sutannę, porzucając garnitur z białą koszulą i krawatem, który za wzorem innych postępowych księży zaczął wkładać w końcu lat 60. Wtedy też Benedykt poznał Jana Pawła II, wówczas jeszcze jako polskiego kardynała z Krakowa, Karola Wojtyłę. To spotkanie było jak łyk tlenu dla wciąż liżącego rany po burzliwych latach 60. niemieckiego teologa. Karol Wojtyła ze swoją pewnością bycia po właściwej stronie historii był wyrazistą antytezą dla tych kościelnych modernistów z Niemiec, którzy uznali, że niemiecki

eprasa.pl 480f0f55e5

Kościół mający wiele grzechów zaniechania w czasie III Rzeszy stracił moralne prawo do pouczania kogokolwiek o czymkolwiek.

ZŁOTA EPOKA

25 listopada 1981 r. Joseph Ratzinger otrzymuje z rąk Jana Pawła II nominację na prefekta Kongregacji Nauki Wiary. Papież z Polski i arcybiskup z Monachium zabierają się do porządkowania stajni Augiasza, którą wówczas była doktryna Kościoła.

Przypomnijmy, że była to epoka rozkwitu teologii wyzwolenia w Ameryce Łacińskiej czy eksperymentów teologicznych reformatorów z USA, krajów Beneluksu, Niemiec, Francji. Pod kierownictwem Jana Pawła II Ratzinger powoli zaczyna porządkowanie i ukrócanie najbardziej wyzywających nowomodnych doktryn. Charakterystyczna jest w tym czasie jego wypowiedź: „Kościół nie jest sklepem samoobsługowym, w którym każdy wybiera sobie to, co mu się podoba, co uzna za jeszcze pasujące do dzisiejszych czasów do przyjęcia we własnym życiu".

Reakcja ze strony coraz bardziej wyzwolonych teologów w jego ojczyźnie była natychmiastowa i bardzo brutalna. Pojawiły się agresywne ataki, oskarżenia o tchórzostwo, uległość wobec polskiego papieża. Media kreują wizerunek „pancernego kardynała", który dławi swobodę myślenia i jest wojtyliańskim policjantem myśli. Zwolennicy modernistycznych zmian w Kościele spoza ojczyzny Ratzingera sięgają z kolei z chęcią po skojarzenia z tautońską brutalnością i ciasnotą myślenia. Na karykaturach przedstawiany jest w prusackiej pikielhaubie lub z grubą pałą, która ma okładać latynoskich teologów wyzwolenia. Włoska „La Republika" pisze z ironią: „To nie dywagujący Włoch, ale Niemiec nauczający ex cathedra".

A jednak w tym czasie Ratzinger współtworzy razem z Janem Pawłem II większość jego najważniejszych encyklik, dysertacji i dokumentów papieskich. Wpływ Jana Pawła II na Ratzingera polegał na daniu bawarskiemu teologowi ładunku pozytywnej energii. Przekonania go, że uczestniczy w bardzo ważnym dziele wyprowadzenia Kościoła z zamętu lat 60. i 70. Nic dziwnego, że po śmierci Jana Pawła II zostanie jego następcą. Dziś z perspektywy czasu widzimy, że Benedykt przedłużył epokę wojtylianizmu o bezcenne osiem dodatkowych lat – do 2013 r.

Nie sposób było nie odnieść wrażenia, że Benedykt XVI pozbawiony duchowego wsparcia ze strony Jana Pawła II sam znów wkracza na ścieżkę samotności

SAMOTNY PAPIEŻ

I ponownie nie sposób było nie odnieść wrażenia, że papież pozbawiony duchowego wsparcia ze strony Jana Pawła II sam znów wkracza na ścieżkę samotności, na której nawyk wypełniania swojego obowiązku kontrastuje z jakimś niepokojącym poczuciem niepewności. Tym bardziej że media zachodnie od pierwszego dnia jego pontyfikatu traktowały go jako wroga.

W czasie wykładu w Ratyzbonie 12 września 2006 r. (notabene w święto Matki Boskiej Zwycięskiej, które nawiązuje do daty wiktorii wiedeńskiej króla Jana Sobieskiego) poruszył temat rozmowy cesarza bizantyjskiego Manuela II Paleologa z perskim uczonym, wyznawcą islamu. Benedykt rozważał wówczas niepodzielność myśli katolickiej rozumowego podejścia do zasad wiary z szacunkiem dla transcendencji. Do historii przeszło przypomnienie słów cesarza Manuela: „Pokaż mi, co przyniósł Mahomet, co byłoby nowe, a odkryjesz tylko rzeczy złe i nieludzkie, takie jak jego nakaz zaprowadzania mieczem wiary, którą głosił".

Choć ratyzboński wykład Benedykta poświęcony był związkowi między wiarą i rozumieniem, to już samo przytoczenie tym słów cesarza Bizancjum wywołało zgodną furię mediów liberalnych i mediów arabskich. Arabowie reagowali nerwowo na każde przypomnienie o agresji islamu, a liberalni dziennikarze z Zachodu jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zamienili się w obrońców wiary Mahometa, byleby tylko ugodzić znienawidzonego Benedykta.

Ogromną zasługą bawarskiego papieża było zdjęcie ekskomuniki z Bractwa Piusa X i przypomnienie o wadze mszy trydenckiej w życiu Kościoła. Papież zrobił bardzo wiele, aby przywrócić w Kościele szacunek dla tradycyjnej mszy, i z bólem potem obserwował, jak Franciszek zechciał zablokować jego starania. Wreszcie Benedykt bardzo zdecydowanie rozpoczął walkę z pedofilią, rozumiejąc, że jej obecność na terenie Kościoła jest jak niszczący rak.

Mogłem na własne oczy obserwować wizytę Benedykta w Niemczech we wrześniu 2011 r. Była to podróż w dużej mierze do wrogiego kraju. W Berlinie, który przemierzałem w dniach papieskiej wizyty, nie było prawie żadnych dekoracji. Tylko koncern Axela Springera wywiesił na swoim wieżowcu w centrum Berlina gigantyczny banner witający papieża. Na mieście jedyny transparent życzący wszystkiego najlepszego Jego Świątobliwości sformułowany był w języku polskim i wisiał na kościele Polskiej Misji Katolickiej na Südstern na południu Berlina niedaleko budynku Nuncjatury Apostolskiej, gdzie czcigodny gość nocował.

Dwa lata później Benedykt abdykował. Wszystkie okoliczności tej decyzji pozostają pewną zagadką. Jego osobisty sekretarz Georg Gänswein dziś głosi, że Benedykt był przekonany, że został mu jeszcze tylko rok życia. Boża opatrzność tymczasem przedłużyła jego życie o całą dekadę. Być może sens tych 10 lat polegał na daniu kontrastu dla coraz bardziej zatrważających wyskoków papieża Franciszka. Niegdysiejszy Joseph Ratzinger stanowił dla papieża z Argentyny kontrapunkt wyjaskrawiający jego niektóre zdumiewające wypowiedzi czy bardzo wątpliwe inicjatywy.

W 2019 r. Benedykt jeszcze raz zabrał głos, wyraźnie wskazując na to, że przypadki nadużyć seksualnych w Kościele to zatruty plon wpływu seksrewolty 1968 r. na Kościoły zachodnie. Papież emeryt wyraźnie zaznaczył, że to wtedy zaczęło się niemal jawne zakładanie klubów homoseksualnych w seminariach duchownych. W reakcji na to bardzo gorzkie wyznanie urzędnicy Watykanu starali się, jak mogli, dystansować od wypowiedzi papieża emeryta.

Losy Josepha Ratzingera, czyli Benedykta XVI, to zmaganie się wybitnego teologa z poczuciem winy i słabości. Tę próbę, w której wyzwaniem była dla niego jego osobista słabość, zdecydowanie wygrał. Czy będzie to przyszły święty? Nie wątpię, że właśnie ta kandydatura na ołtarze wywoływać będzie furiacką wrogość lewicy. Bo ten papież w każdym swoim szczególe został od końca lat 70. wyzwaniem dla tych, którzy chcieliby Łódź Piotrową rozebrać do ostatniej deseczki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 480f0f55e5

Najcichszy z ludzi

Marek Jurek

O Josephie Ratzingerze można powiedzieć, że jak Mojżesz „był człowiekiem bardzo skromnym, najskromniejszym ze wszystkich ludzi, jacy żyli na ziemi". Jeśli dla mediów był to Panzer Cardinal, to tylko dlatego, że uparcie – odziany w pancerz sprawiedliwości, osłonięty tarczą wiary – bronił tego, co uważał za nieprzekraczalne granice prawdy

Benedykt XVI zmarł w dniu liturgicznego wspomnienia św. Sylwestra, pierwszego papieża Kościoła uwolnionego od prześladowań. Tamten krótki pontyfikat zapoczątkował długą erę rozkwitu cywilizacji chrześcijańskiej. Czyżby dzień, w którym Bóg zabrał z tego świata Benedykta XVI, był znakiem ostatecznego końca tamtego czasu, a przynajmniej – końca chrześcijańskiego Zachodu? Daty czy rocznice są zawsze zachętą do pamięci i refleksji, ale nie należy z nich wyciągać przesadnych wniosków. Przecież Zbawiciel nas uczył, że są sprawy, o których „nikt nie wie, ani aniołowie w niebie, ani Syn, tylko Ojciec" (Mk 13,32). Oczywiste pytanie o tendencje naszego czasu, o to, gdzie zmierza świat, jednak pozostaje, jako pytanie właśnie. A chwila śmierci Ojca Świętego przypomina je bardzo mocno.

Patrząc na następstwo wydarzeń, z pewnością można stwierdzić, że wybór Josepha Ratzingera na papieża w 2005 r. był prawdziwym ukoronowaniem pontyfikatu św. Jana Pawła II. „Teologiczny poziom mojego pontyfikatu zawdzięczam tylko kard. Ratzingerowi" – powiedział kiedyś Jan Paweł II kard. Meisnerowi.

Z Janem Pawłem II jego następcę łączyły nie tylko współpraca i przyjaźń, lecz także więź generacyjna. Obaj należeli do pokolenia wojennego. Żyli po dwóch stronach wojny, ale obaj odczuli zbrodnie nazizmu. Bliski kuzyn Benedykta XVI padł ofiarą eksterminacji niepełnosprawnych. Obaj potem pracowali na Soborze, obaj wierzyli, że Sobór przyniesie nowy impuls ewangelizacyjny, obaj nadzieje wiązali z nowymi ruchami katolickimi i obaj próbowali opanować dramatyczne następstwa zmian, w których inicjowaniu brali udział.

Patrząc na obecny pontyfikat, powiedzieć można, że Benedyktowi XVI nie udało się zatrzymać dekadencji. Z pewnością jednak udało mu się zmobilizować intelektualną i czynną reakcję w obronie wiary i Kościoła. Reakcję, która trwa.

RAPORT O RATOWANIU KOŚCIOŁA

Szersza opinia dowiedziała się o działalności i poglądach Josepha Ratzingera kilka lat po objęciu przezeń stanowiska prefekta Kongregacji Nauki Wiary. W 1985 r. kardynał ogłosił „Raport o stanie wiary", długi wywiad przeprowadzony przez włoskiego pisarza Vittoria Messoriego. Książka ukazała się u szczytu posoborowego triumfalizmu, wywołując konsternację liberalnych mediów i żywą reakcję szczególnie młodej inteligencji katolickiej. Kardynał już na początku otwarcie mówił, że okres posoborowy, czyli „ostatnie dwudziestolecie, było dla Kościoła katolickiego niefortunne. […] Chrześcijanie na nowo są w mniejszości i bardziej jeszcze, niż byli u schyłku starożytności […]. Oczekiwano skoku w przód, a tymczasem nastąpiła dekadencja spod znaku rzekomego »ducha Soboru«" […], który był niczym innym jak antyduchem (Konzil-Ungeist). […] To za sprawą tegoż antyducha zaczęto uważać, że historia Kościoła zaczyna się od Soboru Watykańskiego II jako swoistego punktu zerowego".

Tę deklarację kardynał dokumentował analizami tego, jak ekumenizm przeradza się w obojętność religijną, jak liturgia ulega dewastacji, jak radykalny personalizm rujnuje etykę seksualną, jak dążenie do życia wiecznego zastępuje dążenie do doczesnej satysfakcji. Wreszcie prefekt Kongregacji Nauki Wiary mówił po prostu o potrzebie restauracji życia katolickiego.

Po raporcie tym w mediach kard. Ratzinger został uznany za niebezpiecznego reakcjonistę. Tymczasem część tradycjonalistycznych krytyków zarzucała mu, że nie rozważa ściśle soborowych źródeł kryzysu. Nie ulega jednak kwestii, że to właśnie ta książka przebudziła u milionów katolików na świecie tłumiony sensus fidei. Stała się dla nich oparciem w obronie wiary, zagrożonej tak często wewnątrz Kościoła. Światło oświetlające dewastację katolicyzmu zaświeciło mocno, bo przyszło z Rzymu.

TRAGEDIA ASYŻU

Benedykt XVI zawsze bronił klasycznego, apologetycznego przekonania, że wszystko, co prawdziwe w innych religiach, można odnaleźć w katolicyzmie, jedynej religii prawdziwej. Taki sens dla niego miała również deklaracja „Nostra aetate" Vaticanum II, z jej nauczaniem o promieniach Prawdy reflektujących poza granice Kościoła.

To przekonanie musiało się zderzyć z modernistyczną deformacją tego apologetycznego stanowiska. Z tej perspektywy „ziarna prawdy" rozsiane po różnych religiach wzywają ich wyznawców nie tylko do znalezienia sposobów wspólnego życia, lecz także do realizacji jakichś form religijnej „wspólnoty ponad podziałami". Rozumowanie to było oczywiście efektem mocnego logicznego poślizgu: ojcowie Kościoła mówili o „ziarnach Słowa", również „Nostra aetate" mówiła o „odbiciu promienia Prawdy, która oświeca

eprasa.pl 480f0f55e5

wszystkich ludzi". W obu wypadkach chodziło więc o Prawdę Wcieloną i Objawioną, o Chrystusa, a nie o niepoznawalną prawdę, którą można jedynie dedukować z jej dowolnie zauważanych śladów.

Temu błędowi Joseph Ratzinger – w imię prawdy katolicyzmu – przeciwstawiał się przez całe życie. Jako młody profesor pisał we „Wprowadzeniu do chrześcijaństwa", że idea religii, które mają „się wzajemnie akceptować jako zróżnicowane formy jedynego Wiecznego", podważa Bóstwo Chrystusa, czyniąc ze Zbawiciela „człowieka, który jedynie w szczególny sposób doświadczył Boga". Tymczasem gdzie „Jego imię nie jest już strzeżone i czczone, tam Jego imię zostaje porzucone". Potem zaczął zwracać uwagę na „przesadne ocenianie wartości religii niechrześcijańskich" po Soborze (co początek miało właśnie w „Nostra aetate"). I wreszcie w imieniu Kościoła, jako prefekt Kongregacji Nauki Wiary, oficjalnie zdefiniował błędy teologii „pluralizmu religijnego" i ogłosił deklarację „Dominus Iesus".

Z tego właśnie nastawienia wynikały opory kard. Ratzingera wobec międzyreligijnego spotkania w Asyżu w 1986 r. Przekonywał wtedy Jana Pawła II o niewłaściwości tego pomysłu. Tym bardziej że jego ostateczny kształt, czyli „oddzielne modlitwy – wspólne spotkanie" (co potem przedstawiano jako ochronę przed synkretystycznym wydźwiękiem), był nie tyle wynikiem intencji organizatorów tego wydarzenia, ile ustępstw wobec kard. Ratzingera właśnie. „Uwzględniono moje zastrzeżenia, przez co spotkanie uzyskało formę, która i mnie pozwoliła na swobodne uczestnictwo". Kardynał Ratzinger wziął w nim bowiem udział ze względu na życzenie Jana Pawła II. „Wiedziałem, że chce dobrze" – wspominał Benedykt XVI. „Powiedział, że zależy mu na mojej obecności, więc pojechałem".

Jako papież żywił podobne skrupuły. Gdy zwołał „swój Asyż", napisał do zaprzyjaźnionego luterańskiego pastora, Petera Beyerhausa, że „rozumie zaniepokojenie" swoim „uczestnictwem w jubileuszowym spotkaniu w Asyżu. Jednak obchód ten musiałby się odbyć i tak, a więc wydało mi się lepszym rozwiązaniem udać się tam osobiście, aby móc w ten sposób określić kierunek całości. W każdym razie uczynię wszystko, aby niemożliwa była synkretystyczna lub relatywistyczna interpretacja tego wydarzenia".

I istotnie, „Asyż Benedykta XVI" wyglądał inaczej niż wcześniejsze. Papież do rozmowy o pokoju zaprosił również niewierzących, a zamiast symultanicznych czy wspólnych modlitw powiedział gościom, że mogą mu towarzyszyć podczas nawiedzenia grobu św. Franciszka, gdzie sam się pomodlił. Krytycy zwracali uwagę na sytuację „oblężonego papieża", który nie ma wpływu na sam fakt spotkania, które i tak „musiałoby się odbyć". Ojciec Święty chwilowo bowiem skorygował formę tych międzyreligijnych manifestacji, ale ich nie powstrzymał. Sprzeciw z 1986 r. pozostaje jednak jak historyczne świadectwo, tym ważniejsze, że pochodzące od przyszłego papieża. Świadectwo złożone wprawdzie nie u samego początku, w czasie uchwalania „Nostra aetate", ale podczas przełomowego spotkania w Asyżu. Tym ważniejsze dla Kościoła dziś, że za pontyfikatu Franciszka rzeczy poszły dalej: do Abu Zabi, Astany do oficjalnej promocji teologii „pluralizmu religijnego".

ZANIM PRZYSZŁA ABDYKACJA

Krytycy pytali, dlaczego Benedykt XVI nie rządził z większą energią, dlaczego w tak niewielkim stopniu używał władzy przeciw tym, o których błędach był przekonany. To prawda, władza jest powołaniem papieża, ale nie zawsze papiestwo mogło ją w pełni wykonywać. Nierzadkie były wieki, gdy na przeszkodzie powszechnej jurysdykcji biskupa Rzymu stawały przeszkody fizyczne (komunikacyjne) albo moralne (polityczne). Były czasy prześladowań ze strony pogańskiej władzy, brutalnych rządów barbarzyńców, arogancji Cesarstwa, nowoczesnych ideologii, totalitaryzmów. Kościół niejeden raz był Kościołem milczenia.

Patrząc na obecny pontyfikat, powiedzieć można, że Benedyktowi XVI nie udało się zatrzymać dekadencji

Dziś również, za fasadą Wolności, wspólnota Kościoła żyje w otoczeniu gardzącym naszą wiarą i otwarcie wrogim wobec naszych zasad. Gdy zaś zwierzchnicy Kościoła zwracają się do wiernych, słyszą ich tylko stojący najbliżej, bo im dalej – tym bardziej przekaz deformują albo zakłócają media. Nie darmo się mówi, że dawny totalitaryzm kneblował ludziom usta, nowy – wyłącza albo przykręca mikrofony.

Benedykt XVI mówił, że narasta „groźba dyktatury opinii – kto nie trzyma z innymi, zostaje odizolowany, dlatego nawet zacni ludzie nie śmią się już przyznać

eprasa.pl 480f0f55e5

FOT. CHRISTOPHER FURLONG/GETTY IMAGES

do takich nonkonformistów. Ewentualna dyktatura antychrześcijańska byłaby przypuszczalnie znacznie subtelniejsza niż wszystko, co dotychczas znaliśmy. Byłaby na pozór przyjazna religii, pod warunkiem jednak, że religia nie tykałaby jej wzorców zachowania i myślenia". W tym systemie – papież nazwał go dyktaturą relatywizmu – można nawet zachować odrębność opinii, pod warunkiem jednak, że się pamięta, „że to niesłuszne".

Któż mógłby objąć i sprawować władzę w tych warunkach? O Josephie Ratzingerze można powiedzieć, że jak Mojżesz „był człowiekiem bardzo skromnym, najskromniejszym ze wszystkich ludzi, jacy żyli na ziemi" (Lb 12, 3). Jeśli dla mediów był to Panzer Cardinal, to tylko dlatego, że uparcie – odziany w pancerz sprawiedliwości, osłonięty tarczą wiary (por. Ef 6, 14–16) – bronił tego, co uważał za nieprzekraczalne granice prawdy. Aby zachować dialog ze światem – opatrywał to często zastrzeżeniem, którego Jan Paweł II użył uroczyście w „Ordinatio sacerdotalis", że „Kościół nie ma żadnej władzy", by życzenia świata spełniać.

WIELKIE GESTY

Wielkim momentem jego pontyfikatu było ogłoszenie motu proprio „Summorum pontificum", przywracającego podstawowe prawa rzymskiej liturgii tradycyjnej. Papież patrzył na nią w kontekście całości życia Kościoła. Uważał, że odnowa tradycji posłuży dziś wszystkim, nawet tym, którzy stracili z nią kontakt. Dlatego jeszcze przed swym wyborem pisał o wadze odprawiania Mszy „ku Wschodowi", we wspólnym kierunku, w którym modlą się składający Ofiarę kapłan i lud. I tak odprawił Mszę (według nowego Mszału) w kaplicy Sykstyńskiej, z posługującymi mu jako diakon i subdiakon kardynałami. Poprosił też, aby w bazylice św. Piotra, czyli w jego katedrze, wierni przyjmowali komunię do ust i na kolanach. Owszem, dodało to sił wszystkim chroniącym cześć dla Eucharystii, ale nie wywołało fali refleksji i naśladownictwa wśród biskupów i duchowieństwa.

Gdy Benedykt XVI przypomniał w Ratyzbonie o „mieczu Mahometa", o tym, że islam był religią podbojów i wojny, dziennikarze uznali to za „gafę". Podobnie potraktowano chrzest, którego (w czasie Mszy Wigilii Paschalnej w 2006 r.) udzielił Magdiemu Allamowi, wybitnemu muzułmańskiemu intelektualiście, który nawrócił się na katolicyzm. Te proste gesty przypominały, że cywilizacja chrześcijańska ma trwać, ale jej powołanie jest uniwersalne. Chrześcijanie muszą bronić swych Ojczyzn, by ochronić również wolność Kościoła. A Kościół musi nieść Ewangelię wszystkim – jeśli ma pozostać naprawdę katolicki.

Podobny charakter miało przyjęcie do wspólnoty Kościoła nawróconych anglikanów, dla których Benedykt XVI stworzył specjalne struktury kościelne. Ten historyczny akt misyjny nawiązywał wprost do wielkich unii kościelnych i właśnie dlatego był traktowany z rezerwą czy nawet niechęcią. Ale od tej rezerwy i niechęci jeszcze bardziej przygnębiający był brak entuzjazmu ze strony tych, którzy powinni papieża wspierać. To właśnie ta obojętność pokazuje skalę kryzysu Kościoła.

JEDNOŚĆ KOŚCIOŁA

Joseph Ratzinger przestrzegał od lat, że mutacja katolicyzmu rozbija jego diachroniczną jedność, jedność w czasie z minionymi pokoleniami katolików. Ta jest nie mniej ważna niż jedność socjologiczna. Naruszenie jedności pokoleń o tyle jest groźniejsze, że skoro jest o wiele mniej odczuwana – to nie wywołuje reakcji. Podziały wewnątrz jednego pokolenia mogą mieć charakter okolicznościowy i z czasem przeminąć. Zerwanie historyczne jest trwałe.

Chrześcijanie muszą bronić swych Ojczyzn, by ochronić również wolność Kościoła. A Kościół musi nieść Ewangelię wszystkim – jeśli ma pozostać naprawdę katolicki

Dlatego porozumienie z tradycjonalistami traktował jako zasadniczą kwestię jedności Kościoła. Również z tymi tradycjonalistami, którzy źródeł kryzysu upatrują nie w recepcji Soboru, ale w niektórych jego wątkach. Opierając się na wcześniejszym nauczaniu – zapewniają jego żywotność. W nich więc widział koniecznych uczestników zagrożonej ciągłości. Potrzebnych dla jej utrzymania. Gdy jednak papież uchylił kary kościelne, którymi dotknięci byli biskupi Bractwa św. Piusa X (wyświęceni przez abp. Lefebvre'a bez zgody Jana Pawła II), spotkał się z otwartą wrogością, również w Polsce. U nas gwałtowanie, w imię „soborowości", zareagowali na ten papieski akt liberalni marszałkowie obu izb (późniejszy prezydent Komorowski i Bogdan Borusewicz).

W tej szerokiej wrogiej reakcji Benedykt XVI dostrzegł znak czasu, o czym pisał z gorzką, a charakterystyczną przenikliwością: „Niekiedy mam wrażenie, że nasze społeczeństwo potrzebuje przynajmniej jednej grupy, dla której nie trzeba zachowywać żadnej tolerancji; do której można bez przeszkód odnosić się z nienawiścią. A jeśli ktoś śmie się do niej zbliżyć – w tym wypadku papież – również traci prawo do tolerancji i do niego również można odnosić się z nienawiścią bez obaw i zahamowań. Czyż nie musimy zawsze na nowo uczyć się sprawiedliwego korzystania z wolności? I czyż zawsze na nowo nie powinniśmy uczyć się rzeczy najważniejszej: miłości?".

Abdykacja Benedykta XVI pozostaje dziś tajemnicą. Ja za jej przyczynę uważam samotność Ojca Świętego. Widział, że działania, które podejmuje przeciw rozkładowi katolicyzmu, nie mają dostatecznego wsparcia i zrozumienia. Nie chciał zaś administrować dekadencją. Odszedł cicho, jak żył. Może dlatego jego orędzie będzie słyszane coraz wyraźniej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 480f0f55e5

Tradycja w cieniu abdykacji

KRYSTIAN KRATIUK

Benedykt XVI zapisze się w historii Kościoła głównie z dwóch powodów. Pierwszym z nich jest oczywiście abdykacja – zmieniająca pojmowanie papiestwa. Na Stolicę Piotrową wybiera się człowieka, którego głównym zadaniem jest podtrzymywanie braci w wierze. Gdy papież ogłosił zatem, że abdykuje, gdyż „osłabły siły ciała i ducha", katolicy na całym świecie mogli być w szoku. Był pierwszym od stuleci papieżem, który zrzekł się urzędu i w dodatku żył jako „papież emeryt" dłużej, niż pełnił posługę Piotrową. Nastręczało to wielu problemów interpretacyjnych – sugerowano nawet, że papiestwo jest teraz podzielone na część aktywną (którą pełnić miał Franciszek) i bierną, modlitewną (zarezerwowaną dla emeryta). Nic więc dziwnego, że papież Franciszek ma pracować nad dokumentem regulującym pozycję, uprawnienia i status papieża seniora. Sytuacja, w której do dwóch osób można zwracać się jako do „Ojca Świętego", a dwie osoby w Watykanie noszą białą sutannę i posługują się herbem papieskim, była co najmniej dziwaczna.

Kościelni progresiści nie poczekali na śmierć Benedykta XVI i zdecydowali się podeptać efekty jego pracy

Drugi z powodów to ogromnie wartościowa, skutkująca pięknymi owocami decyzja o „uwolnieniu" Mszy Świętej w dawnym rycie. Msza, z którą walczyli posoborowi papieże, nie tylko jest dziedzictwem religijnym i kulturowym katolicyzmu, lecz także symbolizuje ciągłość Kościoła. Benedykt XVI doskonale zdawał sobie z tego sprawę i w 2007 r. przypomniał oficjalnie katolikom – zwłaszcza biskupom – że nikt nie ma prawa zakazać odprawiania takiej Mszy i organizowania wokół niej wiernych. Sytuacja ta trwała przez kilkanaście lat i doprowadziła do rozkwitu setek środowisk Tradycji, podtrzymujących dziedzictwo Kościoła w dobie, w której zaczął on się zrzekać swej historii i upodabniać do świata zewnętrznego oraz fałszywych odłamów chrześcijaństwa. Kościelni progresiści – ze szczerego serca nienawidzący Tradycji – nie poczekali jednak nawet na śmierć Benedykta XVI i zdecydowali się podeptać efekty jego pracy w tej dziedzinie, o czym świadczy motu proprio Franciszka z 2021 r., „Traditionis custodes". ©℗

Dziedzictwo do przemyślenia

PAWEŁ CHMIELEWSKI

Dziedzictwo Józefa Ratzingera/Benedykta XVI jest olbrzymie, tak pod względem obfitości refleksji teologicznej, jaką pozostawił Kościołowi katolickiemu, jak z powodu wagi rozmaitych rozstrzygnięć i decyzji, które podejmował podczas trwającej kilka dziesięcioleci posługi na szczytach kościelnej hierarchii. Liturgia, stosunek do nowoczesnych filozofii, właściwe odczytanie Pisma Świętego, sposób sprawowania władzy papieskiej… Dziedzictwo zmarłego jako teologa i papieża bywa trudne, bywa dyskusyjne, ale niewątpliwie wymaga od katolików głębokiego przemyślenia.

Pomimo wszystko nie dorobek Benedykta XVI zajmuje dziś nasze umysły. Kim był bowiem ten, który zmarł 31 grudnia 2022 r.? Papieżem emerytowanym? Papieżem byłym? A może należy jego stosunek do papiestwa określić jeszcze inaczej? W takim razie – jak? Sama abdykacja, choć wszystkich nas głęboko zaszokowała i zaniepokoiła, nie jest jeszcze czymś przez Kościół nieprzewidzianym. Pytania budzi raczej modus vivendi, który Benedykt obrał po swojej rezygnacji.

Co chciał powiedzieć światu poprzez swoje zaskakujące gesty (szaty, podpis etc.) i w sumie dość liczne wypowiedzi? Jaki – jeżeli w ogóle jakikolwiek – był ich autorytet?

Kilka tygodni temu biograf Ratzingera, Peter Seewald, powiedział, że w prywatnej rozmowie „emerytowany papież" wyznał mu, iż zaskoczony jest długością swojego życia – i sądzi, że sam Pan Bóg chce poprzez podtrzymywanie go przy życiu dać światu jakiś znak. To Boże dawanie znaku teraz ustało. Wciąż stoi za to przed nami trudne zadanie właściwego zrozumienia, czym ten znak istotnie był, a przede wszystkim – czy rzeczywiście był znakiem.

Mimo wszystko potrafił Benedykt do końca wlewać w nasze serca wiele nadziei. Zwięźle i pięknie podsumował w testamencie swoje życie jako chrześcijanina: „Jezus Chrystus jest naprawdę Drogą, Prawdą i Życiem – a Kościół, przy wszystkich swoich niedoskonałościach, jest naprawdę Jego Ciałem". Niech te słowa będą nam drogowskazem, także w czekającej nas misji gruntownego przemyślenia dzieła życia Benedykta XVI – z jego decyzją o rezygnacji na czele. ©℗

Autor jest dziennikarzem i publicystą PCh24.pl.

eprasa.pl 480f0f55e5

WOJCIECH GOLONKA

Kościół po Benedykcie XVI

Katolicy po raz drugi obchodzą żałobę po Benedykcie XVI, który umarł już raz dla świata, abdykując z urzędu papieskiego przeszło dekadę temu, po niecałych ośmiu latach swego pontyfikatu. Naturalne silne wzruszenie i nostalgia kreują u części katolików wyidealizowany obraz jego osoby, stąd pozbawiona więzi emocjonalnej perspektywa historyczna i szerszy dostęp do źródeł pozwolą w przyszłości lepiej ocenić jego pontyfikat oraz nadzwyczajną decyzję o abdykacji, wraz z jej konsekwencjami dla Kościoła. Jest jednak rzeczą pewną, że Benedykt XVI chciał uporządkować Kościół według wyznaczonego przezeń paradygmatu „hermeneutyki ciągłości", która ostatecznie okazała się porażką. Chodziło o rozumienie posoborowych reform w duchu poszanowania tradycji Kościoła, czego dobitnym wyrazem było „uwolnienie" dawnego rytu Mszy – anulowane jednak po 14 latach przez samego Franciszka. Prawdą jest, że mimo szczerze życzliwych kontaktów ze swoim następcą i pewnej ciągłości zarówno papież emeryt, jak i jego współpracownicy nieraz odgrywali rolę hamulca wobec reform Franciszka, głównie symbolicznie, choć także efektywnie, jak w przypadku obrony apostolskiej tradycji celibatu podczas synodu o Amazonii.

Wraz ze śmiercią Benedykta XVI Franciszek ma w końcu wolne ręce, aby definitywnie wprowadzić nieodwracalne (jak zapowiadano) reformy, dla których jego kandydatura papieska została onegdaj przygotowana przez gremium kardynałów progresistów, zwanych grupą z Sankt Gallen. Kluczowy pod tym względem ma być przyszłej jesieni Synod o synodalności (sic!) wraz z jego rewolucyjnymi postulatami rodem z niemieckiej „drogi synodalnej". Pozostaje kwestią otwartą, czy Franciszek, który kilkakrotnie wspominał o możliwości swej rezygnacji, będzie miał ku temu wolę i determinację. Opublikowany właśnie testament duchowy Benedykta XVI z 2006 r. brzmi w tym kontekście podwójnie dramatycznie: „Trwajcie mocno w wierze! Nie dajcie się zwieść!". Pamiętajmy, że zmarły papież wieścił wizję chrześcijaństwa, które może przetrwać jedynie w drobnych wspólnotach, stąd, w dobie kolejnej rewolucji eklezjalnej, nie jest bezpodstawne pytanie, zdawałoby się surrealistyczne, o masową apostazję od prawdziwej wiary wśród katolików i ich pasterzy tudzież o możliwość schizmy, jeśli zapowiadane zmiany dojdą do skutku i spotkają się ze skutecznym oporem. ©℗

Przerwana droga do jedności

TOMASZ ROWIŃSKI

Pontyfikat Benedykta XVI był próbą wewnętrznego pojednania Kościoła z samym sobą, teraźniejszości z przeszłością. Był próbą uśmierzenia zamieszania, które od kilku dziesięcioleci panuje w Kościele katolickim, w znacznej mierze z powodu sporów o recepcję Soboru Watykańskiego II. Jednym z największych problemów katolicyzmu XX i XXI w. stało się to, że od lat 70. XX w. do naszych czasów jednym z głównych czynników formacyjnych kapłanów jak i świeckich stało się odsyłanie katolickiego dziedzictwa liturgicznego, doktrynalnego i pobożnościowego do muzeum. Tak jakby nie miało ono już znaczenia. W czasach Benedykta XVI wydawało się, że tego typu retoryka odchodzi do przeszłości, ponieważ papież zdecydowanie przypominał, że Kościół jest jeden i nie ma miejsca na dzielenie go na przed- i posoborowy.

Przywracając wolność odprawiania i uczestnictwa w starszej formie liturgii rzymskiej, podkreślał, że to, co było święte dla przeszłych pokoleń, nie może być zakazywane w żadnych czasach, nie może też być lekceważone. Krytycy papieskiej koncepcji ponownego zrastania się Kościoła, które powinno odbyć się w procesie, a nie za pomocą zarządzeń władzy, twierdzą niekiedy, że papieski projekt „hermeneutyki ciągłości" poniósł porażkę. Nie jest to prawda, droga do jedności zaproponowana przez Benedykta działała bardzo dobrze, co widać było wyraźnie w szerokim wpływie intelektualnym, który od 2005 r. uzyskali szeroko rozumiani katoliccy tradycjonaliści wcześniej traktowani jako kościelni trędowaci.

Hermeneutyka kontynuacji, jedności, wewnętrznego pogodzenia się Kościoła z samym sobą i z własną przeszłością nie poniosła klęski, ale została brutalnie przerwana przez papieża Franciszka i jego drużynę. Dziś Kościół jest podzielony w stopniu nieoglądanym od bardzo dawna, a przecież narzędzia przywracania jedności są w zasięgu ręki. Prędzej czy później będzie zatem trzeba wrócić do dziedzictwa Benedykta XVI. Na razie jednak, jak sądzę, możemy się spodziewać jedynie eskalacji konfliktów i administracyjnego wymuszania kościelnej jedności w sprawach, które są przedmiotem sporów, czy to będzie dotyczyło doktryny czy też dyscypliny kościelnej. ©℗

eprasa.pl 480f0f55e5

Z Marcinem Palade, socjologiem polityki z Centrum Analiz Wyborczych
rozmawia Karol Gac

Władza się odkleiła od rzeczywistości

FOT. ADOBE STOCK

KAROL GAC: Rozmawiamy na przełomie roku. Da się w ogóle przewidzieć, kto wygra wybory parlamentarne w 2023 r.?

MARCIN PALADE: W analogicznym okresie poprzedzającym wybory z 2019 r. PiS zdecydowanie prowadził w sondażach z poparciem na poziomie 42 proc. W przełożeniu na mandaty dawało to wysokie prawdopodobieństwo uzyskania bezwzględnej większości w Sejmie. Poparcie w grudniu 2022 r. było na poziomie 35 proc. i jest to wynik o jedną piątą niższy od uzyskanego w poprzednich wyborach. Gdyby sympatie wyborców pozostały do wyborów jesienią 2023 r. bez większych zmian, to PiS dysponowałby w nowym rozdaniu co najwyżej 195–205 posłami. Jeśli miałbym podjąć się prognozy, to moim zdaniem PiS ma wciąż szansę na najlepszy wynik spośród wszystkich startujących podmiotów, ale jeśli znacząco nie zwiększy poparcia, to nie będzie samodzielnie rządzić trzecią kadencję.

To otwiera drogę do rządzenia opozycji czy też bardziej prawdopodobny jest scenariusz patowy, który ma miejsce np. w Izraelu?

Odpowiedź jest o tyle trudna, że możemy z dużym prawdopodobieństwem przyjąć, w jakiej konfiguracji wystartuje obóz rządzący, ale nie wiemy, w jakiej formule wystartuje opozycja. A to ma olbrzymi wpływ na podział mandatów. System D'Hondta premiuje formacje z poparciem ok. 12 proc. i więcej, a co za tym idzie, scalenie dwóch czy trzech podmiotów w jeden zmienia znacząco podział mandatów w okręgach i przybliża bądź oddala scenariusz możliwej większości złożonej z czteroczłonowej koalicji KO-PL2050-Lewica-PSL.

eprasa.pl 480f0f55e5

Po stronie opozycji obserwujemy niekończący się serial pt. „Wspólna lista". Jaki scenariusz, patrząc na dane, jest dla niej najbardziej korzystny?

Twarde dane pokazują, że start opozycji anty-PiS w formule jednej listy nie tylko nie daje efektu skali, lecz także powoduje odpływ części wyborców poszczególnych jej członków, którzy nie akceptują takiego scenariusza. Beneficjentami przy takim rozdaniu są PiS, zyskujący część konserwatywnych wyborców PSL i PL2050, oraz Konfederacja, zbierająca elektorat mocno prorynkowy, luźno flirtujący z opozycją. Mamy wciąż też w grze, choć coraz mniej prawdopodobny, wariant maksymalnego rozczłonkowania opozycji, czyli startu w czterech blokach, co może nie uszczupliłoby procentowego stanu posiadania każdego z podmiotów, ale miałoby wpływ na podział mandatów. Zwłaszcza w sytuacji, gdyby któryś nie przekroczył progu czy też wszystkie inne niż KO znalazły się w przedziale 5–11 proc., bez premii w mandatach. To byłoby opłacalne przede wszystkim dla największej formacji, czyli PiS.

Co wybierze opozycja?

Jeśli, mimo medialno-sondażowego terroru, który obserwujemy już jakiś czas, ze strony najsilniejszego podmiotu, czyli KO, w zabiegach o jedną listę PL2050 i PSL nie pękną, to z dużym prawdopodobieństwem należy założyć, że będą trzy listy. Gdyby jednak PiS zaczął w porze letniej zbliżać się w sondażach do 40 proc., nie wykluczyłbym nagłej korekty i próby powrotu do rozmów może nie o jednym bloku wyborczym opozycji, a o dwóch.

W tej chwili wydaje się, że jesteśmy bliżej trzech bloków – Koalicji Obywatelskiej, Lewicy i wspólnego startu PSL i Polski 2050. Co wtedy?

D'Hondt premiuje w mandatach średnie i duże podmioty. Im będzie ich więcej po stronie opozycji, tym lepiej dla niej w walce o większość w nowym Sejmie, a co za tym idzie – gorzej dla PiS. Weźmy przykład PL2050 i PSL – obie formacje mogą dziś liczyć, po zsumowaniu poparcia, na 16–17 proc., ale realnie miałyby pewnie dwa–trzy punkty procentowe mniej. Tylko i tak te 14–15 proc. mogłoby dać więcej mandatów od tych zdobytych przez nie, gdyby startowały w wyborach samodzielnie. Owszem, częściowo oznaczałoby to kanibalizację, czyli zabieranie pojedynczych mandatów KO czy Lewicy, ale traciłby także PiS.

Chociaż Jarosław Kaczyński deklaruje, że nie widzi przeszkód dla kontynuowania projektu Zjednoczonej Prawicy, to wiemy, iż nie jest ona monolitem. Od dawna pojawiają się plotki dotyczące oddzielnego startu PiS i Solidarnej Polski. Co w takim przypadku?

Wynik wyborczy Zjednoczonej Prawicy z lat 2015 i 2019 pokazał, że zdała egzamin szeroka formuła od umiarkowanego Gowina do zgarniającego twardy elektorat prawicy Ziobry. To już jednak przeszłość. Nie ma w Zjednoczonej Prawicy Porozumienia Gowina. Tę lukę próbują zapełnić Republikanie. Pomimo szorstkiej przyjaźni na linii Morawiecki – Ziobro wydaje się, że Jarosław Kaczyński nie zdecyduje się na całkowite wykluczenie ze swojego obozu Solidarnej Polski. Pewnie będzie starał się osłabić jej znaczenie, a co za tym idzie – reprezentację w następnym parlamencie. Do tego w formule Zjednoczonej Prawicy może pojawić się Kukiz'15. Może wystarczyć, by wygrać, ale nie starczyć, by rządzić.

Pojawiały się też plotki dotyczące zmian w ordynacji wyborczej do Sejmu. Według nich liczba okręgów miałaby wzrosnąć z 41 do 100, a w każdym z nich byłoby do zdobycia od trzech do ośmiu mandatów. To rzeczywiście przybliżyłoby PiS do zwycięstwa?

Ta koncepcja opierała się na dwóch błędnych założeniach. Po pierwsze, że istnieje możliwość powtórki sukcesu PiS z wyborów do PE w 2019 r. Wtedy naprzeciwko siebie stanęły dwa bloki Zjednoczonej Prawicy i Koalicji Europejskiej. Tyle tylko, że lobbujący za zmianą ordynacji nie uwzględnili, że w międzyczasie mieliśmy pandemię, wojnę za wschodnią granicą, wysoką inflację i – co nie mniej istotne – stopniowe zużywanie się władzy. Ta z maja 2019 r. i z grudnia 2022 r. to dwie różne Polski. Po drugie, zwiększenie liczby okręgów z 41 do 100 i wpisanie w granice okręgów senackich oznaczałoby wybór od trzech do ośmiu posłów, czyli w praktyce znaczące podniesienie tego, co najważniejsze przy podziale mandatów – progu naturalnego, a w efekcie premia tylko dla największych – PiS i KO. To byłby sygnał alarmowy dla formacji takich jak PSL, Lewica, a nawet PL2050, by iść w szerszym porozumieniu, włącznie z jednym blokiem. Wszystkie – oparte na danych, a nie na bujaniu w obłokach – wyliczenia wskazywały, że to skończyłoby się dla PiS reprezentacją, której liczebność, w dobie rządów anty-PiS, mogłaby nawet nie wystarczyć do przyjmowania weta prezydenta.

PiS złożył projekt zmian w Kodeksie wyborczym. Chodzi m.in. o zwiększenie liczby obwodowych komisji wyborczych. Rządzący liczą, że dzięki temu zwiększą frekwencję na terenach wiejskich i wygrają wybory. To się może rzeczywiście opłacić PiS?

Tu trzeba oddzielić dwie rzeczy. Po pierwsze, sama propozycja zwiększenia liczby obwodowych komisji wyborczych jest jak najbardziej słuszna, działa profrekwencyjnie i podpisałbym się pod nią niezależnie od tego, kto by ją zaproponował.

Dlaczego?

Ponieważ mamy w Polsce od lat do czynienia z sytuacją wykluczenia sporej części uprawnionych do głosowania. Dotyczy to głównie mieszkańców wsi, na terenach z mniejszą gęstością zaludnienia. Oni, w odróżnieniu od mieszkańców średnich miast czy wielkich aglomeracji miejskich, muszą pokonywać kilka, kilkanaście kilometrów, żeby oddać głos. A np. dla mieszkańców Miasteczka Wilanów udanie się do lokalu wyborczego oznacza krótki, poobiedni spacer. Skoro budujemy społeczeństwo obywatelskie, to powinniśmy zrobić wszystko, by w procesie wyborczym uczestniczyło jak najwięcej z nas. Dlatego wszelkie bariery to uniemożliwiające powinny być eliminowane. Spójrzmy na przykład włoski. W ostatnich wyborach uprawnionych do głosowania było ponad 50 mln obywateli, którzy mogli oddawać głos w 62 tys. lokali. To oznaczało, że na jeden obwód przypadało ok. 800 wyborców.

A w Polsce?

Jeśli spojrzymy na dane z wyborów 2019 r., to na ponad 30 mln uprawnionych mieliśmy ponad 27 tys. obwodów do głosowania. To oznaczało średnio ok. 1,1 tys. osób na jeden obwód.

Tyle same liczby. Tylko tutaj w grę wchodzi również polityka.

Oczywiście. To drugi aspekt, o którym powinniśmy pamiętać. Z ust polityków opozycji można usłyszeć, że wyższa frekwencja na obszarach wiejskich i małomiasteczkowych mogłaby zwiększyć poparcie dla PiS, a cały zabieg ze zwiększeniem liczby obwodów ma właśnie temu służyć. Tyle tylko, że

eprasa.pl 480f0f55e5

na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat badano, choć nie było to regularne, pasywnych wyborców. No i okazywało się, że znacząco wyższa frekwencja nie prowadziłaby do istotnych zmian w preferencjach wyborczych, bo „nowi" przy urnach w dużej mierze wpisują się w rozkład już istniejących (aktywnych wyborców) sympatii dla partii czy kandydatów. Rozstrzygnie w dużej mierze to, czyich starych i nowych wyborców uda się bardziej zmobilizować.

Patrząc na różne badania i sondaże, gdzie swoich szans powinien szukać PiS?

To przede wszystkim umiarkowani (wyborcy środka), którzy doszli po 2015 r., ale wycofali się do niezdecydowanych na skutek radykalizacji języka PiS. To nie są wyborcy, którzy lojalnie głosują na PiS od lat 2005 czy 2007. W ich przypadku bardziej ważna jest oś korzyści. Zaakceptowali zmiany po wyborach w 2015 r., stając się często ich beneficjentami, i przyłączyli się, dając Zjednoczonej Prawicy drugą kadencję. Do tego dochodzą ci, dla których nie mniej istotne są zagadnienia na osi wartości. To typ wyborców, których określiłbym mianem suwerenistów. PiS nie ułatwia im wyjścia od niezdecydowanych. Choćby zmiennością w kwestiach europejskich, jak akceptacja agendy klimatycznej spod znaku „Fit for 55".

Podstawowy problem sprowadza się jednak do zaniku umiejętności komunikowania się z różnymi grupami wyborców przez polityków PiS. PiS czuł potrzeby znacznej części społeczeństwa, mając propozycję rozwiązań, co dało pozytywny efekt w latach 2015 i 2019. W siódmym zaś roku mamy po stronie rządzących narastające odklejanie od rzeczywistości. Towarzyszy temu przekonanie o własnej nieomylności, będące pokłosiem przekazu wiodących mediów sympatyzujących z PiS, których obraz Polski trafia już wyłącznie do najtwardszych wyborców.

Przejdźmy do opozycji. Jeżeli chce wygrać, to musi poszerzać swój elektorat. Gdzie i jak?

Po stronie opozycji mamy dwie postawy. Pierwsza, liberalnego centrum, które po siedmiu latach od wysadzenia z siodła przez „prawaków", kolejnych przegranych wyborach, nie wyciąga wniosków. Żyje bowiem w przekonaniu, że myli się mniej światła część społeczeństwa, nie obdarzając zaufaniem proeuropejskiej, wielkomiejskiej elity. Dlatego nie widzi potrzeby przedstawienia programu. A „ambitne" ***** *** jest nie tylko obraźliwe dla polityków PiS, lecz także dotyka miliony wyborców tej formacji. Wielu z nich może nie odpowiadać styl jej rządzenia. Ale gdzie mieliby pójść? Do tych, którzy uważają ich, przy wydatnym wsparciu patocelebrytów, za motłoch z prowincji? Dostrzegają to nieliczni po stronie opozycji. To środowiska, które chcą budować centrową alternatywę dla PiS. Widzą konieczność sięgnięcia po umiarkowanych wyborców tej partii. Bez tej operacji szansa na solidną większość anty-PiS po wyborach jest ograniczona.

O czym powinni pamiętać Polacy, gdy patrzą na sondaże?

Istotne jest to, by nie przywiązywać zbyt dużej wagi do pojedynczych sondaży. Wyniki są często bardzo rozstrzelone, co można tłumaczyć różną techniką zbierania danych czy różnym sposobem ich prezentacji w mediach. Pytanie, które sobie zadaję, obserwując sondażową Polskę od prawie 30 lat, jest też takie: Czy firmy badawcze dokładają starań, by ich produkty miały wartość poznawczą, czy też niektóre z nich wchodzą w rolę kreatorów rzeczywistości, pokazując nie to, jak jest, a to, jak być powinno? W opinii publicznej utrwalił się nawet zwrot „sondaże ratunkowe", czyli takie, których moment publikacji wyników, a przede wszystkim utrwalone we współpracy z zaprzyjaźnionymi mediami wyniki mają służyć doraźnym interesom tej czy innej partii. Z jednej strony mamy więc sondaże w służbie demokracji, z drugiej – partii rządzącej. Obawiam się, że w kampanii 2023 będziemy świadkami wysypu takich właśnie produktów sondażopodobnych, zniekształcających obraz rzeczywistych sympatii politycznych Polaków.

Ośrodki sondażowe podają też bardzo różne dane dotyczące frekwencji i osób niezdecydowanych. Jakie liczby są realne, a jakie powinny nam zaświecić lampkę alarmową?

W dwóch firmach, czyli w CBOS i Kantar (CAPI), mamy od dłuższego czasu odstający od innych pomiarów, bardzo wysoki odsetek niezdecydowanych. To bardzo zaburza odczyt realnych nastrojów i komplikuje możliwość porównywania sondaży w konkretnym interwale czasowym. Towarzyszy temu trwający od lat spór, jak wyciągać średnią. Od zawsze, świadom niedoskonałości, opowiadam się za prezentacją wyników bez niezdecydowanych, czyli odpowiednika karty do głosowania, gdzie nie ma pozycji „nie mam zdania". Ze śmiechem na ustach przyjmuję krytykę mojego stanowiska ze strony adwersarzy głównie o poglądach liberalnych i proeuropejskich. Odsyłam ich każdorazowo do zagranicznych liberalnych i proeuropejskich portali zajmujących się statystyką wyborczą, jak choćby Poll of Polls Politico, które prezentują wyniki sondaży dokładnie w ten sam sposób co ja. Jeśli chodzi o dane dotyczące frekwencji, to także mamy do czynienia z obserwowanym odstępstwem od reszty dwóch wspomnianych już firm, czyli CBOS i Kantar (CAPI). Poziomy deklarowanej aktywności, które serwują nam w komunikatach, mogłyby wskazywać, że przy ich ustalaniu korzystają z pomocy Polskiej Agencji Kosmicznej.

Co może nas zaskoczyć jesienią 2023 r., a co nie jest jeszcze widoczne w sondażach?

Od początku roku obserwujemy słabość notowań Konfederacji, która utraciła prawie co drugiego wyborcę. Jest kilka elementów, które się na to złożyły. Wielu już złożyło do politycznego grobu tę formację. A tymczasem wobec wysokiej inflacji, spowolnienia gospodarczego, biurokracji i etatyzmu część wyborców prorynkowych, w tym małych i średnich przedsiębiorców, będzie szukała reprezentantów swoich interesów. PiS i Lewica koncentrują się na pracownikach najemnych. Koalicja Obywatelska rywalizuje z rządzącymi w kategorii „kto obieca więcej". PL2050 jest zakochane w swojej zielonej demokracji. Jedynie PSL stara się mówić o problemach przedsiębiorców. Część z nich może, zamykając oczy na liczne „fikołki" Brauna czy Korwin-Mikkego, zwrócić się ku Konfederacji, a co za tym idzie, przenieść poparcie z formacji anty-PiS. Wzrost notowań Konfederacji w sondażach to nie tylko oddalenie perspektywy samodzielnych rządów przez PiS, lecz także kłopoty z większością KO-PL2050-Lewicy i PSL.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Marcin Palade *– socjolog polityki, ekspert ds. geografii wyborczej, dyrektor Centrum Analiz Wyborczych, były członek zarządu Polskiego Radia.*

eprasa.pl 480f0f55e5

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”

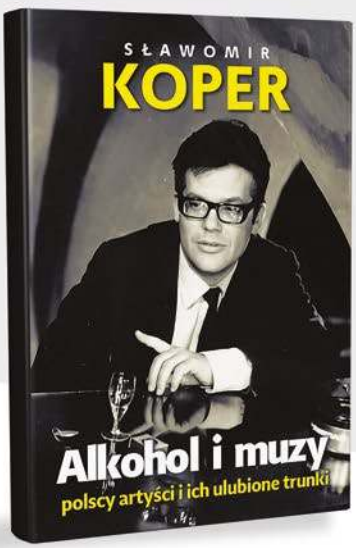

+

W PREZENCIE
KSIĄŻKA

SŁAWOMIR KOPER:
„ALKOHOL I MUZY. POLSCY ARTYŚCI I ICH ULUBIONE TRUNKI”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~924~~ ZŁ

343,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 581 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 480f0f55e5

Zabawa na beczce prochu

Andrzej Krzystyniak

Przekroczono niebezpieczną granicę, za którą może kryć się utrata kontroli państwa polskiego nad sporym obszarem kraju. Bo kogo władze Śląska będą słuchać – własnego rządu czy europejskich instytucji wysyłających im pieniądze?

Pod koniec listopada 2022 r. w sejmiku śląskim doszło do przetasowania w ramach ugrupowań rządzących województwem śląskim. Nie ma w tym nic szczególnego, takie „nieoczekiwane" zmiany władzy zdarzały się już wcześniej niejednokrotnie. Polityka jest dziedziną życia, w której przysłowiowe „dwa razy dwa" może przybierać różne wyniki, w zależności od politycznych możliwości graczy. Interes partyjny, interes poszczególnych zawodników politycznej szachownicy, nie zawsze jest zrozumiały dla wyborców czy też komentatorów polityki, którzy często przyzwyczajeni do zwrotów politycznej akcji udają zdziwienie czy też oburzenie.

WIZYTA TIMMERMANSA

Pomijając aspekt polityczny, warto zastanowić się szerzej nad tym, co zaszło w śląskim sejmiku, wychodząc na zewnątrz z szachownicy z politycznymi graczami niczym z teatru. Dwa tygodnie później Katowice odwiedził wiceprzewodniczący Komisji Europejskiej, Frans Timmermans, oznajmiając na konferencji prasowej wraz z marszałkiem województwa Jakubem Chełstowskim, europosłem PO, byłym premierem Jerzym Buzkiem oraz innymi przyznanie województwu śląskiemu miliardów euro z funduszy europejskich na „restrukturyzację regionu". Radosna dla wszystkich mieszkańców wiadomość okraszana była komentarzami niektórych polityków o pilnej potrzebie uruchomienia miliardów euro, które pozwolą województwu na przekształcenie się z regionu węglowych, „brudnych technologii" w region „nowoczesnych" albo wręcz „supernowoczesnych" branż przemysłowych.

– Dzisiaj o godz. 10 Komisja Europejska zatwierdziła wszystkie pięć planów sprawiedliwej transformacji dla Polski. To oznacza, że 3,85 mld euro jest już dostępne dla pięciu regionów na transformację w kierunku m.in. zaawansowanego wysokoefektywnego przemysłu – powiedział podczas konferencji prasowej na Stadionie Śląskim w Chorzowie Frans Timmermans.

Na uwagę zasługuje to, że w procesie przyznawania pieniędzy, planów restrukturyzacji, zapowiadanej likwidacji kopalń, z czym się naturalnie wiąże odejście od węgla, pominięto całkowicie polski rząd. Przedstawiciele Unii Europejskiej pofatygowali się bezpośrednio do Katowic, pomijając rzecz jasna Warszawę oraz oznajmiając, że inna droga jak

eprasa.pl 480f0f55e5

Marszałek województwa śląskiego Jakub Chełstowski, wiceszef KE Frans Timmermans i Jerzy Buzek, Chorzów, 5 grudnia 2022 r. FOT. MAREK ZIMNY/EAST NEWS

dekarbonizacja dla regionów takich jak województwo śląskie w zasadzie nie istnieje. Wicedyrektor generalny ds. polityki regionalnej i miejskiej Komisji Europejskiej, Normunds Poppens, oznajmił wprost, że „zielona transformacja" to dla całego Starego Kontynentu jedyny właściwy kierunek. Ostrzegał, że „prognozy dla środowiska naturalnego są zatrważające. Jeśli nic nie zrobimy, to za pół wieku połowa Europy znajdzie się pod wodą. Dlatego jesteśmy tak szczęśliwi, że na Górnym Śląsku przyjęto takie zobowiązania". Jego zdaniem Górny Śląsk „ma już wiele dobrych przykładów transformacji. Jest nim choćby stolica regionu – Katowice. Na terenie Muzeum Śląskiego była kiedyś kopalnia. Dziś gości tu sztuka".

Złośliwi mogliby skomentować, że Muzeum Śląskie pochłania olbrzymie ilości energii elektrycznej. Skąd ją brać, jeśli nie z węgla? Przynajmniej dziś. Abstrahując od opinii dotyczącej perspektywy zalania połowy Europy przez wodę czy zamiany kopalń na muzea, bystremu obserwatorowi pierwszym wnioskiem, jaki się nasunie, jest pominięcie polskiego rządu, a co za tym idzie – postawienie władz w Warszawie w kłopotliwej sytuacji. Nietrudno zauważyć, że właśnie przekroczono niebezpieczną granicę, za którą może kryć się utrata kontroli państwa polskiego nad sporym obszarem kraju. Bo kogo władze regionu będą słuchać? Własnego rządu czy też europejskich instytucji wysyłających im pieniądze, od których uzależniony będzie rozwój regionu? Skądinąd o rozwoju, który ma być w przyszłości oparty na „nowoczesnych technologiach", wiemy dziś tyle, że nie może opierać się na energii pozyskiwanej z węgla.

NIEMCY WCIĄŻ KOPIĄ

Co ciekawe, nasi zachodni sąsiedzi zdają się nie mieć podobnych dylematów. Co rusz możemy się dowiedzieć z niemieckich mediów o uruchomieniu w Niemczech kopalni bądź też o wznowieniu produkcji energii elektrycznej pozyskiwanej z węgla kamiennego, częściej brunatnego. Mimo że Niemcy deklarują całkowite odejście od węgla w 2030 r., raczej trudno w to uwierzyć, skoro niemiecka gospodarka w olbrzymim stopniu oparta jest na węglu brunatnym.

Symbolem bezwzględnej ekspansji energetycznej Niemiec, opartej na węglu brunatnym, jest potężny koncern energetyczny RWE, który to – nie bacząc na protesty lokalnej społeczności oraz ekologów – w 2018 r. dokonał wyburzenia zabytkowej katedry z Immerath w Nadrenii Północnej-Westfalii. Neoromańska bazylika, podobnie jak cała miejscowość wraz z mieszkańcami, przegrała nierówną walkę z kopalnią.

Unia Europejska, która z troską pochyla się nad mieszkańcami regionów górniczych w Polsce, nie zauważyła dramatu przesiedlanych mieszkańców Immerath? Nie próbowała ich ratować przed przesiedleniem, a zabytkowej katedry przed wyburzeniem?

A warto zauważyć, że dramat mieszkańców Immerath jest jednym z kilkuset tego typu przypadków w Republice Federalnej. Niemcy, deklarujący odejście od węgla w 2030 r., dokonują bezpardonowych zrównań z ziemią całych miejscowości, wiosek, a deklarowana data rezygnacji z użytkowania węgla zdaje się wcale nie wyhamowywać tego procesu wyburzeń i wysiedleń ludności. „Przyspieszenie" decyzji o rezygnacji z węgla zapewne nie uratuje niemieckiej wioski Luetzerath w Nadrenii Północnej-Westfalii, która – na swoje nieszczęście – leży na pokładach węgla brunatnego. Mimo trwających od dwóch lat protestów ekologów oraz mieszkańców starosta Heinsbergu, Stephan Pusch, z początkiem grudnia 2022 r. wydał ogólne zarządzenie zakazujące przebywania w Luetzerath. Tym samym policja będzie mogła od 10 stycznia 2023 r. siłą usunąć opornych mieszkańców. Władze starostwa zapowiedziały interwencję policji wobec osób, które nie podporządkują się decyzji. Jak widać, trudna i zawiła jest niemiecka droga do dekarbonizacji.

Tymczasem od Polski żąda się jak najszybszego zaniechania wydobycia węgla. Ciekawe, jakie byłyby reakcje KE, gdyby na Śląsku rozpoczęto wyburzanie miasteczek czy też wiosek pod budowę kopalni, wszak odejście od węgla Polska zadeklarowała „dopiero" w 2050 r.

W całej tej rezygnacji z węgla jest jednak dużo ważniejszy aspekt, trafnie skomentowany przez „Dziennik Zachodni": „W całym wystąpieniu wiceprzewodniczącego Timmermansa może zaskakiwać to, że żadna z jednostek samorządu terytorialnego w Polsce nie została upoważniona do negocjowania czegokolwiek w imieniu polskiego rządu, który jako jedyny ma kompetencje do reprezentowania Polski w rozmowach z Komisją Europejską o funduszach przyznanych w ramach Krajowego Planu Odbudowy".

Można nawet odnieść wrażenie, że województwo śląskie w planach rozwoju regionu, sfinansowanego przez UE, nie będzie potrzebować polskiego rządu. Co bardziej przenikliwi mogliby dostrzec w tym próbę oderwania sporej części polskiego państwa. Furtka do tego została uchylona, co jest szczególnie niebezpieczne na Śląsku, gdzie w sposób jawny działają organizacje niekryjące swej wrogości do państwa polskiego.

Zauważmy, że „zgodnie z zasadą wyrażoną w art. 3 Konstytucji RP Rzeczpospolita Polska jest państwem jednolitym, co w szczególności oznacza, że ustrój naszego kraju charakteryzuje się integralnością terytorium, identycznością statusu prawnego jednostek terytorialnych, a także spójnością w zakresie organizacji władzy publicznej". Powszechnie zauważalne jest, że wspomniane w konstytucji jednolitość i spójność władzy publicznej zostały co najmniej podważone. Miejmy nadzieję, że w porę przyjdzie opamiętanie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 480f0f55e5

Nowa nadzieja korwinistów?

FOT. ALBERT ZAWADA/PAP

Jan Fiedorczuk

Zarówno zwolennicy, jak i przeciwnicy Sławomira Mentzena widzą w nim młodszą wersję Janusza Korwin-Mikkego. Sprawa jest jednak znacznie ciekawsza. Mentzen może i przejął partię KORWiN, ale sam korwinistą bynajmniej nie jest

Doktor ekonomii, właściciel kancelarii podatkowej, sklepu myśliwskiego, browaru, sponsor tytularny klubu piłkarskiego (KP Start Mentzen Toruń), a także mąż oraz ojciec trojga dzieci. Do tego od niedawna szef partii Nowa Nadzieja (wcześniej KORWiN), a zarazem sukcesor Janusza Korwin-Mikkego, który po kilkudziesięciu latach postanowił zrzec się funkcji prezesa. Sporo osiągnięć, biorąc pod uwagę, że Sławomir Mentzen ma zaledwie 36 lat.

W mediach Mentzen jest prezentowany jako młodsza i nieco przystępniejsza wersja Janusza Korwin-Mikkego. Tak też zdaje się postrzegać go radykalnie wolnorynkowy elektorat, dla którego niekończące się tyrady byłego prezesa na temat konieczności obniżki podatków i uwolnienia gospodarki stanowiły istotę polityki.

„Sławomir Mentzen to młodsza twarz Janusza Korwin-Mikkego: radykalizm, niechęć do Żydów i Unii Europejskiej. Do tego skrajnie niechętne nastawienie do wszystkiego, co nakłada społeczne i kulturowe ograniczenia na robienie biznesu" – tak charakteryzowała go Anna Mierzyńska na lewicowym portalu OKO.press. „Nowe wcielenie Korwina" – tak z kolei polityka opisywał „Plus Minus".

Gdyby jednak temat wyczerpywał się na konstatacji, że mamy do czynienia z kolejną kopią Korwin-Mikkego, a tych w środowisku wolnościowym wszak nie brakuje od lat, to opisywanie postaci Mentzena nie miałoby większego sensu. Jego przypadek jest ciekawy właśnie dlatego, że nie jest on kolejnym klonem, tylko wnosi nową jakość.

KORWINISTA POZORNY?

Parafrazując Nietzschego, można powiedzieć, że Korwin-Mikke politykował młotem – rzucał mocne tezy i obiecywał diametralną zmianę sytuacji gospodarczej w krótkiej perspektywie czasowej. Mentzen, pozostając orędownikiem wolnorynkowego kapitalizmu, nie jest jednak korwinistą sensu stricto i niuansuje te zagadnienia. Ja sam po raz pierwszy zwróciłem uwagę na jego osobę kilka lat temu, gdy stwierdził logicznie, że części danin po prostu nie sposób znieść ze względu na obecną sytuację polityczną – np. członkostwo Polski w Unii Europejskiej (UE nakłada m.in. wymóg minimalnej stawki VAT na poziomie 15 proc.).

Nie była to oczywiście szczególnie odkrywcza uwaga, jednakże wyraźnie odstawała od korwinistycznej symplifikacji, zgodnie z którą na skomplikowane zagadnienia najlepsze są najprostsze rozwiązania. Z czasem zaczęło się pojawiać coraz więcej takich rozbieżności. Mentzen zdawał się zgadzać z nestorem polskich wolnościowców co do kierunku, w którym winien zmierzać kraj, jednak w szczegółach drogi obu liberałów zaskakująco często się rozjeżdżały.

Na przykład w 2019 r. przed wyborami parlamentarnymi polityk zapewniał, że jego ugrupowanie nie będzie dążyło do likwidacji pomocy socjalnej dla osób niepełnosprawnych, niesamodzielnych i „w trudnej sytuacji życiowej". Z kolei kilka miesięcy temu w popularnym internetowym programie „Hejt Park" Mentzen stwierdził, że nawet gdyby doszedł do władzy, to większość podatków zostałaby taka, jak jest obecnie.

– Polska ma bardzo dużo zobowiązań. Musimy wypłacać emerytury, musimy mieć publiczne szpitale, musimy leczyć ludzi, którzy całe życie płacili składki zdrowotne – tłumaczył w rozmowie z Krzysztofem Stanowskim. Również temat ewentualnego obniżenia VAT

eprasa.pl 480f0f55e5

traktował z rezerwą, pytając retorycznie, skąd wówczas wziąć fundusze na wszystkie zobowiązania państwa polskiego.

Jego poprzednik nigdy w takie niuanse się nie wdawał. Klasyczny korwinizm charakteryzuje się bezrefleksyjnym powtarzaniem wolnorynkowych sloganów za Korwin-Mikkem, jednak na tle nestora polskiej prawicy, który z charakterystyczną dla siebie wrażliwością stwierdzał choćby, że czas po prostu „zlikwidować służbę zdrowia" (czytaj: sprywatyzować), głos Mentzena brzmi niczym herezja.

MIĘDZY LESEFERYZMEM A KONSERWATYZMEM

Również w perspektywie politycznej i ideowej jest sporo różnic między tymi dwoma postaciami. Charakterystyczny jest tu choćby stosunek do Unii Europejskiej, gdyż o ile Korwin-Mikke w żołnierskich słowach przez lata oferował swym wyborcom po prostu polexit, o tyle już jego następca podchodzi do tematu zdecydowanie ostrożniej, wskazując na konsekwencje dla polskiej gospodarki, a w niektórych wypowiedziach wprost odżegnując się od pomysłu opuszczenia UE.

Kolejna kwestia różniąca prezesa Nowej Nadziei od jego mentora (ale chyba i ogólnie od środowiska prawicy antysystemowej) to pogląd na globalne ocieplenie. Mentzen wprost przyznaje, że w znacznym stopniu odpowiada za nie człowiek, podczas gdy Korwin-Mikke wielokrotnie przekonywał, że antropogeniczność zmian klimatycznych jest oszustwem, a ludzie wspierający tenże „przekręt" powinni trafić do więzienia. Także stosunek do Rosji diametralnie różni obu polityków – w przeszłości Korwin-Mikke nieraz bronił Władimira Putina, podczas gdy jego następca jasno stwierdza, że jest „antyrosyjski" i „nigdy Rosji nie lubił".

Co jednak ciekawe, Mentzen wydaje się zarazem bardziej konserwatywny od Korwin-Mikkego, którego ideowy wokabularz zbudowany jest głównie na darwinizmie społecznym. Prawicowość nestora polskich wolnościowców raczej zasadza się na klasycznym XIX-wiecznym liberalizmie i nawet jego słynny monarchizm nie ma podłoża stricte tradycjonalistycznego, tylko sprowadza się do przekonania o przewadze systemu autorytarnego nad demokratycznym (zgodnie z powiedzeniem Kisiela – „wziąć za mordę i wprowadzić liberalizm").

Mentzen kwestii ustrojowych właściwie nie porusza. W swych wypowiedziach dość często odwołuje się natomiast do etyki chrześcijańskiej, czego wyraz dał choćby w cytowanej wyżej rozmowie z Krzysztofem Stanowskim, gdzie przyznał, że jest zdecydowanym zwolennikiem wolności słowa, ale jednocześnie nie zamierza znosić przepisów zabraniających obrazy uczuć religijnych. Pytany, dlaczego nie ma nic przeciwko temu, żeby ktoś miał prawo obrażać jego samego, ale już nie religię katolicką, odparł: „Ponieważ Bóg jest znacznie ważniejszy ode mnie".

Nie powinien zatem nas dziwić podpis, który swego czasu polityk złożył pod aktem Konfederacji Gietrzwałdzkiej – katolickim dokumentem, którego sygnatariusze deklarowali wolę „poddania naszego życia prywatnego i publicznego panowaniu Chrystusa Króla Polski oraz opiece Jego Najświętszej Matki, Królowej Korony Polskiej". Znamienne, że wśród sygnatariuszy zabrakło Janusza Korwin-Mikkego.

MEMY I POLITYKA

Mentzen jest znany ze swoich spokojnych, merytorycznych wystąpień, które przysporzyły mu sporej rzeszy zwolenników, a które wyróżniają się szczególnie na tle emocjonalnych tyrad Korwin-Mikkego. Wcześniej na podobnym kontraście swoją popularność budował choćby Krzysztof Bosak z Ruchu Narodowego.

Prezes Nowej Nadziei szczególnie aktywny jest w mediach społecznościowych, na których regularnie publikuje polityczne komentarze utrzymane w lekko ironicznej konwencji. Wystarczy nawet spojrzeć na tytuły jego książek („Tak trzeba żyć", „Filozofia XD", „I kto tu jest szurem?"), aby uchwycić specyficzny klimat, jaki roztacza wokół siebie. Od trzech lat polityk objeżdża kraj, organizując „piwo z Mentzenem" – serię wydarzeń utrzymanych w luźnej atmosferze, na które uczęszczają setki, jeśli nie tysiące, jego zwolenników. Wydarzenia okazały się takim fenomenem, że rozpisywały się o nich nawet media liberalno-lewicowe, w których Konfederacja figuruje zazwczyaj jako partia niemal faszystowska.

Niezobowiązujący, lekko satyryczny klimat tworzony przez Mentzena wydaje się przemyślaną strategią polityczną. Sam przyznaje wprost, że politykę należy robić za pomocą maksymalnie uproszczonego przekazu. Nie chodzi zatem o kolejne konferencje prasowe i program partii, chodzi o memy polityczne. I to całkiem dosłownie. – Obrazem trzeba uderzać do ludzi i przekazem bardzo krótkim – mówił podczas jednego ze spotkań z wyborcami w 2019 r.

Tuż przed wyborami ta „polityka memiczna" doprowadziła Mentzena do jego najbardziej kontrowersyjnego wystąpienia. Podczas jednej z konwencji polityk ogłosił światu „piątkę Konfederacji", która sprowadzała się do hasła „nie chcemy Żydów, homoseksualistów, aborcji, podatków, UE".

Samego Mentzena ciężko uznać za antysemitę czy homofoba. Jego postulaty wynikają raczej z cynizmu politycznego i grania na najniższych emocjach elektoratu niż z rzeczywistych poglądów. Sam tego nie kryje, opowiadając rozentuzjazmowanej publice, że do ludzi trzeba mówić jak do idiotów, bo inaczej nie zdobędzie się ich poparcia. Za co od tejże publiki otrzymywał gromkie owacje.

KONFLIKT Z WOLNOŚCIOWCAMI

Obecnie Mentzen jest zajęty umacnianiem swojej pozycji w Konfederacji. W ostatnich tygodniach wybuchł ostry spór między nim a trzema posłami – Arturem Dziamborem, Dobromirem Sośnierzem i Jakubem Kuleszą – którzy już jakiś czas temu opuścili ugrupowanie KORWiN, zakładając partię Wolnościowcy.

Po przejęciu władzy Mentzen zapowiedział zorganizowanie prawyborów w okręgach przypadających korwinistycznemu skrzydłu Konfederacji, aby wyłonić kandydatów na „jedynki" na listach do Sejmu. Wolnościowcy domagają się jednak respektowania wcześniejszych ustaleń, zgodnie z którymi mieli otrzymać te same miejsca co w 2019 r., i odmawiają targów w tej kwestii.

Mentzen z kolei otwarcie prze do prawyborów, stawiając Wolnościowców pod ścianą – albo się ugną i zaakceptują jego zasady, albo, zapewne, pożegnają się z polityką.

Prezes Nowej Nadziei różni się w wielu aspektach od swego mentora i jakkolwiek jest wielką nadzieją korwinistów, to sam korwinistą, bezrefleksyjnie naśladującym swego idola, nigdy nie był. Jedynym wyjątkiem wydaje się podejście Mentzena właśnie do prowadzenia polityki wewnątrz własnego ugrupowania, które jako żywo przypomina działalność Korwin-Mikkego sprzed lat. Już niedługo zobaczymy, dokąd młodego prezesa zaprowadzi taka taktyka oraz czy sama Konfederacja przetrwa te turbulencje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 480f0f55e5

FOT. ŁUKASZ GĄGOLSKI/PAP

Sylwester z piekła rodem

Rafał A. Ziemkiewicz

Do milionów widzów Sylwestra Marzeń dotarł przekaz znacznie bardziej szkodliwy, niż wydawałoby się to na pierwszy rzut oka: że w Polsce istnieje jakaś „społeczność LGBT", która zasługuje na wspieranie, a być może nawet na obronę przed prześladowaniami. Wydaje się, że rządzący kompletnie nie rozumieją, że tu właśnie jest istota ideologicznego ataku na normalność i Polskę

Historia ogromnie wesoła i niezwykle przez to smutna" – nic lepiej niż te słowa wieszcza nie opisuje zamieszania wokół Sylwestra Marzeń i pokłonu złożonego tam przez państwową telewizję przed tęczowym cielcem LGBT. Z jednej strony, śmieszą organizacyjny chaos i kłótnie polityków, czy to była nieudolność czy przebiegły plan. Z drugiej, jeśli się nad sprawą zastanowić, te wszystkie śmieszne objawy znamionują poważny problem formacji rządzącej – i całej Polski.

Sylwestrowa impreza noworoczna TVP, flagowe przedsięwzięcie Jacka Kurskiego, od zawsze krytykowana była jako przykład złego gustu, co w najmniejszym stopniu nikomu nie przeszkadzało. Gwiazdy disco polo, dużo kolorowych świateł, proste rytmy „pod nogę", Zakopane i kilka zagranicznych gwiazd, które teoretycznie podnosiły prestiż imprezy. Teoretycznie, bo rzadko bywała w Zakopanem jakaś gwiazda z prawdziwego zdarzenia – większość stanowiły albo sławy lat minionych, albo jakieś postaci w ogóle nieznane, tyle że zapowiadane z wielką emfazą i zadęciem. Z tej kategorii najsilniej zapisał się włoski gwiazdor lat 70. Pupo, któremu TVP skutecznie przykleiła przymiotnik „kultowy".

ŚWIATOWO POD GIEWONTEM

Szczerze mówiąc, dla Sylwestra Marzeń lepiej by było przy „kultowym Pupo" pozostać, zamarzono jednak o gwieździe nieco bardziej rozpoznawalnej. Melanie Chisholm, znana jako Mel C, kiedyś należała do rzeczywiście sławnego (cóż, że ćwierć wieku temu – pamięć widowni spragnionej gibania się pod rytm bywa zdumiewająco trwała) girlsbandu Spice Girls. Można zrozumieć, że w TVP nie zmartwiono się faktem, że jej kariera solowa od lat nie dorównuje sukcesom tego zespołu – dziwne jednak, że nie zwrócono uwagi, iż, jak wiele innych, była gwiazdka ratuje swą rozpoznawalność demonstracyjnym przyłączeniem się do dysponującego nieograniczoną promocją ruchu LGBT i innych „wokeizmów" (aczkolwiek nie wzgardziła też okazją, by lansować się ostatnio na „nabożeństwie kolędowym Christmas Together", poświęconym pamięci zmarłej królowej Elżbiety).

Ledwie więc organizatorzy zaczęli się puszyć, jaką to międzynarodową gwiazdę zdołali ściągnąć do Zakopanego, ona publicznie ogłosiła, ku uznaniu lewicowych zachodnich mediów, że nie wystąpi, bo

eprasa.pl 480f0f55e5

TVP, i w ogóle Polska, źle traktuje „grupy", które ona wspiera. Trudno uwierzyć, by osoba od tylu lat tkwiąca w show-biznesie odważyła się zerwać występ, gdyby jej kontrakt był prawidłowo skonstruowany i przewidywał rutynowe w takich wypadkach konsekwencje. Telewizja zapewniła oczywiście, że zmusi Mel C do zwrotu pobranej zaliczki i zapłacenia kary umownej, ale czy rzeczywiście tak się stanie, prędko się nie dowiemy.

Zamiast pogodzić się z rysą na wizerunku, TVP postanowiła brnąć: na miejsce Mel C ściągnięto w ostatniej chwili amerykański zespół hiphopowy Black Eyed Peas, który swe największe triumfy święcił niewiele później niż Spice Girls i właściwie kilkanaście lat temu został, po odejściu swej największej gwiazdy Fergie Duhamel, rozwiązany, ale potem wznowił działalność bez niej – w sumie więc gwiazdy tego rodzaju co Czerwone Gitary po odejściu Seweryna Krajewskiego. Z tą różnicą, że Czerwone Gitary (pomijając, że bardziej pasowałyby do zakopiańskiej publiczności i zapewne lepiej by ją swoimi starymi przebojami zabawiły) raczej nie wystąpiłyby w opaskach LGBT i nie rozsnułyby na potańcówce wańkowiczowskiego „smrodku dydaktycznego", czy raczej „smrodku propagandowego", wplatając w swój występ manifest poparcia dla „prześladowanych mniejszości", ze „społecznością LGBT" na czele.

NIC SIĘ NIE STAŁO?

Tu zaczyna się najweselsza część tej smutnej historii. Najoczywistsza reakcja na tę manifestację – zignorowanie jej – w wypadku TVP nie wchodziła ani przez moment w grę. Zbyt mocno wizerunek mediów państwowych został przez lata połączony z wizerunkiem rządzącej formacji, nie tylko przez wojujące programy informacyjne i publicystyczne – w których zresztą, co nie jest w tej sprawie bez znaczenia, panuje ta sama co po stronie przeciwnej, ale egzekwowana jeszcze bardziej uważnie zasada, że do wygłaszania komentarzy zatrudnia się tylko osoby z zatwierdzonej przez kierownictwo listy gości „słusznych". Przecież również demonstracyjne otwarcie się przez telewizję „publiczną" na „obciachową" w opinii elit muzykę disco polo i inne formy „plebejskiej" rozrywki też było swoistą polityczną deklaracją, zresztą dobrze współbrzmiącą z deklarowanym przez PiS postawieniem opinii i gustów „zwykłych Polaków" ponad opiniotwórczymi elitami czy raczej, jak powiedział to kiedyś prezes Kaczyński, „łże-elitami". To sprawia, że pouczanie ze sceny przez „czarnookie groszki" o prawach „społeczności LGBT" i użycie powszechnie rozpoznawalnej symboliki ideologii, jednoznacznie wskazywanej przez rządzących jako wroga, nie da się sprowadzić do samowoli paru hiphoperów. W tej sytuacji to nie jakieś tam zapiewajły, ale goście zaproszeni przez, mniejsza o szczegóły, PiS jako taki. I to nie ich prywatne opinie, tylko pouczanie „zwykłych Polaków" przez „zagraniczne autorytety", że mają porzucić swoje zacofane poglądy i dostosować się do świata. Jednym słowem, to właśnie, przeciwko czemu PiS zawsze protestował i właśnie temu protestowi zawdzięcza swoje sukcesy.

Mimo że Solidarna Polska formalnie jest częścią koalicji rządowej, osoby z nią związane na wspomnianych wcześniej listach autorytetów zapraszanych do mediów publicznych nie są umieszczane – nawet polityków piastujących stanowiska rządowe wpuszcza się tam rzadko, a w okresach nasilenia międzyfrakcyjnych walk w ogóle. Nie można się więc dziwić, że to ochoczo skorzystali oni, na czele z wiceministrem Warchołem, z okazji do rozbicia narracji „nic się nie stało", którą próbowali budować politycy PiS – m.in. zasiadająca w Radzie Mediów Narodowych Joanna Lichocka. Szansą przetrwania formacji, jeśli PiS spełni pogróżki zerwania koalicji i usunięcia „ziobrystów" ze swoich list wyborczych, jest przecież odwołanie się do emocji tej części elektoratu PiS, która czuje się zdradzona łatwością, z którą w praktyce PiS wycofuje się z „prawicowych" elementów swego programu, zarówno jeśli chodzi o postulaty „wstawania z kolan", jak i ustępowanie przed lewicą na polu obyczajowym.

Gdyby nie politycy PiS i niektórzy pracownicy samej TVP, minister Warchoł i inni krytycy nie mogliby zarzucić telewizji nic więcej niż nieudolność – w pośpiechu nie dopilnowano koncertu i grupka czarnych raperów „strollowała" polskich „prawicowców" za ich własne pieniądze. Ale zamiast narracji „shit happened" postanowiono podjąć próbę przekucia wtopy w polityczny sukces. Narrację, uruchomioną przez dziennikarza TVP Samuela Pereirę, podchwycili liczni politycy z samym premierem: „Występ raperów w tęczowych opaskach rozbił w puch narrację opozycji i naszych wrogów w UE, jakoby w Polsce ktokolwiek prześladował LGBT! Tak, o to właśnie chodziło, i wszystkie szczegóły występu Black Eyed Peas były wcześniej uzgodnione".

ZWYCIĘSTWO TĘCZOWEGO NEOKOMUNIZMU

Miejmy nadzieję, że jest to tylko dorabianie ideologii do ewidentnej porażki – na co wskazywałoby, że obciążony winą za ten „sukces" dotychczasowy reżyser „sylwestrów" został, wedle przecieków, z TVP usunięty. Może to zresztą być elementem jakiejś innej rozgrywki, bo reżyser ów, przypadkiem będący pierwszym mężem obecnej żony Jacka Kurskiego, od lat cieszył się w firmie względami wywołującymi i na Woronicza, i w sferach rządowych wiele domysłów i plotek, zapewne mających wpływ na nagłe odwołanie niezatapialnego, wydawało się do pewnego momentu, prezesa. Przypadkiem zresztą okazało się, że, jak podały media, w tym samym czasie złożyła rezygnację ze sprawowanej w TVP funkcji także sama żona.

Ponadto obecny prezes Mateusz Matyszkowicz jako szef kanału TVP Kultura wielokrotnie wykazywał się gotowością do daleko idących ustępstw wobec ideologicznych rewindykacji lewicowo-liberalnych salonów, więc wersja o celowym dopuszczeniu przed niego na sztandarowej imprezie TVP do tego, co jeszcze niedawno PiS nazywał „promocją LGBT" i stanowczo potępiał, nie brzmi tak zupełnie nieprawdopodobnie.

Tak czy owak, do milionów widzów Sylwestra Marzeń dotarł przekaz znacznie bardziej szkodliwy, niż wydawałoby się to na pierwszy rzut oka: że w Polsce istnieje jakaś „społeczność LGBT", która zasługuje na wspieranie, a być może nawet na obronę przed prześladowaniami. Wydaje się, że rządzący kompletnie nie rozumieją, że tu właśnie jest istota ideologicznego ataku na normalność i Polskę. Homoseksualiści i ludzie innych dołączanych do nich „orientacji" nie stanowią żadnej społeczności, mają różne poglądy, życiowe cele i aspiracje. Jeśli zgadzamy się na pojęcie „społeczność LGBT", to automatycznie zgadzamy się na to, że organizacje posługujące się znakiem sześciokolorowej tęczy nie reprezentują ideologii, ale osoby. A to pierwsze zwycięstwo tęczowego neokomunizmu, od którego rozpoczął się jego zwycięski pochód na Zachodzie – i to właśnie kompletne niezrozumienie istoty sprawy czyni tę wesołą „historyję" ogromnie smutną.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 480f0f55e5

Z Marcinem Warchołem, wiceministrem sprawiedliwości, pełnomocnikiem rządu ds. praw człowieka
rozmawia Ryszard Gromadzki

Nikogo nie będę przepraszał

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

RYSZARD GROMADZKI: Po kontrowersjach, które wywołało manifestacyjne poparcie dla ideologii LGBT przez amerykański zespół Black Eyed Peas w trakcie emitowanego 31 grudnia w telewizji publicznej Sylwestra Marzeń, premier Morawiecki powiedział, że nie ma mowy o krępowaniu ekspresji artystycznej jakiegokolwiek zespołu, szczególnie jeśli wcześniej dziękuje on Polakom za pomoc pogrążonej w wojnie Ukrainie. Gdzie leżą granice takiej nieskrępowanej ekspresji?

MARCIN WARCHOŁ: Ideologia LGBT to dziś przemysł pogardy, prześladowania ludzi za poglądy i walki z Kościołem. Niesie nietolerancję i nienawiść. Tęczowy symbol wykorzystywany przez ruch LGBT nie jest symbolem pokoju, lecz wojny. I tu jest granica, której zwłaszcza media publiczne nie powinny przekraczać. Bo nie o ekspresję artystyczną chodzi, tylko o promowanie niebezpiecznej ideologii. Proszę zobaczyć, co się dzieje w Polsce z ludźmi, którzy wyrażają sprzeczne z nią poglądy. Są zwalniani z pracy, jak pracownik IKEA, który powołał się na Pismo Święte, aby wyjaśnić swój stosunek do homoseksualizmu.

Mówimy więc o ideologii, która ma cechy totalitarne...

Oczywiście. Ludzie karani są za poglądy. W 2018 r. w Szwajcarii przegłosowano kary więzienia za homofobię. Określnie „wynaturzenie", którego użyłem do opisu imprezy sylwestrowej w Zakopanem, było zaczerpnięte z Pisma Świętego, konkretnie z listu św. Pawła do Rzymian. Było cytatem z 26 wersu tego listu, gdzie św. Paweł wyraźnie potępia praktyki homoseksualne. Zresztą nie tylko on. Zmarły kilka dni temu papież Benedykt XVI także w sposób jednoznaczny wyrażał swoje stanowisko wobec tych praktyk. Dlatego tak oburzające i przykre jest, że manifestacja poparcia amerykańskiego zespołu dla ideologii LGBT na imprezie zorganizowanej przez TVP miała miejsce właśnie w dniu śmierci Benedykta XVI. Wpadki oczywiście się zdarzają, ale jeżeli to wszystko – jak twierdzi TVP – było zaplanowane, to skandal. To właśnie Benedykt XVI powiedział przecież, że pojęcie

eprasa.pl 480f0f55e5

„małżeństwa homoseksualnego" jest sprzeczne ze wszystkimi kulturami, które do tej pory istniały. Taka jest nauka Kościoła, taka jest Ewangelia. Święty Paweł mówił o „zboczeniach" i praktykach „niezgodnych z naturą". Ja użyłem łagodniejszego określenia, mówiąc o wynaturzeniu. Promocji LGTB towarzyszy też wynaturzenie demokracji, które polega na tym, że próbuje się narzucić wszystkim jeden punkt widzenia i karać inaczej myślących. To robią policjanci myśli.

Działania ze strony tych „policjantów myśli" doświadczył pan na własnej skórze. Pana kolega z Uniwersytetu Warszawskiego prof. Jakub Urbanik, skądinąd aktywista LGBT, dopatrzył się w pana wypowiedziach na temat imprezy w Zakopanem „deliktu dyscyplinarnego" i domaga się wszczęcia przeciwko panu postępowania dyscyplinarnego przez władze uczelni.

Nie boję się represji ze strony lobby LGBT, boję się terroru myślenia, który próbują narzucić innym. Boję się tego, że uderzają we mnie, żeby zasiać strach w milionach Polaków, którzy wyznają podobne do moich wartości, i zmusić ich do milczenia. Mówiąc o wolności – uciekają się do opresji, mówiąc o miłości – sięgają po nienawiść, mówiąc o tolerancji – wykluczają myślących inaczej, mówiąc o prawach człowieka – łamią sumienia, mówiąc o demokracji – zmierzają do tyranii. Twierdzą, że chcą równych praw dla wszystkich, a w rzeczywistości chcą wszystkich praw dla siebie. To jest totalitaryzm. Dlatego to, co się stało w Zakopanem, jest niebezpieczne także z tego powodu, że tworzy precedens.

Myśli pan, że teraz nacisk na manifestowanie poparcia dla ideologii LGBT stanie się stałym elementem imprez masowych w Polsce?

Zdecydowanie. Telewizja publiczna stworzyła wyłom, co będzie skutkowało presją ze strony promotorów LGBT. Tegoroczny Krajowy Festiwal Piosenki w Opolu odbędzie się przed wyborami i nawet ci, którzy tego nie chcą, będą poddawani presji nastawionej na tego rodzaju manifestacje, z którymi mieliśmy do czynienia w Zakopanem. Proszę zwrócić uwagę na hejt, który wylał się na Justynę Steczkowską, która na wspólnym zdjęciu z muzykami Black Eyed Peas zakryła dłonią tęczową opaskę na ramieniu jednego z nich. Mogę sobie wyobrazić, że na festiwalu w Opolu hejt spotka wszystkich, którzy nie będą chcieli założyć tęczowych opasek.

Promocji LGBT towarzyszy wynaturzenie demokracji. Próbuje się narzucić wszystkim jeden punkt widzenia i karać inaczej myślących

Ale Steczkowska tłumaczyła się, że nie ma nic przeciw LGBT, a jej gest uwieczniony na zdjęciu nie miał żadnych tego rodzaju podtekstów...

Podobnie Dolce i Gabbana – dwóch słynnych kreatorów mody, a jednocześnie homoseksualistów. Gdy powiedzieli, że są przeciwni adopcji dzieci przez pary homoseksualne, spadły na nich takie ataki, że się wycofali z tych wypowiedzi. Przypomnę też o ataku, którego celem stała się feministka J.K. Rowling, która sprzeciwiła się promocji LGBT. Wysyłano jej życzenia śmierci, a przed jej domem odbywały się hałaśliwe pikiety. Proszę też sobie przypomnieć, co spotkało abp. Jędraszewskiego za krytykę homoseksualizmu – na imprezie reklamowanej jako wybór geja roku symulowano zabójstwo arcybiskupa i nawoływano do niego.

Wypowiedzi premiera po incydencie w Zakopanem czy europosła Brudzińskiego, który powiedział, że „nic mu do tego, kto kogo i jak kocha", nie świadczą o tym, że istotna część prawicy już skapitulowała wobec agendy LGBT?

Jestem zaskoczony tą wypowiedzią i jej nie podzielam. Mogę powiedzieć za Solidarną Polskę, że w tej sprawie nie ustąpi. Zresztą ta sama telewizja publiczna, która dziś pozwala na propagowanie LGTB, wcześniej sama wielokrotnie potępiała napady homoseksualnych aktywistów na symbole chrześcijańskie.

Sądzi pan, że to celowe „przestawienie wajchy", obliczone na jakiś zysk wyborczy?

Chciałbym, żeby to była wpadka. Ale jeśli mamy do czynienia z zaplanowanym działaniem – a tak twierdzi sama TVP – to gigantyczny błąd. Proszę spojrzeć na reakcje naszych przeciwników. Cały ich obóz fetuje – od TVN do „Nie". Po tamtej stronie słychać ryk radości. A co robią ludzie z naszego środowiska? Są przerażeni. Jako poseł ziemi podkarpackiej odbieram w ostatnich dniach mnóstwo telefonów i SMS-ów od wyborców i samorządowców. Apelują: „Zróbcie coś, bo ludzie są zdezorientowani". Przecież w polityce liczy się wiarygodność. Dla mnie wyznacznikiem jest to, co zawsze mówił Jarosław Kaczyński, podkreślając, że w czasach ideologicznej despotii LGBT wymierzonej w chrześcijaństwo Polska pozostanie redutą wolności. Okazuje się, że w tej reducie są dziury.

Ja jednak mam nadzieję, że PiS podąży drogą wskazaną przez pana prezesa Jarosława Kaczyńskiego. Wspominał on niedawno o przemianach kulturowych oraz „ofensywie lewactwa kulturowego, które trwają dzisiaj na Zachodzie". – Próbuje nam się siłą wmusić te wszystkie LGBT – trafnie zaznaczył.

Czy ta nieszczelna reduta nie jest dowodem na to, że podobnie jak na Zachodzie polska prawica dała się ideologicznie skolonizować ideologom LGBT?

To ten sam kierunek, w którym poszła prawica na Zachodzie. W latach 80. ubiegłego wieku jeden ze znanych hiszpańskich socjalistów powiedział, że „Hiszpanii nie pozna własna matka" – tak przeorają społeczeństwo, media, instytucje. Na własne oczy obserwujemy ten neobolszewicki marsz przez instytucje. Częścią tego marszu jest kolonizowanie prawicowych partii w całej Europie. Na Zachodzie wielu wyborców chrześcijan czuje się dziś zdradzonych przez rzekomo prawicowych polityków. Zresztą nie dotyczy to tylko chrześcijan, lecz także ortodoksyjnych Żydów, którzy chcą być wierni Torze. Niedawno zamknięto organizację Jonah, która prowadziła terapię osób, które starały się wyjść z homoseksualizmu.

Jeśli władze Uniwersytetu Warszawskiego wytoczą przeciw panu postępowanie dyscyplinarne, nakażą przeprosiny społeczności LGBT za pańskie wypowiedzi po Sylwestrze Marzeń, to pokaja się pan i przeprosi?

Jestem chrześcijaninem i nie wstydzę się swoich poglądów. A jeżeli chrześcijanin zostaje politykiem, to tym bardziej nie powinien kryć się ze swoimi przekonaniami. Papież Benedykt XVI powiedział, że Ewangelii nie można ograniczać do sfery prywatnej. Powinna być głoszona „na dachach, po krańce ziemi". Dlatego będę absolutnie konsekwentnie bronił swojego stanowiska, nie będę w żaden sposób ulegał ani za nic przepraszał. Mogą mnie wsadzić do więzienia, ale nie zmienię swoich poglądów. Jeżeliby mnie złamali, to byłby to sygnał dla całego społeczeństwa, aby się bać, a jednocześnie triumf wrogów wolności i niezależnego myślenia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 480f0f55e5

Cicha prywatyzacja edukacji

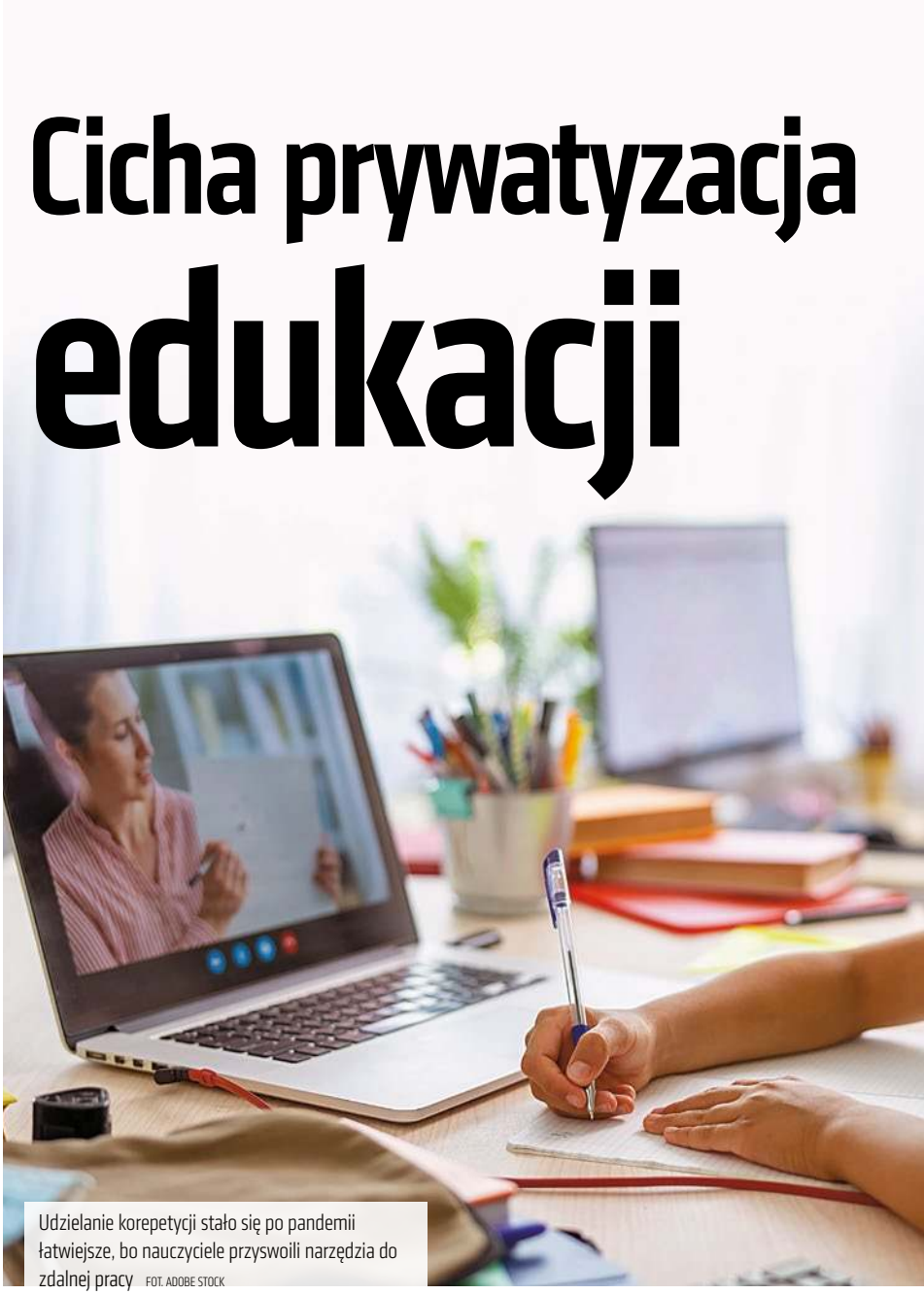

Udzielanie korepetycji stało się po pandemii łatwiejsze, bo nauczyciele przyswoili narzędzia do zdalnej pracy FOT. ADOBE STOCK

Łukasz Zboralski

Szkołom brakuje nauczycieli nie tylko dlatego, że młodzi ludzie nie chcą podjąć pracy za marną pensję. Wielu też odchodzi z zawodu, by udzielać korepetycji, na których zarabiają wielokrotnie więcej. Całkiem niedługo dobrze wyedukowane dzieci w Polsce będą mieli tylko ci, których na to stać

Szkolna zapaść zaczyna być już bardzo widoczna w Polsce. W wielu placówkach dyrektorzy gorączkowo poszukują nauczycieli i czasem proszą już nawet rodziców o pomoc w ich znalezieniu. I nie chodzi tu tylko o nauczycieli języków obcych, z których zatrudnianiem – przez niskie płace – kłopot był od dawna, ani o nauczycieli przedmiotów zawodowych, którzy w konkretnych branżach woleli zarabiać kilkukrotnie więcej niż w szkołach. Brakuje już nauczycieli podstawowych przedmiotów, takich jak chemia, fizyka, matematyka.

Pierwszy powód tego stanu rzeczy jest prostą konsekwencją fatalnego sytemu wynagrodzeń nauczycieli, utrzymywanego przez wszystkie dotychczasowe rządy. W systemie zaplanowano bowiem, że każdy wkraczający do zawodu – bez względu na kompetencje – dostaje niską pensję, a awansuje wyłącznie przez zasiedzenie, co kilka lat przeskakując kolejny szczebel finansowy (także bez względu na to, jak dobry jest w swojej pracy).

Płace nauczycieli rosły, owszem, ale gospodarka przez lata w Polsce rozwijała się lepiej i na tle innych zawodów ten ważny dla przyszłych pokoleń znów się pauperyzował. Dość powiedzieć, że od 1 stycznia tego roku, gdy płaca minimalna wzrosła do 3490 zł, to zaczęła być wyższa o 66 zł od wynagrodzenia zasadniczego początkującego nauczyciela z tytułem magistra (3424 zł brutto). To porównanie staje się jeszcze bardziej dramatyczne, jeśli uwzględnimy wynagrodzenie podstawowe nauczyciela w przedostatnim stopniu jego kariery zawodowej. Nauczyciel mianowany zarabia dziś 3597 zł, czyli zaledwie 107 zł więcej, niż wynosi płaca minimalna.

Nie wróży to nijak napływu nowych pracowników do szkół. No bo kto pójdzie na pięcioletnie studia pedagogiczne, a potem do pracy z dziećmi, gdy od razu po średniej szkole (albo i bez niej) może za większe pieniądze zacząć pracować na kasie supermarketu? Na przykład w sieci Biedronka – po niedawnych podwyżkach – początkujący kasjer zarobi dziś od 3950 do 4300 zł brutto. Po trzech latach pracy może już liczyć na 4100–4550 zł brutto. Początkujący magazynierzy zarabiają tam obecnie od 4300 do 4600 zł brutto.

A świeża krew polskiej szkole potrzebna jest jak nigdy. Przy tablicach zostało już głównie średnie pokolenie i ci, którzy dawno powinni już być na emeryturze. Gdzieniegdzie sytuację ratują wracający do zajęć np. 70-latkowie!

BŁĘDNE KOŁO

Ta sytuacja ma swoje głębokie konsekwencje. Po pierwsze, nabór do zawodu stał się znów mocno negatywny – czyli trafiać będą tam najczęściej nie najlepsi możliwi w tym fachu, a ci, którym w życiu nie powiodło się na rynku pracy (wyłączając część ludzi, którzy naprawdę swoje życie widzą jako misję nauczania innych).

To zresztą już widać. Szkoły trapią bowiem nie tylko dziury kadrowe, to też problem coraz słabszych pracowników. Ci, którzy wytrwale wciąż pracują, są z innej epoki. Bardzo często nie byli

eprasa.pl 480f0f55e5

w stanie dostosować się do wymogów nowoczesnego nauczania. To np. historycy, którzy wciąż uważają, że najlepiej sprawdzić pamięciową wiedzę ucznia z konkretnych dat wydarzeń, zamiast nauczyć go weryfikowania źródeł, rozumienia procesów, rozumowania.

Dodajmy do tego wciąż przeładowany program szkolny. Tak – przeładowany! Mimo utartego społecznie niesłusznego poglądu polskie dzieci uczy się wciąż zbyt wielu rzeczy i często całkiem zbędnych. Tylko ci, którzy mają dzieci szkolne, wiedzą, jak szczegółowo uczą się one np. w szkołach podstawowych tego, jak narysować na mapie kierunki monsunu, z którymi zdecydowana większość z nich w życiu się nie spotka, no, może na wakacjach spędzanych w Azji. Tym, którzy nie wierzą w przeładowanie programów, polecam sprawdzenie, czego o komórce na biologii dowiadywali się w szkołach podstawowych 30 lat temu i tego, czego obecnie muszą o niej wiedzieć uczniowie.

CO TRZECI NA „KORKACH"

Konsekwencją zderzenia tych czynników – braku nauczycieli, słabszej kadry i szerokich wymagań wobec uczniów – jest coraz większa potrzeba korzystania z edukacji poza szkołą, czyli z korepetycji. I nie można się dziwić rodzicom, że w takiej sytuacji próbują zabezpieczyć edukację swoich dzieci.

Jeszcze dekadę temu korepetycje swojemu dziecku opłacał co ósmy rodzic. Według ostatniego badania CBOS („Wydatki rodziców na edukację dzieci w roku szkolnym 2021/2022) na płatne korepetycje wysyłany jest już co trzeci uczeń w kraju. Niezmiennie bardzo dużo rodziców opłaca dzieciom dodatkową naukę języków obcych (32 proc.), co świadczy o tym, że przez lata polska szkoła nie potrafiła zapewnić takiej nauki na odpowiednim poziomie (zmusza dzieci w podstawówkach do nauki dwóch języków obcych, zamiast poświęcić czas na lepszą naukę choćby jednego; nauczyciele mówią głównie po polsku na zajęciach, co nie pomaga rozwijać znajomości języka dzieciom itd.). W tym roku szkolnym CBOS zauważył też wzrost wydatków rodziców na kursy przygotowawcze (z 20 do 25 proc.).

Według CBOS średnie miesięczne wydatki na zajęcia dodatkowe dla dzieci w 2021 r wyniosły w Polsce 440 zł. Mogą być jednak znacznie większe. Z raportu Santander Consumer Banku („Polaków portfel własny) wynikało, że w ubiegłym roku rodzic wydawał w Polsce na zajęcia dla jednego dziecka 400–800 zł miesięcznie. A ceny wciąż idą w górę. Ile dziś płaci się za to, co dziecko powinno otrzymywać w szkole?

– Moja córka z drugiej klasy liceum ma korepetycje z chemii, ponieważ interesuje się tym przedmiotem i chce się rozwijać. Płacimy 90 zł za godzinę zajęć on-line, co miesięcznie kosztuje nas 360 zł – opowiada pani Mariola z Warszawy. – Do tego płacimy jeszcze za zajęcia z matematyki na poziomie rozszerzonym, ale z innego powodu. Po prostu nauczyciel nie potrafi przekazać wiedzy. Te zajęcia z kolei kosztują 150 zł za godzinę, czyli 600 zł miesięcznie. Aby zapewnić mojemu dziecku prawidłową edukację, wydaję dwa razy więcej niż otrzymywane od rządu „500+" – dodaje.

Ceny są oczywiście zróżnicowane. W dużych ośrodkach są znacznie wyższe, na prowincji jest taniej. I tak jak w stolicy za godzinę matematyki można zapłacić 100 zł, tak w Rzeszowie czy Gdańsku można już mieć korepetytora za 60–80 zł. Są i tacy nauczyciele, którzy np. w przypadku lekcji języka obcego na wysokim poziomie potrafią wycenić godzinę zajęć na 180 zł. Twierdzą, że ich grafiki i tak są przepełnione.

Wartość rynku korepetycji w Polsce wciąż rośnie. Szacunki na rok szkolny 2020/2021 oceniają jego wartość już nawet na 7,5 mld zł. Trudno się dziwić, że ten rynek wsysa coraz więcej nauczycieli, którzy zostawiają pracę w szkołach. Przy zarobkach 150 zł na godzinę wystarczy udzielać korepetycji dwie godziny dziennie, by zarobić 6 tys. zł. Tyle nie jest w stanie zarobić w miesiąc nauczyciel, który osiągnął szczyt zawodowej kariery i przeszedł wszystkie szczeble awansu.

Czym to wszystko nam grozi, niestety wiadomo. Ci, którzy są zamożni – czyli stać ich na kupowanie wiedzy dla dzieci – będą mieli wykształcone potomstwo, które będzie miało lepszy niż inni start w życie. Dzieci uboższych systemowo skazane będą na trudniejszą życiowo drogę.

„Wyniki uczniów pochodzących z gospodarstw o podobnym poziomie wykształcenia rosną wraz ze wzrostem dochodów w tychże gospodarstwach" – zauważali już w 2014 r. polscy badacze edukacji w raporcie Instytutu Badań Edukacyjnych („Czy szkoła ma znaczenie?"). I dodawali: „Dodatkowym wsparciem są dla nich także płatne zajęcia pozaszkolne lub kursy przygotowujące do egzaminu, na opłacenie których pozwolić sobie mogą zamożniejsi rodzice o wyższym poziomie wykształcenia – uczniowie korzystający z tych kursów uzyskali wyższe wyniki niż uczniowie, którzy z nich nie korzystali".

A ten efekt zacznie być coraz bardziej widoczny. Nijakim uspokojeniem dla Polaków nie mogą być słowa ministra edukacji, który twierdzi, że ze względu na niż demograficzny za jakiś czas potrzeba będzie nam o wiele mniej nauczycieli. System zapadnie się wcześniej. I koszty tego nie będą liczone jedynie w wydatkach rodziców na korepetycje, to będą poważne koszty społeczne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 480f0f55e5

Zuzanna Dąbrowska

Wbrew modzie na apostazję, która opanowała rodzimy show-biznes, restaurator Wojciech Modest Amaro głośno mówi o swoim nawróceniu. To nie podoba się niektórym celebrytom, nie mogą znieść, że wiara może być powodem do dumy

Wojciech Modest Amaro wraz z żoną dają świadectwo wiary FOT. ADAM BURAKOWSKI/REPORTER

Czy można chwalić Kościół?

Kilka lat temu Wojciech Modest Amaro był obecny w świadomości szerokiej widowni. Był jurorem kulinarnego reality show Polsatu „Top Chef". Jednocześnie wcielał się w rolę gospodarza innego show z gotowaniem jako tematem głównym, czyli „Hell's Kitchen. Piekielna kuchnia". Oba programy cieszyły się dużą popularnością, a występujący tam restaurator (urodzony jako Wojciech Basiura, nazwisko Amaro przejął od żony) miał wizerunek wymagającego, ostrego i bezkompromisowego.

W pewnej chwili jednak kucharz zniknął z ekranu. Przez dłuższy czas nie udzielał wywiadów. Aż do niedawna. Do mediów wrócił nie po to, by promować nowe projekty kulinarne, ale by opowiadać o nawróceniu na wiarę katolicką. Zawodowo ma się czym pochwalić – w 2011 r. w Warszawie otworzył restaurację Atelier Amaro, która w 2013 r. jako pierwsza restauracja w Polsce uzyskała gwiazdkę Michelin. Działała ona do 2020 r. Wojciech M. Amaro i jego żona Patrycja dokonali w życiu rewolucji. Restaurator sprzedał swoje restauracje w Warszawie i Zakopanem. Obok zakupu luksusowego domu na warszawskim Wilanowie rozpoczął budowę Forgotten Fields Farm, czyli gospodarstwa w mazowieckiej wsi Dębówka. – Farma będzie miejscem dla młodych ludzi, którzy mają problem z odnalezieniem się we współczesnym świecie, który jest tak bardzo konsumpcyjny, tak bardzo medialnie dostępny, ale dla niektórych jest potwornie trudny. Moja Fundacja Nowe Życie Polska będzie pomagać stanąć im na nogi, będziemy pomagać im wzrastać przez modlitwę i pracę – deklarował Amaro w jednym z wywiadów. Dziś miejsce to funkcjonuje także jako luksusowa ekofarma, gdzie można przyjechać, aby spotkać się z kucharzem i spróbować przygotowanej przez niego kolacji.

BOŻEK SUKCESU

Podczas letniego Festiwalu Życia w śląskim Kokotku kucharz spotkał się z młodymi uczestnikami. Wyznał, że „zostawił za sobą całkowicie swoje życie i starał się żyć stylem Maryi". Opowiedział o cieniach życia na świeczniku. – Najbardziej żałuję tego, że kuchnia i związany z nią sukces w pewnym momencie stały się dla mnie bożkiem – wskazał.

Restaurator podkreśla, że dla niego nie da się wierzyć w Jezusa, będąc z dala od Kościoła. – Wielu ludzi narzeka na Kościół, na księży, z tego powodu też z Kościoła odchodzą. Ja dziś wiem jedno: Jezusa odnajdziesz tylko w Kościele. To jest zgoda na wypełnienie się woli Bożej w swoim życiu. Nie ma szuflad dla Pana Boga. Trzeba zaprosić go do każdej przestrzeni swojego życia, a nie tylko do tych, o których myślimy, że są dla niego przeznaczone – apelował do uczestników Festiwalu.

Sam twierdzi, że nie przeszedł nawrócenia, ale został „przywrócony do wiary". – Nie nawróciłem się, tylko zostałem przywrócony do wiary, bo moje dzieciństwo zawsze kręciło się wokół Kościoła. Byłem ministrantem, potem lektorem, fragmenty Pisma Świętego czytałem jeszcze w szkole średniej. Odnalezienie na nowo wiary pozwoliło mi zmienić spojrzenie na wiele rzeczy – wskazał.

eprasa.pl 480f0f55e5

Teraz Wojciech Amaro wraz z żoną Agnieszką głoszą świadectwa i chętnie udzielają wywiadów. W jednym z nich kucharz powiedział, że wiara i instytucja Kościoła są dla niego nierozłączne. Stwierdził więc coś, co dla wielu wierzących jest oczywiste, natomiast w oczach krytyków Kościoła brzmi wręcz jak bluźnierstwo – bo przecież skoro już ktoś koniecznie musi wierzyć, to niech robi to, podkreślając całe zło, jakie niesie ze sobą Kościół („Modlić mogę się wszędzie, bo Bóg jest wszędzie, nie tylko w kościelnym budynku" – tak można by streścić owo podejście). Tymczasem Amaro chwali wspólnotę nie tylko w wymiarze duchowym, lecz także instytucjonalnym. To obruszyło popularną influencerkę Julię Kuczyńską, która w mediach społecznościowych funkcjonuje jako Maffashion.

„OK, też poznałam spoko księży. To nie zmienia faktu, że od lat nie chcę być w statystykach organizacji zwanej Kościołem. Moje dziecko też nie będzie. Chyba że kiedyś samo o tym zadecyduje. Zresztą już o tym mówiłam" – napisała „szafiarka" w instagramowej relacji. Pokazała nagłówki z artykułów prasowych: „Pedofilia w Kościele", „Kościół odmawia sądowi", „Pedofilią w Kościół. Oblicza kłamstwa", zachęcając obserwatorów do dyskusji. Jednocześnie oznajmiła, że zastanawia się nad dokonaniem apostazji. „Osobiście rozważam apostazję. I nie. To nie moda" – zapewniła Maffashion.

Można by zadać pytanie, że skoro Kuczyńska nie podąża za antykościelną modą, tylko prezentuje efekty własnych dogłębnych przemyśleń, to dlaczego o apostazji mówi akurat teraz, kiedy temat ten „grzeje" polskich celebrytów. I dlaczego uznała, że koniecznie musi się odnieść do wypowiedzi restauratora, jeśli jego głos jest właściwie jednym z niewielu głosów ludzi świata show-biznesu, który Kościoła i księży nie krytykuje, ale ośmiela się mówić o ich wartości? „Można wyrażać swoją opinię na różne tematy. Ale czy trzeba oceniać przy tym życie innych? Mam chociaż nadzieję, że kiedy szydzisz z osób wierzących, czujesz się lepiej. Wszystkiego dobrego" – napisał jeden z internautów. „Nigdy nie szydziłam z osób wierzących. I nie zamierzam. W moim otoczeniu są osoby różnych religii itd. Natomiast uzurpuję sobie prawo do komentarza odnośnie do pewnych tez o Kościele, jak i jego ogólnego funkcjonowania" – odparła influencerka.

PRZYPADEK SZCZEGÓLNY

O ile jasne jest, że każdy ma prawo do wyrażenia swojego zdania na temat wiary, księży i może ogłaszać, gdzie tylko chce, że odchodzi ze wspólnoty, o tyle ciekawe, iż zdecydowana i jasna deklaracja Wojciecha M. Amaro idąca w poprzek mainstreamowej narracji wywołała tak zdecydowaną reakcję. Należy założyć, że stało się to, ponieważ o Kościele w pozytywny sposób wypowiedział się nie celebryta drugiej kategorii, znany z np. małej roli w serialu, czy ktoś funkcjonujący na obrzeżach świata gwiazd, mający lata świetności za sobą, ale człowiek, który obiektywnie odniósł międzynarodowy sukces. Nie tylko w swojej branży rozumianej wąsko, czyli kulinariach (w 2020 r. Międzynarodowa Akademia Gastronomiczna w Paryżu uhonorowała go najbardziej prestiżową nagrodę kulinarną świata Grand Prix de l'Art de la Cuisine; a to tylko jedna z wielu nagród). Był osobowością telewizyjną występującą w prime time największych stacji komercyjnych. Z kariery zrezygnował z własnej woli, dokonując przemeblowania priorytetów życiowych. Nie zrezygnował też z celebryckiego entourage'u. W mediach społecznościowych pokazuje zagraniczne podróże, drogie samochody i wystawne życie. To po prostu nie „klei się" z pochwałami księży i Kościoła.

Wzorcowym przykładem polskiego celebryty antyklerykała jest pisarz Jacek Denhel, zadeklarowany gej. „Rosnąca agresja Kościoła katolickiego wobec społeczności LGBT, publiczne wspieranie nacjonalizmu, zaangażowanie w politykę po stronie partii rządzącej, organizowanie propagandowych kampanii kłamstw i oszczerstw, przede wszystkim zaś obrzydliwy, powszechny i systemowy proceder ukrywania gwałtów i molestowania dzieci przez funkcjonariuszy Kościoła [...] sprawiły, że moje sumienie nakazało mi odciąć jakiekolwiek więzy, łączące mnie z tą instytucją, nawet takie, które osobiście uważam za urojone" – tak Denhel uzasadniał swoją decyzję o apostazji. Z kolei aktorka Katarzyna Warnke, która również odeszła ze wspólnoty, także motywowała to m.in. postawą kapłanów, którzy jej zdaniem nadmiernie angażują się w politykę. O swoim podejściu do instytucji Kościoła mówił też wokalista Dawid Podsiadło, którego deklaracja o apostazji wywołała dużą dyskusję. – Mam problem z instytucją, a nie z wiarą. Wszyscy widzimy kolejne mnożące się przypadki pedofilii, wtrącanie się w sprawy polityczne, światopoglądowe. Nie piętnuję wiary, tylko hipokryzję – przekonywał w podcaście „Wojewódzki & Kędzierski".

Na tym tle Wojciech Modest Amaro faktycznie jawi się jako przypadek szczególny. Zwłaszcza jeśli prześledzić wypowiedzi gwiazd, które do wiary się przyznają, jednak z pewnym „ale". Tym „ale" są zazwyczaj kapłani i uznanie, że Kościół jako instytucja jest wartością. – Inteligentni ludzie potrafią odróżnić religię, wiarę od Kościoła i robaczywych instytucji. Często dostaję wiadomości typu: „Przez panią i resztę Polski kler ma się dobrze". Nie, nie zgadzamy się na to. Dlatego powinno to wiele razy zabrzmieć głośno i wyraźnie, że wiara i Kościół to często dwie różne rzeczy – stwierdziła projektanta Ewa Minge.

Jako podsumowanie całej dyskusji można przytoczyć słowa żony kucharza, Agnieszki: „Żeby zgłębić wiarę, nie można się odcinać od Kościoła. Ludzie tego nie rozumieją. Patrzą na wiarę przez pryzmat tego, co robią księża. To są też ludzie, którzy popełniają błędy i będą z tego rozliczani. Bez księży nie ma nas. Będziemy oderwani od wszystkich sakramentów, od spowiedzi, która jest dla nas kluczowa. Od chrztów, od ślubów. Trzeba się nad tym zastanowić głębiej, zanim zacznie się krytykować ten nasz Kościół".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 480f0f55e5

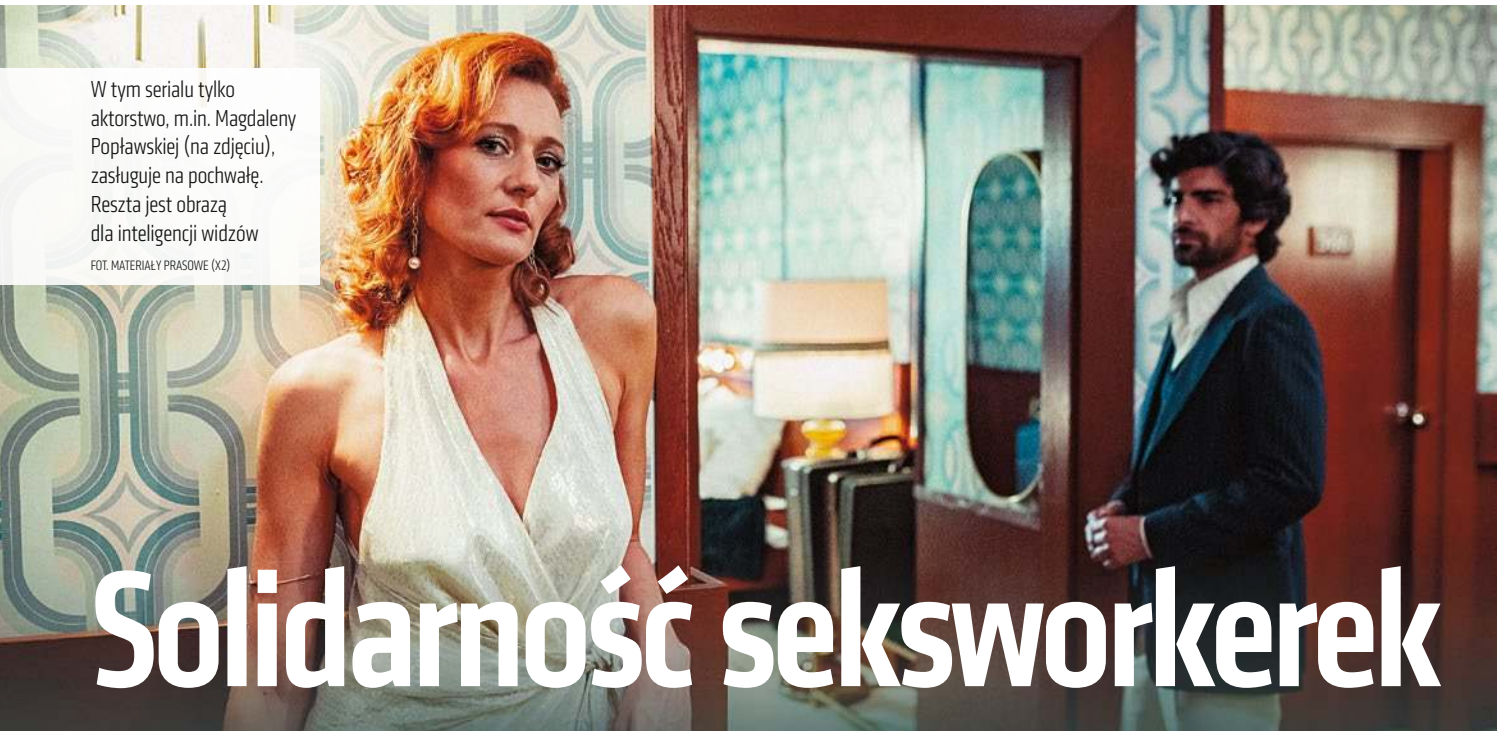

W tym serialu tylko aktorstwo, m.in. Magdaleny Popławskiej (na zdjęciu), zasługuje na pochwałę. Reszta jest obrazą dla inteligencji widzów

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (X2)

Solidarność seksworkerek

Dariusz Wieromiejczyk

Jeśli fabuła serialu „Brokat" nie jest ledwo zawoalowaną reklamą prostytucji, to nie wiem doprawdy, co miałoby nią być

Rzecz rozgrywa się w Trójmieście, w połowie lat 70. ubiegłego wieku. Widzimy przestronny salon okazałej, przedwojennej willi. Trwające w nim przyjęcie rozkręciło się już na dobre. Uczestniczy w nim co najmniej pół setki młodych, modnie ubranych ludzi, co chwila dołączają do nich następni. Inni, bardziej niż alkoholu spragnieni świeżego powietrza, wychodzą na przestronny taras, by kontynuować flirty i pogawędki. Dom należy do wysoko postawionego partyjniaka, ale pod nieobecność rodziców bawią się w nim studenci, „bananowa" młodzież, garść obcokrajowców i przynajmniej jedna luksusowa prostytutka. Nagle z tłumu gości wyłania się konferansjer, zawodowo prowadzący dancingi w luksusowym sopockim hotelu. Światło przygasa, wodzirej homoseksualista, bawiąc się ciekawością zebranych, zapowiada atrakcję wieczoru – striptiz.

Niepozorny młody mężczyzna niecierpliwie czeka na występ. To on będzie atrakcją wieczoru. Jest zarazem prowokacyjny i nieśmiały, droczy się z otaczającą go publicznością, pozorując zakłopotanie debiutanta. Nic dziwnego, że ta nagradza go oklaskami i zachęca do pozbywania się kolejnych części garderoby. Koszulę zostawia sobie na koniec. Zrzucając ją, odwraca się do publiczności plecami. Oczom rozbawionych imprezowiczów ukazują się poznaczone sińcami plecy. Striptizer jest pobitym opozycjonistą z Radomia, a jego „występ" był elementem zbiórki mającej na celu wsparcie buntujących się przeciw komunistycznej opresji robotników. Krążący po zatłoczonym saloniku kapelusz szybko zapełnia się banknotami. To przecież Wybrzeże i tu już za cztery lata narodzi się Solidarność.

Jeśli szanowni czytelnicy uznali, że piszący te słowa oszalał albo, co gorsza, robi sobie niesmaczne żarty z polskiej historii, proszę o wybaczenie. Opowiedziałem tylko jedną ze scen nowego polskiego serialu zatytułowanego „Brokat". Serial liczy sobie 10 odcinków, a w ofercie Netflixa pojawił się dwa tygodnie przed świętami Bożego Narodzenia.

TRZY PROSTYTUTKI

Bohaterami „Brokatu" nie są jednak działacze SKS ani KOR. Są nimi trzy prostytutki, które Aleksandra Chmielewska, główna scenarzystka i producentka kreatywna serialu, opisuje jako „kobiety, które chcą decydować o sobie. Czasem muszą za to dużo zapłacić, ale nie wyobrażają sobie innego życia".

W wywiadzie, którego współtwórczyni „Brokatu" udzieliła portalowi Trojmiasto.pl, bohaterki serialu urastają wręcz do wymiaru bojowniczek o wolność, u których raczkująca opozycja polityczna mogłaby pobierać nauki obywatelskiego zaangażowania: „Przede wszystkim nie przyjmują przypisanych im społecznie i kulturowo ról. Przy czym to postawa nieideologiczna, a wynikająca z ich wewnętrznej, naturalnej potrzeby kierowania własnym życiem i wyłącznego decydowania o własnym ciele. Patrząc z tej perspektywy, to postaci bardzo nowoczesne. Bo lata 70. to przecież dopiero początek kwestionowania sytuacji, w której kobiety przyjmują instrukcje i wypełniają role, wspaniałomyślnie powierzone im przez mężczyzn".

Sądzę, że umiejscowienie fabuły serialu w realiach lat 70., obcych młodej widowni Netflixa, spowodowane zostało radykalizmem propagowanego światopoglądu. Twórcy „Brokatu" opowiadają wprawdzie w materiałach promocyjnych o swojej fascynacji epoką Gierka, jednak jest ona w serialu przedstawiona nadzwyczaj cukierkowo i powierzchownie.

Osadzenie we współczesnych realiach historii o prostytucji jako drodze do kobiecej wolności, samodzielności i osobistego rozwoju byłoby dla współczesnych widzów wciąż jeszcze niewiarygodne.

eprasa.pl 480f0f55e5

Niektórzy mogliby poczuć się zszokowani. Umiejscowienie opowieści w latach 70. pozwoliło na złagodzenie przesłania serialu, lokując go w rzeczywistości niemal fikcyjnej, dziejącej się „dawno, dawno temu". Bohaterki „Brokatu" prostytuują się w dziwnych czasach, kiedy jeden „numerek" dewizowej prostytutki wart był równowartość całomiesięcznych zarobków, a praca w hotelu jak żadna inna pozwalać miała na poznawanie obcokrajowców, ćwiczenie języków obcych, a może nawet opuszczenie na zawsze „tego kraju", z jego ubóstwem, zacofaniem i patriarchalną siermięgą. Jak opowiada w wywiadzie scenarzystka „Brokatu": „Praca seksualna była jednym z nielicznych, jeśli nie jedynym sposobem na uzyskanie niezależności finansowej – seksworkerki należały wręcz do elity majątkowej kraju". Czyżby?

Nasuwa się pytanie: Dlaczego „seksworkerkami" nie została w epoce Gierka zdecydowana większość Polek? Serial podsuwa na nie odpowiedź – winne są zacofanie i nieumiejętność odkrycia w pracy seksualnej „świadomego wyboru życiowego". Tylko najodważniejsze z rodaczek wiedziały już, gdzie stoją życiowe konfitury. Zacytujmy raz jeszcze producentkę kreatywną „Brokatu": „Bohaterowie korzystają z uroków Wybrzeża i kanikuły: bawią się, plażują, zakochują, dużo zarabiają i dużo tracą. Ich perypetie są zmysłowe, intensywne, pełne wakacyjnej energii".

Współczesny serial Netflixa byłby dziełem niepełnym bez silnie zaznaczonego wątku LGBT. Tak też się dzieje – o ile najciekawszymi kobietami w serialu są damy lekkich obyczajów, o tyle najdowcipniejszy i najuczciwszy mężczyzna musi okazać się homoseksualistą.

Oryginalnie przedstawione zostały w „Brokacie" relacje pomiędzy prostytutkami a nadzorującymi ich środowisko esbekami. Najbardziej doświadczona w nierządzie „mądra życiowo" Helena jest zaangażowana w związek z prowadzącym ją funkcjonariuszem. Łączy ich obopólne uczucie – silniejsze nawet ze strony równie wrażliwego i inteligentnego esbeka. Ten regularnie grywa z Heleną w tenisa, wysłuchując z jej strony poufałych połajanek. Zakochany oddaje jej w momencie słabości podpisaną przed laty deklarację współpracy z SB. Podglądając partnerkę w łóżku z innymi, przeżywa istne katusze zazdrości, choć sam Helenę przecież do seksualnych zadań wysyła. Służba nie drużba, wiele musiał oficer wycierpieć.

Inna z przedstawionych w serialu dziewcząt to pionierka polskiego biznesu kosmetycznego. W domowym garażu rozlewa produkowany pokątnie szampon – dopóty, dopóki chutliwy urzędnik nie pozbawi jej koncesji. Kupcząc ciałem, Pola marzy zarazem o sprzedawaniu autorskiej marki perfum. Z czasem uda jej się dopiąć celu. Pomogą osobista przebojowość, zdobyte w hotelu znajomości i kontakty z funkcjonariuszami SB. Można podejrzewać, że serialowe prostytutki ucieleśniają postkomunistyczną transformację ustrojową, kilkanaście lat przed Okrągłym Stołem wykuwając, w hotelowych łóżkach, fundamenty polskiej przedsiębiorczości.

Jeśli fabuła „Brokatu" nie jest ledwo zawoalowaną reklamą prostytucji, to nie wiem doprawdy, co miałoby nią być. Występujące w serialu aktorki dają jednak świadectwo odwagi i talentu, usiłując w niesprzyjających okolicznościach stworzyć intrygujące kreacje. Kulawy scenariusz i drewniane dialogi raczej im w tym nie pomagają. Właśnie aktorstwo odtwórczyń głównych bohaterek, a także brawurowa rola Bartłomieja Kotschedoffa zasługują na pochwałę. Miejmy nadzieję, że Magdalena Popławska, Wiktoria Filus i Matylda Giegżno będą jeszcze miały okazję pokazać swój talent w dziełach nieobrażających tak jawnie inteligencji i pamięci widzów.

STREAMING DĄŻĄCY DO ZMIAN

Niedawna premiera „Brokatu" przypomniała mi inną kontrowersyjną obyczajowo polską produkcję Netflixa – serial „Królowa". Mimo kosztownej reklamy nie odniósł on większego sukcesu, szybko znikając z listy popularnych w portalu nowości. Największą gwiazdą produkcji był Andrzej Seweryn, grający rolę leciwego homoseksualisty – wracającego z Francji draq queen, skonfrontowanego z zapóźnionymi obyczajowo mieszkańcami polskiej prowincji. Jak zapewniał Andrzej Seweryn w wywiadzie udzielonym pismu „Glamour", same tylko próby makijażu i tańca, niezbędne do wczucia się w rolę, zabrały mu kilka tygodni. Udział w kręceniu „Królowej" aktor ocenił jako „piekielnie ważny". Na pytanie „Dlaczego?" odpowiedział: „Ze względu na to, jak się tą rolą prezentuję społeczeństwu. Mam nadzieję, że będę wspierał dialog, do którego jestem gotów". Na razie jednak, zamiast wspierania enigmatycznego dialogu, Andrzej Seweryn podzielił się z czytelnikami wyznaniem, że słowo „tolerancja" podejrzewać zaczął o „niedobrą dwuznaczność". Cytuję fragment wywiadu: „»Ja cię toleruję« może przecież brzmieć jak »Jestem lepszy«". Zamiast tolerancji Andrzej Seweryn preferuje „współistnienie", „przyjęcie kogoś". Takie podaje przykłady: „Kogoś, kto nosi zielone włosy. Kto nie jest ani mężczyzną, ani kobietą. Kto jest Chińczykiem. Kto jest kulawy, garbaty albo śmierdzi".

Nie wiem, co sądzą o dywagacjach dyrektora Teatru Polskiego postawieni w podobnym kontekście Chińczycy, mam jednak wyrobione zdanie o linii programowej polskiego oddziału Netflixa. Jest nią dążenie do radykalnych zmian kulturowych w Polsce, próba ukształtowania młodych pokoleń widzów według najlepszych zasad inżynierii społecznej. Amerykański koncern realizuje swoje zamierzenia z konsekwencją i rozmachem. Gdyby filmowa polityka historyczna „dobrej zmiany" prowadzona była z podobną determinacją, a nie ograniczała się jedynie do pustych gestów i łudzących deklaracji, przez osiem minionych lat stworzono by przynajmniej pół tuzina seriali na poziomie wyprodukowanego przed laty „Czasu honoru". Tak się jednak nie stało, a były już prezes TVP Jacek Kurski zapewniał jeszcze przed rokiem o chęci rozwijania współpracy „produkcyjnej i licencyjnej" z Netflixem. Oświadczenia takie mogły dziwić osoby biorące za dobrą monetę deklaracje światopoglądowe włodarzy polskiej kultury i mediów. Jak mawiał pewien niemiecki myśliciel, drogowskazy nie muszą iść w kierunku, który wskazują. Polskie doświadczenie uczy, że zdarza im się biegnąć w dokładnie przeciwną stronę.

„BROKAT"
NETFLIX 2022

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 480f0f55e5

Zło czai się wszędzie

Piotr Gociek

W filmowym pojedynku „Glass Onion" kontra „Patrz, jak kręcą" wybieram ten drugi. Kryminał lepszy, mądrzejszy i bardziej ludzki

Istota dobrego kryminału polega na tym, że jego sprawcą musi być ktoś oczywisty" – pisała Agatha Christie w swojej „Autobiografii". I dalej: „A przy tym z tego czy innego powodu okaże się, że nie jest wcale taki oczywisty, bo nie mógł chyba popełnić tego morderstwa. A jednak je popełnił".

Dwa filmy, które nawiązują do dorobku królowej kryminału, rywalizują o naszą uwagę w ostatnich tygodniach. O pierwszym słyszeli wszyscy, drugi uszedł przegapiony w kinach i nieśmiało puka do nas ze świata streamingu. Jeden to głośna, wyczekiwana premiera Netflixa, który po fenomenalnym sukcesie kinowym filmu „Na noże" podkupił reżysera Riana Johnsona i dał mu wolną rękę w kręceniu kontynuacji. I tak powstał „Glass Onion: Film z serii »Na noże«" w którym powraca najlepszy detektyw świata Benoit Blanc (Daniel Craig). Zawiązanie intrygi musi się kojarzyć z Agathą Christie: grupa znajomych otrzymuje zaproszenie na weekend w posiadłości multimilionera. Na bilecikach informacja, że prywatną wyspę na Morzu Jońskim mają odwiedzić, by rozwikłać zagadkę morderstwa. Dziwna to gromadka: celebrytka żyjąca z pojawiania się na okładkach kolorowych magazynów i sprzedaży własnej linii dresów, mięśniak sławny dzięki swojemu kanałowi w Internecie, gubernatorka stanu Connecticut walcząca o fotel senatorski, naukowiec pracujący nad przełomowym odkryciem dla firmy Alpha (należącej do gospodarza) itd.

W skromniejszym filmie Toma George'a „Patrz, jak kręcą" (dostępny w Disney+) Agatha Christie pojawi się osobiście, a cała akcja okręcona jest wokół sukcesu jej głośnej sztuki „Pułapka na myszy". Jej premiera miała miejsce w Nottingham 6 października 1952 r., po kilku tygodniach dramat trafił na londyński West End, gdzie stał się najdłużej graną sztuką w historii (nieprzerwanie aż do wybuchu pandemii COVID-19). Reżyser Tom George i scenarzysta Mark Chappell podpowiadają, że tak być nie musiało: w ich opowieści w dniu setnego przedstawienia zamordowany zostaje reżyser planowanej adaptacji filmowej; niewiele brakuje, by zamknięto teatr, a zamiary producenta pozostały niezrealizowane. Tutaj do wyjaśnienia zagadki zabiera się niedobrana para: inspektor Stoppard (Sam Rockwell) oraz początkująca konstabl Stalker (Saoirse Ronan). „W pierwszej obsadzie główne role grali Richard Attenborough i jego czarująca żona, Sheila Sim" – pisała po latach Christie. Także oni pojawiają się w tej komedii, bo bardzo zręcznie wpleciono tu fikcyjne wydarzenia w biografie prawdziwych osób. Na przykład producentem, pragnącym zrealizować film według „Pułapki", jest autentyczny filmowy inwestor z tamtych czasów John Woolf, który naprawdę wyprodukował choćby „Afrykańską królową" z Humphreyem Bogartem i Katharine Hepburn.

REŻ. RIAN JOHNSON
„GLASS ONION"
USA 2022

MORDERCĄ STAĆ SIĘ MOŻE KAŻDY

Obydwa filmy nie istniałyby, gdyby nie Agatha Christie. W czasach, gdy kryminały zostały wyparte przez kino sensacyjne i thrillery, zapominamy o tym, jak wielki wpływ na rozwój kultury popularnej miała autorka „Śmierci na Nilu". Wspomnijmy elementy jej sukcesu: miała talent pisarski i narracyjny, bez dwóch zdań. Uważała, że intrygi – tak jak motywacje bohaterów – muszą być wiarygodne, wprowadziła realizm i dbałość o szczegóły nawet w historiach, które dziś wydają się nieprawdopodobne. Włączyła do swoich kryminalnych opowieści kapitalne obserwacje obyczajowe i społeczne, stając się bezwiednie kronikarką przemian wieku XX.

No i wreszcie zaniepokoiła wszystkich przypomnieniem, że mordercą stać się może każdy, niezależnie od wieku, statusu, zawodu czy wykształcenia. Zło mieszka wśród ludzi, wyłożyła nam to pisarka wprost w książce „Zło czai się wszędzie" (znanej i pod tytułem „Zło, które czyha pod słońcem"). Jeden z bohaterów tak bowiem zwracał się do detektywa Poirota: „Powiedział pan, że zło czai się wszędzie. To prawie cytat z Eklezjasty. [...] »Pełne zła jest serce synów rodzaju człowieczego, a szaleństwo mieszka w ich sercu, pokąd żyją«. Z satysfakcją wysłuchałem pańskich słów. Dziś, proszę pana, nikt nie wierzy w prawdziwe zło. [...] Ale zło, panie Poirot,

eprasa.pl 480f0f55e5

Kadr z filmu „Glass Onion"
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Skromny film „Patrz, jak kręcą" okazuje się powiewem realizmu FOT. MATERIAŁY PRASOWE

to przecież zjawisko realne. To fakt! Ono istnieje! Jest potężne! Przechadza się po naszej ziemi!".

Rian Johnson pożyczył sobie od Agathy Christie pomysł na głównego bohatera, czyli genialnego, acz nieco pyszałkowatego detektywa; sybaryty, który zarazem jest wzorem dobrych obyczajów i nieugiętych zasad. To Benoit Blanc stał się nową wersją Herculesa Poirot, wersją na wiek XXI. I to on jest siłą napędową spodziewanych ciągów dalszych: zmieniają się dekoracje, zmienia się grono podejrzanych, ale elementem łączącym kolejne odsłony serii „Na noże" będzie właśnie on: Blanc. Zawsze po właściwej stronie dobra, nawet nazwisko ma znaczące („Biały"). Oczywiście wiemy, że to wszystko pastisz, hołd, bo wszystkie te tropy odczytujemy bezbłędnie. Żyjemy wszak w epoce recyklingu, wszystko już było, każdy do kogoś nawiązuje.

Jednocześnie Rian Johnson recepturę Agathy Christie redukuje. Dla śmiechu? Tak, bo jest w „Glass Onion" scena, kiedy Blanc jest wręcz oburzony na główną postać zagadki, którą rozwiązuje, i woła, że na manowce zwiodło go założenie, iż ma do czynienia z czymś niesłychanie przemyślnym, tymczasem cała sprawa jest głupia, idiotyczna (co nie znaczy, że błaha – trup, strata i ból są prawdziwe). Ale redukuje także dla modnej obecnie w kinie lekcji klasizmu. Tak jak w pierwszym filmie „Na noże" winy trzeba było szukać w bogatym rasiście, tak teraz ostrze satyry wymierzone jest nie tylko w majątek, lecz także głupotę bogatych (jakby jedno wynikało z drugiego). A przecież zło czai się wszędzie – nie tylko w duszach bogaczy. Kolejne modne przesłanie to „system nie działa" – Blanc podkreśla, że rozwiązuje zagadki, ale nie jest policją, prokuratorem czy sądem, więc nie może wymierzać sprawiedliwości. A gdy system nie działa (w domyśle: bo jest skorumpowany przez bogatych kłamców), pozostaje tylko jedna droga naprawienia nieprawości: dobra, stara, wypróbowana przemoc. Kill the rich, spal pałac, dokonaj samosądu na krzywdzicielu.

ZABAWA KONWENCJĄ

Na tym tle skromny film „Patrz, jak kręcą" okazuje się ożywczą odmianą, wręcz powiewem realizmu – co jest o tyle dziwne, że od samego początku informowani jesteśmy, że to czysty pastisz. Reżyser planowanej ekranizacji „Pułapki na myszy" (świetny Adrian Brody) kpi sobie ze schematów opowieści typu „kto zabił?" w monologu spoza kadru. Cały zaś film okazuje się jednocześnie produkcją zrobioną dokładnie wedle tego schematu oraz kpiną z jego zasad. Tych warstw meta jest nawet więcej, bo widz nie tylko wie, że film jest zabawą konwencją, lecz także odkrywa, jak bardzo intryga wewnątrz filmu jest grą z konwencją, której przykładem jest „Pułapka na myszy".

Takie postmodernistyczne zabawy bywają bardzo męczące, ale w przypadku „Patrz, jak kręcą" wydarza się cud i wszystko okazuje się po prostu zabawne, urocze i niegłupie. I tak jak po obejrzeniu „Glass Onion" czujemy się nieco oszukani, a na pewno przemęczeni bogactwem (nadmiarem?) detali, tak „Patrz, jak kręcą" pozostawia na języku dużo ciekawszy smak. Przede wszystkim dlatego, że

REŻ. TOM GEORGE
„PATRZ, JAK KRĘCĄ"
USA, WIELKA BRYTANIA 2022

twórcy tego filmu pamiętali o umiarze – zabawni, pechowi i pełni ułomności bohaterowie nie zamieniają się w karykatury (co jest grzechem pierworodnym „Glass Onion"). Lubimy ich, kibicujemy im, a na przywary patrzymy przez palce, bo są zwyczajnie… ludzcy. Zapijający ginem smutki inspektor policji; ambitna i pojętna, lecz nazbyt pochopna w wyciąganiu wniosków policjantka (rewelacyjna, rewelacyjna Saoirse Ronan), producent filmowy rozdarty między żoną a kochanką, bawidamek reżyser, pompatyczny scenarzysta itd. Nie trzeba od razu sięgać po bardzo dramatyczne, wysokie nuty, by opowiedzieć coś prawdziwego, nawet w formie zabawy. Spójrzmy na szefa policji, który opowiada z zapałem o tym, jak bardzo przyszłość służby należy do kobiet, a swoją mowę kończy słowami skierowanymi do policjantki: „A teraz, kochanie, zaparz mi herbatę".

Bogaci, biedni, sławni, nieznani, podejrzani i tropiący – wszyscy udowadniają w „Patrz, jak kręcą", że komedia charakterów lepsza jest od orgii szyderstw z „Glass Onion". Pisarka (chwila, gdy pod koniec pojawia się Agatha Christie), która broni prawa twórcy do sięgania po każdą inspirację, jaka wpadnie mu do głowy. Zabójca, który – jak się okaże – jest arcyciekawą postacią: chce ocalić godność. Może to podstawowa różnica między tymi dwoma tak nierównymi hołdami dla Christie: w „Patrz, jak kręcą" większości bohaterów ową godność udaje się ocalić. Większość postaci z „Glass Onion" jej nie ma i pewnie nigdy nie miała.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 480f0f55e5

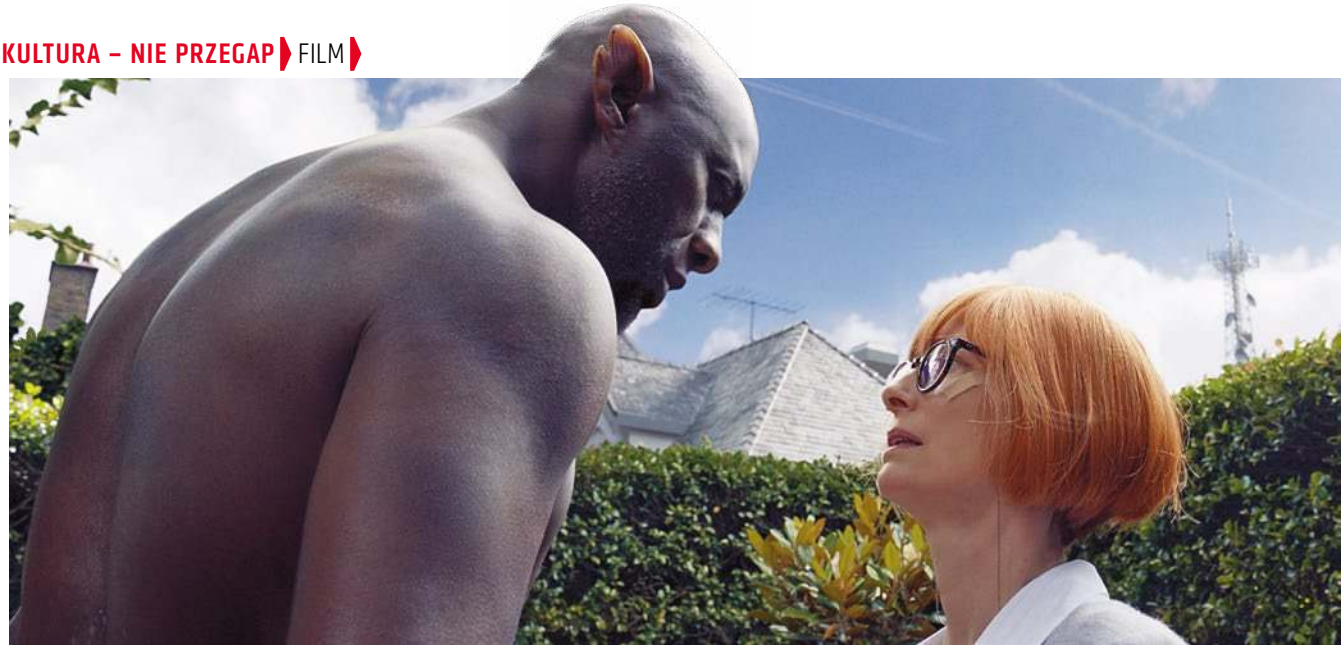

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

KINO

Tylko ta prawdziwa

★★★★☆☆

REŻ. GEORGE MILLER
„TRZY TYSIĄCE LAT TĘSKNOTY" („THREE THOUSAND YEARS OF LONGING")
USA/AUSTRALIA 2022

wyst. Tilda Swinton, Idris Elba

Kobieta samotna spotyka dżinna: dzieje się to w podróży, dzieje się to w Stambule, dzieje się to przypadkiem. Dżinn uwolniony ze starego flakonu chciałby jak najszybciej spełnić trzy życzenia nowej pani, jednak trafiła kosa na kamień: ową panią jest kobieta narratolog, „która pędziła przygarbione dni w czeluściach ogromnych bibliotek, dociekając, interpretując rozszyfrowując bajki dzieciństwa oraz reklamy świata dorosłych". Ten opis (oryginalnie dużo dłuższy) zawdzięczamy brytyjskiej pisarce A.S. Byatt, ponieważ uroczy film „Trzy tysiące lat tęsknoty" zainspirowany został pięknym opowiadaniem „Dżinn w oku słowika".

Krótko mówiąc, Alithea (w tej roli Tilda Swinton) wie wszystko o opowieściach (nie tylko z tysiąca i jednej nocy); także to, jak sprytne bywają dżinny i jak spełniane życzenia obracają się przeciw tym, którzy ich spełnienia pragną. Nie śpieszy się więc do ich wypowiadania. Chętnie za to wsłucha się w długą opowieść dżinna (Idris Elba ze spiczastymi uszami), jak doszło do jego uwięzienia i dlaczego jeszcze nie znalazł nikogo, kto mógłby go uwolnić.

Weteran kina George Miller, znany z serii „Mad Max", nieraz pokazywał wcześniej, że potrafi kręcić także filmy wzruszające („Olej Lorenza", przewrotne „Czarownice z Eastwick") i zabawne (dwie części „Happy Feet"). Teraz przedstawił widzom historię, która łączy wszystkie te trzy zalety. Powstał film ostentacyjnie niedzisiejszy, fantastyczna bajka, w której miesza się egzotyka Arabii (przepiękne sceny retrospekcji) i melodramat, przyprawiona szczyptą zdrowego feminizmu. Film, na razie, zlekceważony przez krytykę, bez nominacji do nagród. A zarazem jeden z lepszych filmów roku 2022 – oczywiście nie na top 10, ale dostrzec trzeba ten tytuł na pewno.

Być może uznano go za zbyt błahy, może zaszkodził mu brak nachalnych elementów ideologicznych, a może chwalić wypada jedynie filmy ponure i tzw. ważne? Nieważne, przekonany jestem, że dzisiejszym czasom bardzo potrzeba takich historii jak „Trzy tysiące lat tęsknoty" – o kobietach, mężczyznach, marzeniach i miłości. Miłości, która – jak brzmi morał opowieści – góry przenosi, ale pod jednym warunkiem: musi być prawdziwa. Może krytycy nie kochają już kina? ©℗

NOWE SERIALE: „WIEDŹMIN: RODOWÓD KRWI"

Przepraszamy, remanent! Ale trzeba, bo oczekiwania były duże, a góra urodziła mysz. Netflixowy hit na święta, prequel cyklu o wiedźminie, okazał się nudny i przewidywalny. Grupa śmiałków próbuje powstrzymać złego czarodzieja (oraz złą królową) przed splądrowaniem innych światów. Wszystko to prowadzi do pojawienia się potworów, ludzi i protowiedźminów. Humoru niewiele, błyskotliwości jeszcze mniej, ducha opowieści Sapkowskiego brak. Wiedźmin bez wiedźmina nie ma sensu – napisał jeden z zachodnich recenzentów. Miał rację. ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***miniseria „Wiedźmin: Rodowód krwi" („The Witcher: Blood origin"), USA 2022***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *miniseria* ***„The Rig"****, Wielka Brytania 2022* (prime video)
- *sezon 2* ***„Gwiezdne wojny: Parszywa zgraja" („Star Wars: Bad Batch")****, USA 2022* (Disney+)
- *sezon 4* ***„Servant"****, USA 2023* (tv+)
- *sezon 1* ***„Dom pod Dwoma Orłami"****, Polska 2021* (HBO GO)

eprasa.pl 480f0f55e5

Czarny lotos

KINO

Gdyby taki film popełnił polski reżyser, ani chybi zarzucono by mu zrzynanie z Mrożka. Mamy jednak do czynienia z dziełem Szweda, spełnionej nadziei europejskiego kina, więc krytycy pieją z zachwytu, a jurorzy z Cannes nagradzają go Złotą Palmą. Östlund wie dobrze, za co jest kochany, i już w pierwszych scenach demonstruje totalną bezkompromisowość, ośmieszając młodocianych celebrytów. Grymaśny model oraz jego dziewczyna, pretensjonalna influencerka, kompromitują się szybko i skutecznie. Po przystawkach na stół wjeżdża główne danie: luksusowy rejs statkiem wartym 250 mln dol. Tutaj gwiazdą jest rosyjski oligarcha, który bogactwo zawdzięcza „inżynierii precyzyjnej", czyli produkcji broni. Podziwia Thatcher i Reagana, lecz odebrał komunistyczną edukację i chętnie stoczy pojedynek na cytaty z Marksa i Lenina z wiecznie pijanym kapitanem – rozczarowanym socjalistą. Kto jeszcze nie pojął, że Europa to łajba, która traci sterowność, bo załoga jest przeżarta rutyną, dowództwo straciło wiarę w przyszłość, pasażerów zaś interesuje wyłącznie konsumpcja – ręka w górę! Obcowanie z grubo ciosaną alegorią jest tak przygnębiające, że człowiek traci ochotę na deser (w postaci słonych paluszków). Dopóki szwedzki kucharz nie zmieni menu, mam zamiar omijać jego restaurację szerokim łukiem. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆

REŻ. RUBEN ÖSTLUND
„W TRÓJKĄCIE" („TRIANGLE OF SADNESS")
SZWECJA/WIELKA BRYTANIA/FRANCJA/NIEMCY 2022

wyst. Charlbi Dean, Harris Dickinson, Woody Harrelson

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

BARCELONA NOIR

arte

★★★☆☆☆

REŻ. CHRISTOPH GOLDMANN, LEIF KARPE
„CARLOS RUIZ ZAFÓN I JEGO BARCELONA" („BESTSELLER BARCELONA. DIE WELT DES CARLOS RUIZ ZAFÓN")
NIEMCY 2022

Portret człowieka, który omal nie prześcignął Cervantesa. W dobie kryzysu czytelnictwa sprzedał ponad 50 mln książek. Zafón, rocznik 1964, dorastał w cieniu Sagrady Familii, gdy nikt nie uważał jej jeszcze za ósmy cud świata. Zaczynał jako marketingowiec, potem próbował pisać książki dla młodzieży i zostać hollywoodzkim scenarzystą, lecz fabryka snów pogryzła go i wypluła. Wtedy rzucił na rynek, tęskniąc za twórczością w duchu XIX-wiecznym, mroczno-romantyczną powieść „Cień wiatru". Barcelona stałaby się turystycznym bestsellerem także bez Zafóna i jego cmentarza zapomnianych książek. Miasto, które od czasów generała Franco przeszło całkowitą metamorfozę, nie interesowało zresztą pisarza wcale. Żył i umarł w Los Angeles. Przyjaciele zapamiętali go jako melomana, kolekcjonera smoków i literacką kometę. Młode pokolenie katalońskich autorów poszło bowiem w zupełnie inną stronę. ©℗

ŻYCIE JEST PÓŁCIENIEM

HBO max

★★★★☆☆

REŻ. MARC FORSTER
„ZOSTAŃ" („STAY")
USA 2005

wyst. Ewan McGregor, Ryan Gosling, Naomi Watts

Rzadki przykład filmu, który w kinach poległ, lecz nie zaszkodził aktorom i reżyserowi. Dla Ryana Goslinga i scenarzysty Davida Benioffa okazał się wręcz trampoliną do wielkiej kariery, a w pewnych kręgach ma status dzieła kultowego. Akcja rozgrywa się w Nowym Jorku, więc do miana głównego bohatera pretenduje psychoterapeuta. Sam stara się wyciągnąć z depresji studenta ASP. Henry, młodzian piękny i posępny, słyszy głosy (jak Joanna d'Arc) i zamierza popełnić samobójstwo. Przez półtorej godziny Forster i spółka haniebnie znęcają się nad lekarzem racjonalistą tudzież widzami uczulonymi na poetykę sennego koszmaru. Typowa amerykańska fabuła polega na topieniu dobrych pomysłów w morzu nonsensu lub banału. „Zostań" to ewenement. W finale prawie wszystkie grzechy filmu zostają odkupione. Nawet aluzje do „Hamleta" i anegdota o polskim królu. ©℗ ***recenzuje Wiesław Chełminiak***

GRA TYGODNIA: „CLASH II"

★★★★☆☆

Obiektywnie rzecz biorąc, polski „Clash" z 1998 r. nie miał startu do wydanej rok później trzeciej, kultowej i ogrywanej masowo do dziś części „Heroes of Might and Magic". Ale mnie „Clash" skradł długie godziny młodości. Głównie za sprawą gry w trybie „gorącego krzesła". Część druga nawiązuje mocno do jedynki, więc uderza w sentymentalną strunę i przywołuje wspomnienia sesji z kumplami, ale – niestety – daje tylko singlowe doznania. (Na razie? Gra wciąż we wczesnym dostępie, liczymy na więcej trybów). Kolejna odsłona konfliktu w przepełnionej magią krainie Karkhan we wczesnym dostępie do kupienia w cenie poniżej 100 zł. Warto sprawdzić. Tym bardziej że to od naszych. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *strategia turowa*
- ***Platforma:*** *PC*
- ***Producent, wydawca:*** *Prime Bit Games SA*

eprasa.pl 480f0f55e5

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Artysta zwyczajny

W PIW-owskiej serii „poeci do kwadratu" ukazały się wiersze Stanisława Grochowiaka w wyborze i ze wstępem Adama Wiedemanna. Czytelnik znajdzie w tym tomie 160 utworów autora „Rozbierania do snu", mniej więcej jedną szóstą poetyckiego dorobku zmarłego w 1976 r., w wieku zaledwie 42 lat, twórcy. Jednego z największych artystów słowa doby PRL, epoki marnej, za to w talenty literackie, a poetyckie zwłaszcza, bogatej.

Pisał dużo: dramaty, w tym tak dobre jak „Chłopcy", i scenariusze, prozę („Trismus"), publicystykę, a nawet teksty piosenek. Takiej np. o Modiglianim, całe dziesięciolecia przed Taco Hemingwayem, który też zainteresował się sławnym malarzem. A u Grochowiaka szło to tak:

Wstydliwość róży
Modigliani ją brał
Z dziewczęcych ramion
Z alabastru ich ciał
Z wysokich dzwonnic
Przebudzonej miłości
Z mowy deszczu i roślin
Modigliani ją znał.

No, ale nie dzięki piosenkom zdobył uznanie krytyków i czytelników, lecz wierszom, w których m.in. przekonywał, że „Nie cały minę Boć zostanie owo / Kochanie ziemi w bajorku i oście", że „Bunt nie przemija, bunt się ustatecznia"; deklarował: „Wolę brzydotę / Jest bliżej krwiobiegu" i modlił się: „Matko Boska mądra taka / Żeś jak ogród z plonem łask / Rzuć najmniejszy choćby blask / W ciemne wiersze Grochowiaka".

Jego ojciec brał udział w powstaniu wielkopolskim, w 1939 r. Niemcy go aresztowali. Po zwolnieniu z aresztu rodzina przeniosła się do Warszawy. W sierpniu 1944 r. 10-letni Staś Grochowiak przeżyje powstanie warszawskie, w którym weźmie udział jego starszy o dziewięć lat brat Tadeusz. Jemu

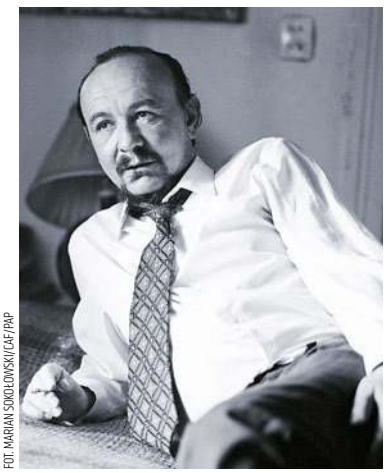

FOT. MARIAN SOKOŁOWSKI/CAF/PAP

samemu pozostanie z tamtego czasu lęk przed ciemnością i burzą. Będzie też pisał – choćby o Wacławie Bojarskim, poległym poecie z pokolenia Kolumbów, czy o całej tej generacji w gorzkim, a jakże pięknym wierszu bez tytułu, dedykowanym Zbigniewowi Krysce, podporucznikowi AK rozstrzelanemu przez Niemców w 1943 r.:

Śmierć ich dopadła wprost z okola lampy,
Gdzie został Norwid; z tarczy słonecznika;
Z odbicia w wodzie, z utyskiwań matki;
Z pierwszego grzechu – siostrzeńca rozpaczy;
Że, miast różańcem, związano im dłonie
Lufą dymiącą – jedyna ich wina.

Stał się niejako sztandarowym poetą pokolenia „Współczesności", nazwanej tak od nazwy pisma, którego przez pewien czas był redaktorem naczelnym. Jego tomy poezji, poczynając od debiutanckiej „Ballady rycerskiej", stawały się wydarzeniami, wyłączywszy może takie poematy jak „Allende" z 1974 r., bo i taki mu się przydarzył, choć od polityki stronił i późniejszy zarzut o oportunizm był chybiony, co potwierdza we wstępie do „Chłopca" Adam Wiedemann, słusznie zauważając, że był on „poetą »ściśle polskim« (by nie rzec: peerelowskim), co nie dodaje mu urody w kraju będącym dla siebie samego źródłem wiecznych kompleksów. Grochowiak raczej tego akurat kompleksu nie odczuwał, bycie poetą polskim odpowiadało mu, jak też życie w takim, a nie innym ustroju, z którego niedoskonałości niewątpliwie zdawał sobie sprawę, lecz też nigdy ich nie demonizował".

Dwie inne pretensje zgłaszane pod adresem twórcy „Nie było lata" dotyczą jego alkoholizmu i rzekomego braku wpływu, jaki winien wywrzeć na innych (czytaj: młodszych) poetów. Jeśli chodzi o pierwszy zarzut, to przedwczesna śmierć poety, na marskość wątroby, zamyka sprawę. Bo i o czym tu więcej rozprawiać? Jeśli zaś chodzi o to, że nie pozostawił po sobie żadnej „szkoły", to Grochowiak – cytuję Wiedemanna – „dysponował tak własną, rozpoznawalną dykcją, że naśladowanie go graniczyłoby z samobójstwem".

Nie wszystkie konstatacje autora wstępu są równie celne. Nie wydaje mi się np., że „Chłopiec jeziorny" jest jednym z największych arcydzieł poetyckich, w ogóle cała ta akcentowana przez Wiedemanna „chłopięcość", podkreślona tytułem tomu, nie jest żadną dominantą ani nawet wyróżnikiem tej twórczości. Ale po stokroć ma on rację, stawiając znak równości między tak samo zatytułowanymi utworami – „Ars poetica" – Grochowiaka i Miłosza. Przypomnę tu początek wiersza tego pierwszego:

Godziny przy piórze – one leczą rany.
Nawet śmierć jest daleka, jak była w dzieciństwie.
Zwierzęta domowe śpią ufnie przy twoich stopach,
A płomień świecy
Nieruchomieje jak miecz czuwający.

Tak się jakoś składa, że wiersze Miłosza budzą mój podziw, a Grochowiaka potrafią wzruszyć. Tak zwyczajnie, jeśli o zwykłości w tym wypadku można mówić. A chyba można, bo to zwyczajność nadzwyczajna. ©℗

★★★★☆
STANISŁAW GROCHOWIAK „CHŁOPIEC" PIW, WARSZAWA 2022

eprasa.pl 480f0f55e5

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Na przekór czasom

Nie bez powodu Wiktor Świetlik dał swojej książce tytuł „Polska Stasiaka" – jego opowieść wybiega poza ramy zwykłej biografii. Jak zresztą ocenić książkę biograficzną? Wierna faktom? Zgadza się. Potoczyście napisana? Odnotujmy: tak. O człowieku wartym wspomnienia? Jak najbardziej. „Biografia polityka, który wiedział, co robić w trudnych czasach" – głosi podtytuł. To jeden z kluczy do zrozumienia opowiadanej historii. Dla wielu młodych polityków i urzędników obozu prawicowego, którzy kariery rozpoczęli już w czasach „drugiego PiS", rzeczą nie do pojęcia będzie to, w jak bardzo wrogim otoczeniu działali ludzie z pokolenia Stasiaka, nie wspominając już o ludziach z pokolenia choćby premiera Jana Olszewskiego. A przecież komunizm miał się już skończyć i wszystko miało dalej iść z górki.

Zatem: od działalności podziemnej do początków Porozumienia Centrum (w latach 90. XX w. przynależność do PC gwarantowała w mediach status wroga publicznego numer jeden). Ale przede wszystkim praca urzędnika w epoce, w której trzeba było z mozołem zrzucać z państwa polskiego okowy postkomunizmu. NIK, MSWiA, BBN. Żadnej drogi na skróty i zawsze pod wiatr. Nie dla politycznych zaszczytów, ale dlatego że poczucie obowiązku nie pozwalało zostawić rzeczy takimi, jakimi je zastano. I wreszcie tragiczna śmierć w Smoleńsku.

Jaka jest więc owa Polska, w służbie której Stasiak oddał życie? Tu książka Świetlika zamienia się w barwny i niejednoznaczny obraz pierwszych dekad III RP. Dekad panświnizmu i egoizmu, bo przyjęty model transformacji oznaczał wciągnięcie na sztandary hasła „każdy tylko dla siebie". Może nie na sztandary, lecz na transparenty, bo akurat słowo „sztandar", zwłaszcza narodowy, traktowane było z podejrzliwością lub wrogością. Panświnizm zaś dawał temu światu wykładnię: kto mówi o wartościach i sprawach wspólnych, ten podwójnie podejrzany, bo na pewno taka sama świnia jak inni, tylko udaje lepszego.

Do dziś jest tak, że słowo „przyzwoitość" zawłaszczone pozostaje przez obóz twórców i samozwańczych współwłaścicieli III RP, od środowiska „Wyborczej" do postkomunistów i liberałów. Gdyż każdy, kto się z nimi nie zgadza, to człek nieprzyzwoity i niebezpieczny, godny najgorszych obelg. Władysław Stasiak był człowiekiem przyzwoitym, ciężko dla Polski pracującym i z mozołem Polskę budującym. Jak trudne było to zadanie – o tym także jest ta książka. ©℗

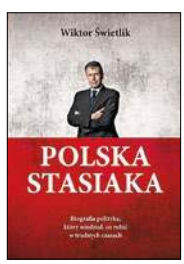

★★★★☆☆

WIKTOR ŚWIETLIK „POLSKA STASIAKA" WYDAWNICTWO DIECEZJI SIEDLECKIEJ UNITAS 2022

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Autorka „Religii Rzymu" czy „Partenonu" tym razem idzie w ślady rozważań Barbary Tuchman, która pisząc o historii, pisała o władzy. Beard sięga do antyku, by opisać wzorce powielane przez kolejne stulecia w polityce i sztuce.

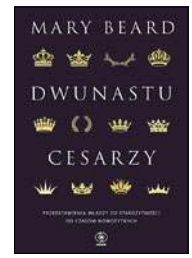

MARY BEARD „DWUNASTU CESARZY" REBIS

Nieco zapomniany noblista: John Steinbeck, autor „Myszy i ludzi" czy „Na wschód od Edenu". Skąd tytułowa wściekłość? Pisarz musi mieć sumienie, by światu nie wybaczać. Na szczęście Steinbeck miał także wielki talent.

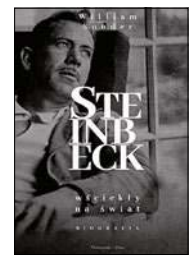

WILLIAM SOUDER „WŚCIEKŁY NA ŚWIAT" PRÓSZYŃSKI I S-KA

Bliższa koszula ciału – popularne seriale o czarnobylskiej katastrofie są zajmujące, ale to u Dworaczka znajdziemy sprawy fascynujące: opowieść o reakcjach na tragedię w Polsce (zarówno władzy, opozycji, jak i obywateli).

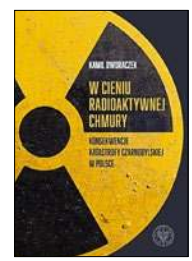

KAMIL DWORACZEK „W CIENIU RADIOAKTYWNEJ CHMURY" IPN

Ricky Gervais potrafi zrobić coś z niczego, nawet podcast przerobił na popularny serial animowany („Ricky Gervais Show"). Nie każdego bawi „The Office", ale każdy o nim słyszał. Uwaga: rzecz głównie o wersji amerykańskiej. ©℗

Piotr Gociek

ANDY GREENE „THE OFFICE. OPOWIEŚĆ O KULTOWYM SERIALU" ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA: „POLCH. KOWAL OD KOMIKSÓW"

Tytuł biografii znakomitego rysownika nawiązuje oczywiście do jednej z jego najgłośniejszych kreacji, jaką był Funky Koval. Ale Bogusław Polch to przecież także twórca świetnych shortów dla magazynu „Relax", komiksów o kapitanie Żbiku, cyklu „Bogowie z kosmosu", no i pierwszej obrazkowej adaptacji „Wiedźmina".

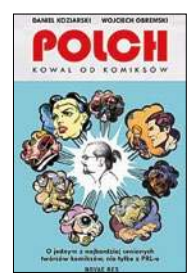

DANIEL KOZIARSKI, WOJCIECH OBREMSKI „POLCH. KOWAL OD KOMIKSÓW" NOVAE RES 2022

Książkę o tej wybitnej postaci polskiej sztuki popularnej napisali twórcy równie ciekawej pozycji „Od Nerwosolka do Yansa: 50 komiksów z czasów PRL-u, które musisz przeczytać przed śmiercią". ©℗

poleca Piotr Gociek

eprasa.pl 480f0f55e5

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Stworzone dźwiękiem

Czy za pomocą dostępnych technik plastycznych można »uchwycić i zatrzymać« tak ulotne zjawiska jak muzyka i taniec?". Takie pytanie postawili sobie dr Maria Szymańska-Ilnata, kurator, i zespół realizujący wystawę „Stworzone Dźwiękiem. Muzyka i taniec w sztukach plastycznych Azji i Oceanii".

FOT. MUZEUM AZJI I PACYFIKU

Składa się na nią ok. 170 obiektów. Wychodziły one spod rąk i profesjonalistów, i artystów ludowych przy użyciu rozmaitych technik i materiałów. Obrazy, rysunki, rzeźby, wycinanki etc. łączy motyw muzyki i tańca, podkreślając role, jakie odgrywają one w kulturze. Ekspozycja rozpoczyna się wprowadzeniem historycznym, omawia kontekst kulturowy funkcjonowania muzyki i tańca, skupiając się głównie na takich aspektach jak: religia, świętowanie, codzienność, wojna i polowanie. Wśród eksponatów są nie tylko te pochodzące z Azji i Oceanii, lecz także dzieła polskich artystów zafascynowanych muzyką i tańcem tamtej części świata. ©℗

GDZIE? ***Warszawa, Muzeum Azji i Pacyfiku***
KIEDY? ***do 3 września***

FOT. PAWEŁ MAZUR

WĘDRUJĄCE OBRAZY

Wystawa Małgorzaty Mirgi-Tas, najważniejszej obecnie reprezentantki romskiej sztuki współczesnej, reprezentująca Polskę na ubiegłorocznym 59. Biennale Sztuki w Wenecji, zebrała świetne recenzje, szybko trafiła do Ferrary we włoskim regionie Emilia-Romania, którym to miastem była inspirowana. W Polsce natomiast można oglądać „Wędrujące obrazy" na pierwszej wystawie artystki po niewątpliwym sukcesie w Wenecji. Składają się na nią szeroki wybór prac z lat 2017–2022, a także nowe dzieła. ©℗

GDZIE? ***Kraków, Międzynarodowe Centrum Kultury***
KIEDY? ***do 5 marca***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Sorry Bela

Pierwszą płytę warszawskie trio wydało w 2010 r. Piosenki były po angielsku, a muzyka grupy mieściła się w szeroko rozumianej popowej alternatywie. Dziś Sorry Boys wyraźnie liczą na komercyjny sukces, o czym świadczy ich piąty album zaśpiewany wyłącznie po polsku.

Podstawowym atutem tria jest głos Beli Komoszyńskiej. To on nadaje ton całej płycie. Poprzedni album, „Miłość", wokalistka nagrywała, jak sama przyznała „w najszczęśliwszym okresie swojego życia". Po trzech latach Bela dąży do renesansu, czyli nowego początku w swoim życiu. Opowiada o tym dziewięć e-pocztówek, których autorką jest Starry, alter ego liderki Sorry Boys. Są to „intymne listy, w których dzieli się [ona] swoimi przemyśleniami z anonimowym adresatem".

Czy była to dobra recepta na komercyjny sukces? Niestety, nie. Płyta dotarła zaledwie do 15. miejsca list OLiS i po miesiącu już jej na niej nie było. Wydaje się, że te piosenki są zbyt „dorosłe" jak na wrażliwość fanek Sanah, a z drugiej strony zbyt muzycznie „przeprodukowane" jak na gusta starszych odbiorców. Chciałbym usłyszeć Belę bez tych pseudonowoczesnych tanecznych rytmów, które zagłuszają jej naprawdę interesujący głos. Panująca wśród naszych producentów moda na lata 80. staje się już powoli zmorą. Dla mnie prawdziwym renesansem byłaby solowa płyta Beli, na której zaśpiewałaby do żywych instrumentów. Piosenka „Wenus" pokazuje, że jest to możliwe. ©℗

★★★★☆☆
SORRY BOYS
„RENESANS"
MYSTIC

★★★★★★
NEIL YOUNG
„HARVEST 50TH ANNIVERSARY EDITION"
REPRISE

Najpopularniejszy i jeden z najlepszych albumów Younga z 1971 r. został wznowiony w związku z jubileuszem w wersji luksusowej. Jako bonusy dostajemy koncert Kanadyjczyka z Londynu (CD+DVD), 56-stronicową książeczkę oraz niepublikowany dwugodzinny film z realizacji płyty.

★★★★☆☆
NANGA
„JESIEŃ W PEKINIE"
MYSTIC

Po udanym debiucie zespół Nanga (m.in. muzycy Lao Che) wydał winylowy minialbum z czterema utworami. Teksty wokalistki Magdy Dubrawskiej są mało optymistyczne, ale w połączeniu z elektroakustycznymi podkładami tworzą intrygującą całość. ©℗

eprasa.pl 480f0f55e5

FOT. PIOTR BABSZ

„Vatzlav" w Teatrze Klasyki Polskiej

Grzegorz Kondrasiuk

Gajewski, arcytrafnie wybierając z dorobku Mrożka właśnie „Vatzlava", pokazał możliwość zaistnienia dawnej, dziś wymierającej formuły uprawiania teatru. Nazwałbym go inteligenckim, gdyby nie fakt, że słowo to jest obecnie czymś w rodzaju obelgi

Teatr Klasyki Polskiej. Przyglądam mu się z ciekawością. Postawił sobie – ni mniej, ni więcej – takie zadania: „TKP powstał w celu wypełnienia luki w teatrze polskim, jakim jest brak sceny prezentującej repertuar narodowy. Sceny, która w swym stałym repertuarze miałaby najwybitniejsze dramaty napisane po polsku. Przez działania w sferze kultury można osiągnąć cele nie tylko artystyczne, ale również marketingowe, związane z budowaniem wizerunku i marki narodowej. W dziedzinie teatru tego rodzaju pracę wykonują Comédie-Française (dla Francji) czy The Royal Shakespeare Company (dla Wielkiej Brytanii). W Polsce taką pracę może wykonywać TKP" [pisownia oryginalna – przyp. red.]. I dalej: „TKP studiuje i wystawia najwybitniejsze polskie dramaty oraz adaptacje arcydzieł polskiej literatury dawnej zgodnie z ich literą i duchem, w oparciu o rzetelny warsztat i we współpracy z wybitnymi twórcami teatru".

Zastanawiające, prawda? Mamy przecież duże sceny posługujące się szyldem „Narodowy", co do których można mieć dokładnie takie statutowe oczekiwania. Jarosław Gajewski i Michał Chorosiński – aktorzy wyznaczający misję TKP – najwidoczniej uznali, że program i repertuar warszawskiego czy krakowskiego Narodowego wymaga istotnego uzupełnienia przez… fundację bez stałej siedziby, krążącą po mniejszych i większych scenach kraju. „Duch i litera… Warsztat… Arcydzieła…" – nie zdradzę wielkiej tajemnicy, jeśli napiszę, że są to stwierdzenia niepojawiające się zbyt często w deklaracjach polskich scen, a słownik taki uchodzi za, przepraszam za wyrażenie, obciachowy i automatycznie skutkuje środowiskowym wizerunkiem skrajnej „konserwy". W pakiecie, oczywiście, jest także etykieta „prawicowości", jakby istniało coś takiego jak prawicowy warsztat teatralny.

No dobrze, deklaracje deklaracjami, ale ostatecznie w teatrze ogląda się nie deklaracje ideowe, a spektakle. Po wysokim diapazonie po TKP można było się spodziewać najgorszego, czyli nudnej piły. W ubiegłych dekadach sporo takiego urobku powstawało. To tzw. solidny teatr środka, kiedy reżyser jedzie przez dramat (koniecznie Uznanego Autora) scena po scenie i litera po literze, zrzucając całą odpowiedzialność za przekaz na autora i aktorów, maskując fakt braku głębszego uzasadnienia sięgnięcia po konkretne dzieło.

Takie wspomnienia towarzyszyły mi w drodze na Mrożkowego „Vatzlava". Myślałem o tym, że ktoś jeszcze traktuje na serio przekonanie, iż w teatrze za pomocą dramatu można rozmawiać z widownią, nie traktując jej jak głupiego Jasia, którego należy oświecać i pouczać. Ot, taka drobna zmiana nastawienia. Gajewski, arcytrafnie wybierając z dorobku Mrożka właśnie „Vatzlava", pokazał możliwość zaistnienia dawnej, dziś wymierającej formuły uprawiania teatru. Nazwałbym go inteligenckim, gdyby nie fakt, że słowo to obecnie jest czymś w rodzaju obelgi. Jego istotą jest ufanie autorowi (i widzom), powstrzymanie pychy reżyserskiej, a przede wszystkim – wysoka jakość intelektualna.

To o takich tekstach jak „Vatzlav" można powiedzieć, że się nie zestarzały. Przeciwnie – to czas do nich dojrzał. Bezkompromisowy dramat o dwóch ostrzach, skierowanych i przeciwko prostym, totalitarnym formom komunistycznego zamordyzmu, i tym subtelniejszym, oferowanym przez wolny, oświecony świat. Musieliśmy przeżyć kilka dekad, żeby doskoczyć do diagnoz Mrożka, np. do takiego spostrzeżenia: kiedy zamordyzmu nie ma, to oświecony system społeczny dąży do jego ponownego ustanowienia. W postsekularnym człowieku istnieje jakiś gen niewolnictwa, który każe mu realizować postulaty wolnościowe poprzez żałosne okrzyki w stylu: „Niech no przyjdzie jakiś Barbar i jeszcze raz spierze mi dupę, a porządnie!". Do czego dochodzi jeszcze zwykły ludzki konformizm, reprezentowany przez tytułowego Vatzlava…

Aktualność i polityczność istnieje tu na wyższym poziomie, bez śladu jakiejkolwiek nachalnej indoktrynacji na prawo czy lewo, bez płaskich, łatwych aluzji, stylizacji, mrugania okiem do zaprzyjaźnionej publiki, bo wiecie – Kaczyński, bo rozumiecie – Tusk itd. Gajewski postawił na kreację nieco surrealistyczną. Na lekko pochylonym podeście, w odrealnionych, dowcipnych kostiumach aktorzy grają jasno i powściągliwie. Vatzlav Mateusza Rusina jest młody, drapieżny, szybko chwyta lekcje, których udziela mu świat. Cały zespół trafia w niezwykle trudny do uchwycenia ton grania i mówienia Mrożka, złożonego z groteskowych sekwencji i filozoficznych bon motów. Klasę samą dla siebie wyznaczają Arkadiusz Janiczek i Łukasz Lewandowski jako komiczna para plebejuszy – Maciej i Przepiórka. Długo by pisać – „Vatzlav" w TKP to duża sprawa. Zdecydowanie warto wyśledzić, gdzie grają, co łatwe nie jest, ponieważ jest to spektakl wędrujący. ©℗

TEATR KLASYKI POLSKIEJ
SŁAWOMIR MROŻEK, „VATZLAV"
REŻYSERIA: JAROSŁAW GAJEWSKI
SCENOGRAFIA: MAREK CHOWANIEC
PREMIERA: 16 CZERWCA 2021 R.

eprasa.pl 480f0f55e5

FOT. ADOBE STOCK

Polityka uległości

Łukasz Warzecha

Polska szukała protektora wiarygodniejszego niż ci z przeszłości, stawiając na państwo najpotężniejsze w sojuszu północnoatlantyckim. I to wydaje się rozsądne. Polskie elity uznały, że sojusz z USA trzeba sowicie opłacić. I tutaj rodzą się już wątpliwości

11 września 2001 r. porwane przez bojowników Al-Kaidy samoloty uderzyły w dwa wieżowce World Trade Center w Nowym Jorku, doprowadzając do ich zawalenia się. Kolejny rozbił się o budynek Pentagonu, czyli amerykańskiego ministerstwa obrony. Inny samolot w wyniku oporu, jaki stawili pasażerowie, zamiast najprawdopodobniej na Biały Dom spadł na pola Pensylwanii. W żadnym z samolotów nikt nie przeżył. Rozpoczęła się nowa era światowej polityki.

Polska bezpośrednio we wkrótce rozpoczętym uderzeniu na Afganistan, motywowanym odmową wydania Osamy bin Ladena, nie wzięła formalnie udziału, ale bardzo szybko znalazł się w tym kraju nasz kontyngent wojskowy. Inaczej zachowaliśmy się zaledwie dwa lata po zamachach w USA, gdy w 2003 r. Amerykanie postanowili uderzyć na Irak. Plan ten wiązał się ściśle z wcześniejszą inwazją na Afganistan jako część „wojny z terroryzmem" (War on Terror), z której ówczesna republikańska administracja zrobiła sobie wehikuł polityczny.

Uderzenie uzasadniano całkowicie – jak się potem okazało – błędnymi lub – jak twierdzą niektórzy – wprost sfabrykowanymi informacjami CIA o rzekomych zasobach broni masowego rażenia w Iraku, które to dane ówczesny sekretarz stanu, Colin Powell, zaprezentował w Radzie Bezpieczeństwa ONZ podczas pamiętnego posiedzenia. Nie było formalnego wypowiedzenia wojny, a pomiędzy administracją George'a Busha juniora a rządami w Europie w sprawie uderzenia na Irak powstało gigantyczne napięcie. Tak duże, że w waszyngtońskich restauracjach przemianowywano French fries, czyli „francuskie frytki", na freedom fries, czyli „frytki wolności", w ramach swego rodzaju zemsty za „francuską zdradę".

POLSKA W „KOALICJI CHĘTNYCH"

Ataku dokonywała tzw. koalicja chętnych, niewyposażona w żaden instrument międzynarodowy potwierdzający prawo do takich kroków. Głośny był w tamtym czasie spór o rezolucję nr 1441 ONZ,

eprasa.pl 480f0f55e5

która groziła Bagdadowi „poważnymi konsekwencjami" za niewykonanie poprzednich rezolucji (nakazujących m.in. pozbycie się broni masowego rażenia). Utożsamienie tej groźby z możliwością dokonania inwazji przez zewnętrzne siły było powszechnie uznawane za rażącą nadinterpretację. Jednak tego właśnie pretekstu użył Waszyngton.

Polska przybiegła wtedy natychmiast na amerykańskie wezwanie i stała się jednym z raptem czworga członków wspomnianej koalicji, wraz z Wielką Brytanią (decyzję podejmował wtedy radykalnie za to krytykowany do dziś laburzystowski premier Tony Blair), Australią i samymi Stanami Zjednoczonymi. Trudno w to może dzisiaj uwierzyć, ale w Warszawie rządził wtedy (i jeszcze przez kolejne dwa lata) Sojusz Lewicy Demokratycznej, a premierem był Leszek Miller. To właśnie on, wespół z prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim, zdecydował o polskim udziale w wątpliwej wojnie.

Oficjalna propaganda rządowa, zresztą wspierana przez wielu marzycielsko nastawionych publicystów, twierdziła, że udział w irackiej operacji da nam wielkie korzyści za sprawą udziału w późniejszym podziale stref odpowiedzialności w Iraku na uprzywilejowanej pozycji. O uprzywilejowaniu mowy nie było. Odpowiedzialność za sektor centralno-południowy Iraku ze stolicą w Karbali objęliśmy dopiero po odmowie Duńczyków. Korzyści z uczestnictwa w operacji okazały się praktycznie żadne. Sny o stworzeniu polskiej potęgi handlowej dzięki bliskiej współpracy z Waszyngtonem się nie sprawdziły.

Podobnie nie sprawdziły się oczekiwania prezydenta Kwaśniewskiego, że dobra relacja z USA da mu po zakończeniu kadencji możliwość starania się o znaczącą posadę międzynarodową. Ten mechanizm wydaje się zresztą powracać dzisiaj…

Nie można powiedzieć, że Polska nie odniosła żadnej korzyści z obecności w Afganistanie oraz Iraku, jednak podstawową nie były jakieś nadzwyczajne zyski, ale po prostu przejście pewnej liczby polskich żołnierzy przez prawdziwą operację wojskową w praktycznie wojennych warunkach. Poszło za tym jednak wiele problemów: dramatyczne incydenty z udziałem miejscowej ludności, fatalna opieka nad weteranami powracającymi do Polski i prawdopodobnie ponad tysiąc poszkodowanych żołnierzy, w tym kilkuset zabitych (w większości w Afganistanie).

Post scriptum do tej historii dopisała afera z praktycznie eksterytorialnym ośrodkiem CIA w Starych Kiejkutach, gdzie amerykańska agencja wywiadowcza w 2002 r. najpewniej nie tylko przetrzymywała więźniów z Afganistanu, lecz także poddawała ich torturom (m.in. tzw. waterboardingowi, czyli kontrolowanemu podtapianiu). Udostępnienie ośrodka było również decyzją rządu Leszka Millera, którego członkowie twierdzili później, że polscy politycy nie wiedzieli o tym, co się tam działo. Nie wiedzieli, a może raczej: woleli nie wiedzieć.

STANY, KTÓRE DESTABILIZUJĄ

Patrząc z perspektywy dwóch dekad na poczynania USA na Bliskim Wschodzie, trudno nie być skrajnie krytycznym. Ich rezultaty nie tylko nie doprowadziły do zakładanej przez waszyngtońską administrację westernizacji, lecz także skrajnie zdestabilizowały region.

Krytyka dotyczy także polskiego w nich udziału. Mogę dzisiaj z pewną dumą powiedzieć, że w czasie, gdy większość zachwycała się współpracą polsko-amerykańską, ja opublikowałem w „Rzeczpospolitej" blisko 20 lat temu, w czerwcu 2003 r., głośny wtedy tekst „Trzy łyżki dziegciu", w którym pisałem:

„Wizyta George'a Busha i Tony'ego Blaira w Polsce była w powszechnym odczuciu ukoronowaniem naszego dyplomatycznego sukcesu. Ja widzę to nieco inaczej, choć obawiam się, że Maciej Rybiński – skądinąd bardzo przeze mnie lubiany jako felietonista piszący o polityce krajowej – nazwie mnie zaraz »wielbicielem Saddama«. Tak w naszym kraju określa się dzisiaj tych, którzy nie zachwycają się dostatecznie prezydentem Bushem i mają czelność krytykować politykę jego administracji.

Ja w dodatku twierdzę, że nasze stosunki ze Stanami Zjednoczonymi odznaczają się cechami od setek lat wyznaczającymi polityczny kurs Rzeczypospolitej: bezmyślnością i bezrefleksyjnym zapałem, hiperwrażliwością na romantyczną retorykę, niechęcią do analiz i spokojnego podejmowania decyzji.

»Szabel nam nie zabraknie, szlachta na koń wsiędzie, Tony z George'em na czele i – jakoś to będzie!« – chciałoby się sparafrazować wieszcza.

Można się zastanawiać, czy nasi sprzymierzeńcy zdają sobie sprawę z tych cech i czy świadomie je wykorzystują. Tak czy owak, Blair i Bush, łechcąc naszą próżność w sposób mistrzowski, zneutralizowali w zarodku wszelką publiczną dyskusję o konsekwencjach ataku na Irak i dalszym kształcie stosunków Polski z USA".

Niesamowite, ale dwie dekady później mogę się bez wstydu nadal pod swoją ówczesną analizą podpisać, bo nic się tu nie zmieniło. A jeśli już, to na gorsze. Nawet mechanizm zawstydzania oponentów, wykluczania ich z debaty i neutralizowania samej debaty pozostał identyczny, tyle że dzisiaj nie zostaje się „wielbicielem Saddama", lecz Putina, czyli „ruską onucą".

WASALIZACJA

Ten dłuższy historyczny wstęp był konieczny, aby pokazać, jak trwała jest polska postawa wobec Stanów Zjednoczonych, opisana przeze mnie w 2003 r. Oczywiście i tutaj są korekty kursu i niewielkie zwroty. Ich źródłem nie jest jednak robienie poważnej polityki, ale przeciwnie: wykorzystywanie polityki zagranicznej do naszych wewnętrznych sporów. Jako że spory są schematyczne do bólu, także w tej sprawie obowiązuje nudny i ograny schemat: polska prawica (mówiąc umownie) kontestuje demokratyczne administracje, a obecna opozycja lub jej poprzednicy – republikańskie. Barack Obama był „zły" z punktu widzenia rządu PiS (jego druga kadencja o dwa lata zahaczyła o kadencję partii Jarosława Kaczyńskiego), ale te dąsy poszły w niepamięć, gdy prezydent USA przybył do Warszawy na szczyt NATO w 2016 r. Jak zwykle wystarczyło poklepanie po plecach. Z kolei Donald Trump był z punktu widzenia władzy wspaniały, zwłaszcza gdy przyjechał do Polski w lipcu 2017 r. i powiedział nam kilka miłych słów, mimo że linia jego administracji zakładała przez długi czas porozumienie z Moskwą. Dla opozycji Trump był oczywiście uosobieniem zła.

Swego rodzaju porozumienie między rządzącymi a opozycją pod tym względem nastąpiło za prezydentury Joe Bidena. Amerykański prezydent po 24 lutego stał się nagle dla polityków obozu władzy prawdziwym mężem stanu, choć wcześniej był zramolałym dziadkiem, który nie za bardzo wiedział, gdzie się znajduje. Jako że Biden dla polskiej opozycji już wcześniej był liderem niemalże opatrznościowym jako pogromca strasznego Trumpa, pierwszy raz od dawna główni aktorzy

eprasa.pl 480f0f55e5

polskiej sceny politycznej są podobnie wpatrzeni w amerykańskiego prezydenta, tym razem z obozu demokratów.

Zarzutem, który pojawia się wobec polskiej polityki względem Stanów Zjednoczonych przynajmniej od początku lat dwutysięcznych, jest oparcie jej na całkowitej uległości. Sprowadzenie tej relacji do takiego stwierdzenia byłoby oczywiście intelektualnie prostackie. Zmiennych jest tu więcej. Polska szukała protektora wiarygodniejszego niż ci z przeszłości, na których się zawiedliśmy, stawiając na państwo najpotężniejsze w sojuszu północnoatlantyckim. I to wydawało się w dużym stopniu rozsądne, choć są przypadki, które jaskrawo przeczą przekonaniu o tym, że USA swoich sojuszników nie opuszczają. Aby wspomnieć choćby paniczne wycofanie się z Wietnamu w 1975 r. czy z Afganistanu zaledwie w 2021 r.

Polskie elity uznały, że sojusz z USA trzeba sowicie opłacić. I tutaj rodzą się już wątpliwości. Jeśli podliczymy ponoszone przez nas koszty, to uzbierało się tego całkiem sporo: od zaangażowania w Afganistanie i Iraku począwszy, poprzez wybór myśliwców F-16 (to także rząd Millera, wartość kontraktu to 3,5 mld dol.), a teraz – F-35 (7,6 mld dol.), wybór systemu obrony przeciwlotniczej Patriot, zakontraktowanie czołgów Abrams (6 mld dol.), wybór technologii dla pierwszej elektrowni jądrowej (zresztą sprzeczny z prawem europejskim, bardzo zatem możliwe, że będzie zakwestionowany przez konkurentów), aż na różnego rodzaju daninach politycznych skończywszy, płaconych już naprawdę z pozycji petenta. To wydarzenia takie jak modyfikacja pod amerykańskim naciskiem nowelizacji ustawy o IPN (niezależnie od jej oceny), sprawa TVN będącego własnością amerykańskiego koncernu Discovery (znów niezależnie od oceny planów, jakie miał w tej sprawie obóz rządzący) czy zorganizowanie w Warszawie konferencji bliskowschodniej w 2019 r.

Ta ostatnia sprawa pozostaje żenującym symbolem wasalizacji Polski w relacjach z USA. Zorganizowanie spotkania, które miało się zajmować sytuacją na Bliskim Wschodzie, ale było w oczywisty sposób skierowane przeciwko Iranowi – z którym Polska miała całkowicie poprawne relacje i nie było w naszym interesie ich pogarszanie – zostało ogłoszone nie przez polskie władze, ale mimochodem przez wiceprezydenta USA Mike'a Pence'a podczas konferencji prasowej. Z kolei sekretarz stanu Mike Pompeo oznajmił wówczas, że Polska powinna wyjść naprzeciwko żydowskim roszczeniom dotyczącym mienia bezspadkowego, a Beniamin Netanjahu, ówczesny premier głównego beneficjenta konferencji – Izraela, powiedział tuż przed jej rozpoczęciem: „Polacy kolaborowali z nazistami i nie znam nikogo, kto kiedykolwiek był sądzony za mówienie o tym". Było to nawiązanie do ustawy o IPN.

Innym symbolem wasalizacji, wręcz karykaturalnym, była pani ambasador Georgette Mosbacher, umieszczona w Warszawie przez administrację Trumpa. Poziom jej bezczelności w relacjach z polskimi władzami – w tym również w promocji całkowicie obcej linii polskiego rządu agendy ideologicznej, otwartej na ideologię LGBT – był tak niebywały, że momentami wywoływał nawet protesty polityków obozu władzy. Protesty oczywiście całkowicie czcze i pozorne.

GOTOWI NA KAŻDE UPOKORZENIE

Na to wszystko jednak bardzo konsekwentnie zapracowaliśmy swoją postawą, w której od dawna brakuje rozsądnej równowagi. Jeśli partner, nawet w relacji z krajem znacznie od siebie silniejszym, godzi się zawsze na wszystko, przełyka każde upokorzenie, a do tego przy każdym ważniejszym zakupie, inwestycji, kontrakcie z automatu na pierwszym miejscu stawia wspomniane państwo, to państwo to całkowicie traci motywację, aby o takiego partnera zabiegać. Po co zużywać na to środki i wysiłki, skoro sprawa jest i tak pewna? W ten sposób słabszy partner degraduje się sam do pozycji wasala i tym właśnie różnią się te dwie postawy.

Polska od dwóch dekad w żadnej sytuacji nie pokazała Waszyngtonowi, że nie ma jednak gwarancji na otrzymanie każdej rzeczy, na którą ma ochotę. Czy dzięki takiej postawie coś realnie zyskujemy – przede wszystkim w dziedzinie naszego twardego bezpieczeństwa – to sprawa dyskusyjna, bo szczęśliwie nie trzeba było tego na razie testować. Owszem, militarna obecność amerykańska w Polsce się zwiększyła, wciąż jednak jest symboliczna i w każdej chwili możliwa do szybkiej likwidacji. Daleko jej do tej, którą USA mają wciąż w Japonii czy Niemczech. Dziś, w czasie wojny na Ukrainie, w zasadzie podarowaliśmy Amerykanom kawałek polskiego terytorium w Jasionce, rzeszowskim lotnisku. Jakie naprawdę operacje prowadzą USA z polskiego terytorium i do jakiego stopnia narażają w związku z tym polskie bezpieczeństwo – nie wiemy. Należy to jednak traktować bardziej w kategoriach kolejnego ustępstwa niż inwestycji w bezpieczeństwo.

Wisienką na torcie było przewiezienie przez Amerykanów przez polskie terytorium prezydenta Wołodymyra Zełenskiego bez udziału polskich służb tak, jakbyśmy byli krajem właściwie kolonialnym. Trudno było nie odnieść wrażenia, że przelotne spotkanie w Rzeszowie między prezydentem Ukrainy i Polski, gdy ten pierwszy z USA wracał, miało jedynie zatrzeć złe wrażenie sprzed doby. Bo faktycznego znaczenia nie miało żadnego.

Jest jednak kierunek, który może nas zmusić do podjęcia twardej decyzji: Chiny. Pekin pod władzą Xi Jinpinga, bezprecedensowo od czasów Mao wzmocnioną i przedłużoną na trzecią (a zapewne i co najmniej jeszcze jedną) kadencję, rozpoczął na serio budowę alternatywnego uniwersum gospodarczego wobec tego, na którego czele stoją Stany Zjednoczone. Wojna na Ukrainie i zachodnie sankcje przyspieszyły i wspomogły takie plany. Chiny są sojusznikiem Rosji, ale sojusznikiem skrajnie pragmatycznym i bynajmniej nie radykalnym. Polska nie jest w chińskich planach na pierwszym planie, ale nie jest też na ostatnim, czemu Chiny dawały wielokrotnie wyraz. Jednak ich rywalizacja z USA jest w tym momencie bardzo ostra. Waszyngton prędzej czy później zacznie na nas naciskać, abyśmy w imię relacji polsko-amerykańskich poświęcili całkowicie stosunki z Chinami. Co wtedy zrobimy?

W rozumowaniu fanów naszej wasalnej relacji z USA jest sprzeczność. Z jednej strony twierdzą oni, że nie jest to postawa przesiąknięta brakiem pragmatyzmu czy romantyczną nadzieją na spełnioną miłość między państwami, która zadziała również w momencie ostatecznej próby, ponieważ – wywodzą – Waszyngton koniecznie potrzebuje Polski w tej części Europy jako swojego „lotniskowca". Jeśli tak jest, to dlaczego Warszawa uznaje, że musi na wyprzódki spełniać każde życzenie naszych partnerów zza oceanu? Skoro Polska jest Stanom Zjednoczonym tak potrzebna, to nie ma żadnego powodu, abyśmy prowadzili politykę całkowitego podporządkowania.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 480f0f55e5

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Monopole znów, niestety, górą

Obserwując narastającą – nie tylko pośród rządzących polityków, lecz także, co gorsza, pośród ich wyborców – atencję do tworzenia coraz to nowych quasi-państwowych quasi-monopoli lub po prostu państwowych monopoli, zastanawiam się, jak bardzo ulotna jest ludzka pamięć. Jak wielu ludzi jakże szybko – po lekcji PRL – zapomniało, że państwowe jest nieefektywne i niezwykle drogie w utrzymaniu dla podatników i konsumentów, a już państwowy monopol to prawdziwe koło młyńskie u szyi każdego, kto dostanie się w jego szpony. A w warunkach państwowego monopolu dotyczy to przecież niemal wszystkich podatników i konsumentów, czyli niemal wszystkich obywateli.

Niestety, krótko po podzieleniu i sprywatyzowaniu części państwowych molochów w Polsce zaczęło brać górę przekonanie, że „duże jest piękne", a „ogromne – jeszcze piękniejsze". I na domiar złego, że państwowe wcale nie musi być mniej efektywne i bardziej kosztowne – jak wynika z sondażu IBRiS, dziś aż 60 proc. Polaków uważa, że powinny istnieć spółki, w których Skarb Państwa jest głównym lub wyłącznym właścicielem.

Górę bierze więc pogląd, że monopole, w tym państwowe lub quasi-państwowe, są wspaniałe i najlepiej mieć po prostu jedną gigantyczną firmę, która dostarcza ten czy ów produkt lub usługę, zamiast mieć takich firm więcej, żeby ze sobą konkurowały – ceną i jakością oferowanych produktów i usług. I by konkurując, zabiegały o nas – klientów, którzy dzięki temu powinni każdego dnia wynosić korzyść za korzyścią, kupując tańsze i lepszej jakości produkty i usługi, niżby je kupowali w warunkach monopolu.

Górę bierze przekonanie, że nie potrzeba nam konkurencji, a jedna w danej branży wielka firma, ciesząca się monopolem lub quasi-monopolem, i to firma państwowa lub quasi-państwowa, czyli taka, której zarząd wskazują rządzący politycy, znakomicie się nam przysłuży. Korzystając ze swej pozycji na rynku, będzie mogła kupować na korzystnych warunkach, a potem będzie te produkty sprzedawała nam – swoim klientom, „po uczciwej cenie", czyli „z rozsądną marżą". „Bo przecież dlaczego miałaby tak nie postępować?".

Ba, górę zaczyna w Polsce brać jeszcze bardziej niebezpieczne i drogie w skutkach dla podatników i konsumentów przekonanie, że taka gigantyczna firma z powodzeniem może być monopolistą na kilku rynkach naraz, dostarczając klientom i to, i tamto, i siamto. No bo czy taki quasi-państwowy narodowy czempion gospodarczy może być niebezpieczny dla Polaków? I sprzedawać im gorszej jakości produkty i usługi po zawyżonych cenach?

Cóż, niestety, historia, w tym historia Polski, zna mnóstwo takich przykładów. A właściwie historia monopoli, zwłaszcza państwowych i quasi-państwowych – głównie, jeśli nie wyłącznie – właśnie z nich się składa. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Mydlenie oczu

Niemcy odpowiedziały na notę dyplomatyczną Polski, dotyczącą reparacji, a właściwie zadośćuczynienia, bo, jak wiadomo, słowo „reparacje" się w polskim dokumencie nie pojawiło. Nic zresztą dziwnego – gdyby się tam znalazło, argumenty za tym, że sprawa jest dawno zamknięta, Berlin miałby jeszcze mocniejsze. Jednak

> **Politycy obozu rządzącego nigdy nie byli w stanie wskazać, jakie konkretnie zamierzają podjąć kroki, jakie miałyby one mieć międzynarodowe skutki prawne**

i tak niemiecka odpowiedź nie zaskakuje: Niemcy odpowiadają, że tematu podejmować nie zamierzają, bo sprawę odszkodowań dla Polski uznają za zakończoną.

W tej sprawie wypowiedział się minister do spraw europejskich Szymon Szynkowski vel Sęk: „Na pewno to nie jest koniec sprawy. To jest dopiero początek tej sprawy. Dzisiaj jest skierowany przez pana ministra Mularczyka wniosek do Organizacji Narodów Zjednoczonych o podjęcie również tego tematu, właśnie reparacji. Jest prowadzone działanie w odniesieniu do innych forów międzynarodowych, organizacji międzynarodowych".

Problem w tym, że to, mówiąc najdelikatniej, mydlenie oczu i gra na resentymentach publiki, która nie umie zweryfikować detali. Używający tematu odszkodowań politycy obozu rządzącego nigdy nie byli w stanie wskazać, jakie konkretnie zamierzają podjąć kroki, jakie miałyby one mieć skutki prawnomiędzynarodowe i co miałyby dać w sytuacji, gdy nie istnieje żadna instancja arbitrażowa, która mogłaby spór między Warszawą a Berlinem rozsądzić. Wzmianka o próbie zainteresowania ONZ sprawą, cokolwiek miałoby to oznaczać (a nie wiadomo kompletnie co), nie wnosi kompletnie nic. ONZ w tej sprawie nie ma żadnego mandatu, „podjąć" ją może w najlepszym – i wyjątkowo mało prawdopodobnym – wypadku na zasadzie niewiążącej i nic niewnoszącej rezolucji, a powołany wraz z nią ONZ Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości w Hadze został na mocy naszej własnej decyzji z początku lat 90. wyłączony ze spraw sprzed 1990 r. Czyli również ze sprawy reparacji lub odszkodowań.

Jasne, że tematem niemieckich szkód, nigdy należycie niewynagrodzonych, można by grać. Ale próba grania nim w sposób, o którym wszyscy zainteresowani doskonale wiedzą, że będzie nieskuteczny, nie tylko nie daje nam żadnego atutu, ale przeciwnie – odbiera powagę naszym działaniom. ©℗

eprasa.pl 480f0f55e5

Usuwanie księdza pro-lifera

Tomasz Rowiński

Przeniesienie przez Stolicę Apostolską do stanu świeckiego ks. Franka Pavone'a, jednego z liderów ruchu pro-life w Stanach Zjednoczonych, trudno nazwać inaczej niż skandalem

FOT. PAUL HENNESSY/SOPA IMAGES/LIGHTROCKET/GETTY IMAGES

W czasach, gdy postępowi duchowni mają pełną swobodę działania, ks. Frank Pavone został zlaicyzowany z powodu niesubordynacji, która w łatwy sposób mogła zostać zaaranżowana. Cała sytuacja wygląda jak ukłon kościelnej stolicy w kierunku proaborcyjnych rządów katolika Joe Bidena, którego papież Franciszek wyraźnie i od dawna wspiera. Choć papież ma na swoim koncie prywatne wypowiedzi potępiające aborcję, to polityka Stolicy Apostolskiej w tej sprawie jest odmienna.

Trwałe poparcie papieża Franciszka dla amerykańskiej Partii Demokratycznej jest znanym faktem, podobnie jak kontrowersyjne nominacje do Papieskiej Akademii Życia. Pod koniec października zeszłego roku członkiem Akademii została ekonomistka Marianna Mazzucato, znana ze swoim ateistycznych i proaborcyjnych deklaracji. Trudno powiedzieć, co ta osoba ma wspólnego z kwestią ochrony życia.

Niewiele później, bo 9 listopada 2022 r., Dykasteria ds. Duchowieństwa podjęła decyzję o usunięciu z grona katolickiego kleru jednego z najdzielniejszych i najbardziej konsekwentnych obrońców życia w ogóle. Czy może być tu mowa o przypadku? Jest oczywiście do pojęcia, że zaszła w tej sytuacji jedynie szczególna koincydencja, nie jest nią już jednak konsekwentna polityka Stolicy Apostolskiej osłabiająca w różnych punktach instytucje zajmujące się sprawą ochrony życia poczętego. Laicyzacja Pavone'a to kolejny przykład takich działań.

FORMUJĄCY MARSZ DLA ŻYCIA

Kim jest ks. Frank Pavone? Urodził się w 1959 r., w roku 1974 wziął udział w Marszu dla Życia, który odcisnął się piętnem na jego dalszych losach. To wtedy Pavone zaangażował się w działalność ruchu pro-life i jednocześnie podjął decyzję o wyborze drogi kapłańskiej. Choć ukończył szkołę salezjańską, to wstąpił do seminarium Towarzystwa Jezusowego w Newton w stanie New Jersey. Ostatecznie jednak opuścił je, by dokończyć formację kapłańską w archidiecezji nowojorskiej. Święcenia przyjął w roku 1988 z rąk kard. Johna O'Connora, który już w roku 1993 uczynił go szefem organizacji Priests for Life (Księża za Życiem). To za zgodą kard. O'Connora Pavone całkowicie poświęcił się pracy na rzecz ochrony życia dzieci nienarodzonych.

W efekcie swojego zaangażowania trafił do Rzymu, gdzie pracował w Papieskiej Radzie ds. Rodziny. Został tam koordynatorem katolickiej działalności pro-life na całym świecie. To jego zasługą była znaczna aktywizacja wielu środowisk katolickich w obszarze ochrony życia. Ksiądz Pavone został także powołany do Papieskiej Akademii Życia, której członkiem jest teraz także Mazzucato…

Wartą odnotowania akcją ks. Franka Pavone'a była kampania reklamowa z roku 2001, która służyła zachęcaniu kobiet, które dokonały aborcji, do tego, by wróciły na łono Kościoła. Intencja tej kampanii dobrze pokazuje, że Pavone

eprasa.pl 480f0f55e5

zarówno nie tracił z oczu ludzkich dramatów stojących za konkretnymi przypadkami mordu prenatalnego, jak i nie było mu obojętne dobro dusz ludzi, którzy choć popełnili zło, to zawsze mogą skorzystać z miłosierdzia ofiarowanego grzesznikom przez Boga poprzez Jego Kościół.

Trudności zaczęły spotykać ks. Pavone'a ok. roku 2005, kiedy doszło do nieporozumień z następcą kard. O'Connora na nowojorskiej stolicy arcybiskupiej, kard. Edwardem Eganem. Sprawę udało się jednak rozwiązać, a ks. Pavone przeniósł się do teksańskiej diecezji Amarillo, gdzie bp John Yant umożliwił mu dalsze pełne zaangażowanie w sprawę ochrony życia nienarodzonych. Kłopoty wróciły w związku ze zmianą ordynariusza w Amarillo, gdy bp. Yanta zastąpił bp Patrick Zurek.

Pavone w chwili ogłoszenia 17 grudnia 2022 r. decyzji o usunięciu go z szeregów katolickiego duchowieństwa pełnił kilka ważnych funkcji w organizacjach pro-life i trudno nie traktować podjętych wobec niego kroków jako mających wymiar polityczny. Pod koniec roku 2022 ks. Pavone był dyrektorem Priests for Life, a także szefem projektu Rachel's Vineyard, którego celem jest pomoc duchowa i opieka dla kobiet zmagających się z depresją postaborcyjną. Stał także na czele National Pro-Life Religious Council, która gromadzi chrześcijan różnych denominacji zaangażowanych w działania pro-life.

„ZNIESŁAWIANIE" I „NIEPOSŁUSZEŃSTWO"

Warto przyjrzeć się nieco bliżej okolicznościom działań podjętych przeciwko ks. Frankowi Pavone'owi. W uzasadnieniu decyzji ogłoszonym przez nuncjusza apostolskiego w Stanach Zjednoczonych Christophe'a Pierre'a można przeczytać tylko informację o tym, że ks. Pavone został ukarany za umieszczanie „zniesławiających informacji w sieciach społecznościowych" oraz „uporczywe nieposłuszeństwo wobec wskazań prawnych jego biskupa diecezjalnego". Nie podano jednak żadnych szczegółów, co musi wydawać się zastanawiające. Taki brak przejrzystości w sprawie, w której kapłan został obciążony najsurowszą możliwą dla księdza karą, czyli wydaleniem ze stanu duchownego, musi budzić wątpliwości. Nieuchronnie pojawia się pytanie o proporcjonalność kary, która zwykle jest zarezerwowana np. dla przestępców seksualnych w sutannach. Zatem ani nie wiadomo, o które wypowiedzi w mediach społecznościowych ks. Pavone'a chodzi, ani nawet nie zostało podane do wiadomości, któremu to biskupowi kapłan ten miałby być nieposłuszny, ponieważ relacje z ostatnim ordynariuszem Pavone miał poprawne.

Nuncjusz w osobnym piśmie poinformował, że „księdzu Pavone'owi stworzono szerokie możliwości obrony zgodnie z procedurami kanonicznymi i miał on wiele okazji do podporządkowania się władzy swego biskupa diecezjalnego", ale „nie miał [on] rozsądnego usprawiedliwienia dla swych działań". Problem polega na tym, że sam Pavone twierdzi, że o całej skierowanej przeciw niemu akcji dowiedział się dopiero 17 grudnia z komunikatu Catholic News Agency. Dodajmy, że od decyzji Dykasterii ds. Duchowieństwa nie ma już w tej chwili możliwości odwołania. Jeśli Pavone mówi prawdę, to mamy do czynienia z administracyjnym zwolnieniem z posługi. Sprawę trzeba by uznać za niebywałą.

To nie wygląda dobrze, tym bardziej że od roku 2005 Kongregacja ds. Duchowieństwa stawała zawsze po stronie ks. Pavone'a w jego sporach z biskupami. Najpierw pozwoliła Pavone'owi na przeniesienie się z Nowego Jorku do Amarillo, potem, gdy w Amarillo pojawiły się trudności ze strony bp. Zurka, kongregacja poparła szefa Priests for Life i umożliwiła kolejne przeniesienie – tym razem do Colorado Springs.

Jedno ze zdań wyjaśnienia opublikowanego przez Franka Pavone'a już po ogłoszeniu dekretu laicyzacyjnego musi budzić zastanowienie. Dotyczy ono wydarzeń z 2019 r. Pavone pisze o tym w ten sposób: „Jednakże z powodów, których nigdy mi nie wyjaśniono, wskazano mi biskupa, który nie mógł pozwolić mi na dalszą pracę w pełnym wymiarze". Co to może oznaczać? Czy nie jest to znak, że w kongregacji zaszły zmiany, które spowodowały, że podjęto decyzję, by w sposób pozornie niekonfrontacyjny pozbyć się kłopotliwego duchownego, którego zaangażowanie stoi w sprzeczności z polityką Stolicy Apostolskiej wobec Waszyngtonu? Ponoć papież Franciszek osobiście dodawał otuchy ks. Pavone'owi, gdy ten poprosił o możliwość posługiwania „pod biskupem solidarnym z nim". Dalece niejednoznaczna postawa Franciszka i jego bliskich współpracowników w kwestii ochrony życia nie pozwala ufnie patrzeć na tego typu prywatne zapewnienia papieża skierowane do kogokolwiek i w jakiejkolwiek sprawie.

W obronie Franka Pavone'a stanęły ważne postacie amerykańskich katolickich środowisk pro-life. Znany ze swojej publicystycznej aktywności bp Joseph Strickland z diecezji Tyler napisał: „Bluźnierstwem jest to, że ten święty kapłan został anulowany, podczas gdy oddany złu prezydent na każdym kroku promuje negowanie prawdy i mordowanie nienarodzonych, Watykan oficjalnie promuje niemoralność i negowanie depozytu wiary, a księża promują genderowe pomieszanie dewastujące ludzkie życia… zło".

Równie stanowczo sprawę skomentowała Abby Johnson: „Naprawdę niesamowite. Ojciec James Martin, heretycki ksiądz, cieszy się dobrą opinią. Joe Biden, katolik, który publicznie opowiada się przeciwko katolickiemu nauczaniu, cieszy się dobrą opinią. Katolicki kapłan pro-life, który od dekad wiernie broni nienarodzonych, usunięty z kapłaństwa. Zło" (o. Martin, warto przypomnieć, jest jednym z najbardziej znanych w Kościele katolickim lobbystów politycznego ruchu homoseksualnego, który wielokrotnie i na różne sposoby podważał katolicką doktrynę moralną).

Na dziś w sprawie byłego już księdza Franka Pavone'a mamy słowo przeciwko słowu. Czy rzeczywiście Pavone dowiedział się o toczącej się przeciwko niemu sprawie w ostatniej chwili czy jednak popełnił jakieś błędy w komunikacji z watykańską dykasterią? Niezależnie od tego, jak było, wszystkie znane okoliczności sprawy wskazują, że w najlepszym razie doszło wobec amerykańskiego kapłana do intencjonalnego użycia nieproporcjonalnego środka karnego.

W gorszej wersji trzeba by mówić o politycznej eliminacji człowieka, który całe swoje życie poświęcił gorliwemu wypełnianiu statutowych zadań Kościoła katolickiego, przynajmniej w zakresie w jego doczesnym trwaniu.

Należy mieć nadzieję, że sprawa ta nie zakończyła się jeszcze i grudniowa decyzja zostanie zmieniona, jeśli nie przez tego, to następnego papieża. Jeśli zaś tak się nie stanie, to trzeba będzie poprosić Stolicę Apostolską, by pokazała konkretne dowody przeciwko Frankowi Pavone'owi. Trudno sobie wyobrazić inne rozwiązanie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 480f0f55e5

Romuald Spasowski podczas spotkania z prezydentem Ronaldem Reaganem w Białym Domu, 1981 r.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Romuald Spasowski: persona non grata

Krzysztof Masłoń

Stan wojenny sprawił, że Romuald Spasowski głośno powiedział: „Dosyć!". W kraju obwołano go zdrajcą, pisano, że sprzedał się za „judaszowe srebrniki". Tak, Romuald Spasowski był zdrajcą, ale nie Polski i nie Polaków. Zdradził komunę, której przez lata służył, zatruty ideologią zaszczepioną mu przez ojca, którego kochał i podziwiał

Tego, że „Spowiedź ambasadora" ukazuje się po polsku dopiero teraz, 36 lat (!) po amerykańskiej edycji tych wspomnień, nie da się wytłumaczyć czymkolwiek innym niż złą wolą wielu osób, które blokowały wydanie tej książki lub same nie chciały tego zrobić z racji swego zakorzenienia w systemie komunistycznym. Dla nich zmarły w 1995 r. Romuald Spasowski pewnie wciąż pozostaje zdrajcą. Tak jak Ryszard Kukliński czy Zdzisław Najder. Wszystkich

eprasa.pl 480f0f55e5

ich PRL-owskie sądy skazały w latach 80. na karę śmierci. O ile jednak Zdzisław Najder wrócił do Polski i do życia publicznego, a Ryszard Kukliński odwiedził kraj, ma tu dziś swoje pomniki, pośmiertnie został też awansowany do stopnia generalskiego, o tyle o Romualdzie Spasowskim zapomniano. I o jego „Spowiedzi…", o której Ronald Reagan powiedział, że to najlepsza książka na temat komunizmu i Polski, którą kiedykolwiek przeczytał. Jak twierdził amerykański prezydent, zarwał przez nią trzy noce, nie mogąc przerwać lektury, tak bardzo był nią bowiem zainteresowany.

O Spasowskim usłyszał świat 19 grudnia 1981 r., gdy poprosił o azyl w USA, wypowiadając służbę partyjno-państwowemu aparatowi PRL i potępiając stan wojenny. Izba Wojskowa Sądu Najwyższego w Warszawie skazała go za to w październiku 1982 r. na karę śmierci i przepadek mienia. Trzy lata później odebrane mu zostało obywatelstwo polskie, przywrócone eksambasadorowi przez Lecha Wałęsę w 1993 r. Wcześniej, w 1990 r., Spasowski zostanie uniewinniony.

Do Polski już nigdy nie przyjechał. Ciężko zachorował, miał raka. „Przez długi czas – pisze we wstępie do »Spowiedzi…« Mariusz M. Brymora – odmawiał jednak przyjmowania morfiny, traktując to jako akt pokuty za grzechy wobec narodu polskiego. […] »Jedyne, co mogę złożyć u stóp Chrystusa jako pokutę, to moje cierpienie« – miał powiedzieć do żony". A ochrzcił się dopiero w Ameryce, w 1985 r. Miał wtedy 64 lata.

NIC W JEGO ŻYCIU NIE BYŁO JEDNOZNACZNE

Trzydzieści lat wcześniej został ambasadorem PRL w Stanach Zjednoczonych. Komunistyczne, jeszcze bierutowskie władze na najważniejszą za żelazną kurtyną placówkę wysłały więc wtedy niezwykle młodego człowieka – jak na standardy dyplomatyczne – niemal małolata. Ot, tak sobie, z braku konkurencji? Niepodobna uwierzyć; to, że wyuczył się języków, dobrze prezentował się we fraku i potrafił należycie posługiwać się nożem i widelcem, nie stanowiło jeszcze wystarczającej rekomendacji.

W służbie zagranicznej Polski Ludowej – jak skrupulatnie wyliczył – spędził Romuald Spasowski 35 lat, 9 miesięcy i 1 dzień. Był ambasadorem PRL w Argentynie, Indiach i dwukrotnie w Stanach Zjednoczonych, a od 1972 do 1978 r. wiceministrem spraw zagranicznych w rządzie Piotra Jaroszewicza, którego, nawiasem mówiąc, wspominał jak najgorzej. Ale swą dyplomatyczną służbę zaczynał od… wywiadu wojskowego, w powojennych Niemczech, zajmując się m.in. dyslokacją stacjonujących tam jednostek brytyjskich. Bezboleśnie przechodził wszystkie PRL-owskie czystki i pałacowe przewroty. Ba, kolejne październiki, marce, grudnie i czerwce stawały się szczeblami w jego karierze. Jak wytrawny gracz na wyścigach obstawiał właściwe porządki i triple.

Po niewielu dniach okazało się, że nie musiał przedzierać się do Sowietów; Sowiety przyszły do niego

Kim był naprawdę? Mariusz M. Brymora podpowiada: „Prawdziwie nawróconym komunistą czy łajdakiem i cwaniakiem? Czy jego decyzja była odważną ucieczką czy dezercją? Czy należy mu się pochwała dla bohatera czy potępienie dla zdrajcy?".

W istocie nic w jego życiu nie było jednoznaczne. Jego zerwanie z komunizmem ma wymiar prawdziwie dramatyczny, gdy uświadomimy sobie – a lektura „Spowiedzi ambasadora" pozwala na to – jaką drogę przeszedł ten człowiek i kim był w młodości, ukształtowany przez ojca – Władysława Spasowskiego, zafascynowanego komunizmem filozofa – na własny obraz i podobieństwo.

BĄDŹ ROZSĄDNY I ZAWSZE PRYNCYPIALNY

6 września 1939 r. 19-letni Romek opuszcza Warszawę, kierując się na wschód: „… jeśli będzie trzeba, przekroczę granicę Związku Sowieckiego i zgłoszę się na ochotnika do Armii Czerwonej. Jeżeli szczęście będzie mi sprzyjało, zatknę w końcu czerwony sztandar w Berlinie". W uszach miał ojcowskie pożegnanie i przykazanie: „… bądź rozsądny i zawsze pryncypialny, wierz w komunizm i wierz swemu ojcu, komuniści w końcu zwyciężą".

Po niewielu dniach okazało się, że nie musiał przedzierać się do Sowietów; Sowiety przyszły do niego. Kiedy rowerem, który dostał od, a jakże, reakcyjnego wuja, przejechał rzekę Stochód, „coś zamigotało między drzewami i wynurzyły się dwa samoloty, srebrne, dwusilnikowe dolnopłatowce o wygiętych w górę skrzydłach, na których widniały czerwone gwiazdy. Zerwałem się, nie wierząc własnym oczom. Nie myliłem się, to nie były czarne krzyże, lecz czerwone gwiazdy maszyn wyprodukowanych przez robotników i chłopów. Poczułem się szczęśliwy. A więc Związek Sowiecki wystąpił przeciwko Niemcom, potwierdzając moje najgłębsze przekonanie, że nie może być pokoju między faszyzmem a komunizmem. Będzie to walka na śmierć i życie, w której światowy proletariat musi zwyciężyć. Miałem łzy w oczach!".

Osuszył te łzy w Łucku, dokąd dotarł i gdzie przekonał się, że Kraj Rad wyruszył wprawdzie na wojnę, ale bynajmniej nie z III Rzeszą, za to z Polską jak najbardziej. Miejscowe komandiry sceptycznie jakoś postrzegały perspektywy walki komunistycznego entuzjasty z Warszawy pod ich sztandarami, za to bardzo były ciekawe, skąd zna rosyjski, i nie chciały uwierzyć, że z radia, którego audycje tak pięknie rozpoczynają moskiewskie kuranty. Kiedy Spasowski stwierdził nadmierne zainteresowanie NKWD swoją osobą, niechętnie może, ale i z widoczną ulgą, wziął d… w troki i powrócił do Warszawy. Do niezmiennie czerwonego taty.

Mało było, widać, tych doświadczeń i w grudniu już razem z ojcem ponowili próbę uszczęśliwienia bolszewików swymi osobami. Cudem uszli z życiem, a Władysława Spasowskiego Sowieci ujęli, by po pobycie w Twierdzy Brzeskiej, gdzie wszystkich traktowano jednakowo – „jak bydło", przekazać Niemcom. Hitlerowcy zapowiedzieli, że „jak któregoś powtórnie złapią na przekraczaniu granicy pomiędzy wielką Rzeszą Niemiecką a zaprzyjaźnionym Związkiem Sowieckim, to będzie bardzo żałował".

Romek, wzbogacony w Łucku o wiedzę, że „Związek Sowiecki daje dzieciom Ukrainy Zachodniej cukier, którego odmawiała im pańska Polska", pokrzepiony też tym, że we Lwowie, bo i tam dotarł, proszeni o interwencję w sprawie ojca – naprawdę zagrożonego w Warszawie z racji swych antyfaszystowskich wystąpień – dawni znajomi, z Tadeuszem Boyem-Żeleńskim na czele, rozkładali ręce i żegnali się jak najszybciej, jak gdyby nigdy nic wygłaszać zaczął na

eprasa.pl 480f0f55e5

warszawskim Żoliborzu pogadanki dla „braci robotniczej", opowiadając o swoim wzruszeniu na widok samolotu z czerwoną gwiazdą i wyliczając, ileż to potężnych traktorów produkuje się w ojczyźnie światowego proletariatu. W tym czasie jego ojciec wysyłał do ambasady sowieckiej w Berlinie sążniste epistoły, błagając o zgodę na wyjazd wraz z synem do ZSRS. Odpowiedzi się nie doczekał, aż w końcu, zdesperowany i przygnębiony kolejnymi sukcesami Wehrmachtu, przez pewien czas przetrzymywany na Pawiaku i wielokrotnie przesłuchiwany na Szucha, zaraz po agresji hitlerowskiej na Rosję i pierwszych klęskach Armii Czerwonej pożegnał się z Romkiem ostatecznie, poszedł do Ogrodu Botanicznego, usiadł na ławce, zażył cyjanek. I taki był jego koniec.

W służbie zagranicznej Polski Ludowej – jak skrupulatnie wyliczył – spędził Romuald Spasowski 35 lat, 9 miesięcy i 1 dzień. Zrezygnował po wprowadzeniu stanu wojennego FOT. PAP/CAF-ARCH /GJ

WYPROWADZENIE Z DOMU NIEWOLI

W ostatnim liście do syna pisał Władysław Spasowski: „Wiesz dobrze, że po ukończeniu swej wielkiej pieśni łabędziej (która wraz z pierwszym tomem »Wyzwolenia człowieka« stanowi testament całego mojego życia i jest jedynym tego rodzaju dziełem w Polsce) w ostatnich latach żyłem tylko dla Ciebie, w nadziei wyprowadzenia Ciebie z domu niewoli i kapitalistycznej hańby na wielki gościniec słonecznej, pięknej, twórczej działalności społecznej po tamtej stronie barykady.

Nie załamałem się pod ciosami bolesnych przeżyć ze strony tych właśnie, do współpracy z którymi dążyliśmy ze wszystkich sił. Jestem przeświadczony, że i Ty, pomimo tego wszystkiego, czego doznałeś i co Cię obecnie spotyka, nie załamiesz się i pozostaniesz nadal wierny jedynie słusznej i wspaniałej ideologii, mającej na celu całkowite wyzwolenie i zjednoczenie pracującej ludzkości.

Tedy wytrwale i dialektycznie działaj w tym samym kierunku i duchu. Lepszego, wznioślejszego i godziwszego celu nie znajdziesz i tylko taka praca da Ci głęboką radość i szczęście […]".

„Trzymałem w rękach te kartki – wspominał po latach Romuald Spasowski – i płakałem, łzy wysychały mi na policzkach i znów nie mogłem ich powstrzymać. Wodziłem wzrokiem po wyraźnym, energicznym i pełnym charakteru piśmie, które tak dobrze znałem. Kochał mnie i miał do mnie zaufanie, wiedział, że nigdy go nie zawiodę, że pójdę jego drogą".

No i poszedł. W 1945 r. był współzałożycielem komitetu partyjnego PPR w Milanówku, gdzie do śmierci mieszkała jego matka, po czym zgłosił się do Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego (podówczas z siedzibą we Włochach), gdyż rzekomo chciał iść na front i osobiście dobić hitlerowskiego gada. Tak się jakoś złożyło, że zamiast tego pojechał do Łodzi, do Centralnej Szkoły Oficerów Polityczno-Wychowawczych. Jako partyjny szybko został zastępcą dowódcy kompanii do spraw politycznych i urządzał żołnierzom codzienne (o godz. 5!) prasówki, sięgając często – jak pisał – „do historii Polski i doświadczeń ruchów rewolucyjnych, do rewolucji francuskiej, Komuny Paryskiej i rewolucji październikowej, aby na ich tle przedstawić wagę zmian zachodzących w Polsce".

„W chłopcach tych widziałem prawdziwych synów ludu polskiego […], a jednak – powiadał – czułem, że coś mnie od nich różni. Zastanawiałem się co. To była pamięć o przedwojennej Polsce. Dla większości z nich tamta Polska była wspomnieniem pochodzącym z wiosek i miasteczek, gdzie wszystko było małe, a codzienna bieda dokuczliwa. Moje wspomnienia z przedwojennej Polski łączyły się przede wszystkim z różnymi wspaniałymi ludźmi, z pięknem krajobrazu, ze strzelistymi Tatrami i zapachem jodu nad Bałtykiem, o czym oni nie mieli pojęcia. Łączyły się z Kresami, z moimi własnymi przodkami, czego oni nie mogli znać ani rozumieć. Pojawiła się jednak i ważniejsza różnica. Dla tych chłopskich synów, pochodzących przeważnie z Kielecczyzny, Związek Sowiecki był kartą, na której dokonane zostały pierwsze świeże zapisy, przeważnie dobre, gdyż upamiętniające wyzwolenie od Niemców. Dla mnie była to już karta zapisana, i to w sposób bardzo różny. Karty tej wymazać nie mogłem i nie chciałem, gdyż niektóre zapisy były dla mnie równie bolesne, jak drogie".

Tyle że to on razem ze swoją kartą pełną tych wszystkich doświadczeń błyskawicznie zaczął robić karierę; na początek w Niemczech, dokąd został oddelegowany na proces norymberski w składzie Polskiej Misji Wojskowej ds. Zbadania Niemieckich Zbrodni Wojennych. I już w 1947 r., niemal z dnia na dzień, stał się dyplomatą, najpierw jako konsul w Düsseldorfie, a następnie zastępca ambasadora w Londynie.

MIĘDZYNARODOWE TARGOWISKO

Poznał wiele światowych znakomitości, rozmawiał z czterema amerykańskimi prezydentami, gościł na prywatnej kolacji u Indiry Gandhi, był obecny na koronacji królowej Elżbiety II, słuchał wystąpień Churchilla, przyjmował go Jan Paweł II. Fascynowała go polityka międzynarodowa, ale stać go było na krytycyzm. W ONZ np. widział „międzynarodowe targowisko, gdzie – poza wyjątkami – znaleźli synekury oportuniści z całego świata".

Ale największe problemy sprawiali swoi. W sierpniu 1960 r. przyleciał do

eprasa.pl 480f0f55e5

Nowego Jorku na sesję tego właśnie „targowiska" sam Władysław Gomułka. Spasowskiemu przerwano więc natychmiast urlop, a dalej było tak:

„Kiedy staliśmy w poczekalni Pan Am, czekając na bagaż, Rapacki [ówczesny minister spraw zagranicznych – przyp. K.M.] wyjaśnił:

– Towarzysz Spasowski właśnie był na urlopie w Kalifornii i tam dotarła do niego wiadomość o waszym przyjeździe.

Gomułka przyglądał mi się.

– To daleko – powiedział – jechaliście pociągiem?

– Nie samochodem. Jechałem razem z rodziną dookoła Stanów – odpowiedziałem.

– Jak długo trwa taka podróż?

– Z Kalifornii do Waszyngtonu prawie tydzień, towarzyszu sekretarzu, i to szybkiej jazdy – odparłem.

– Co powiecie? – zdziwił się. – To rzeczywiście jest duży kraj. Jechałem raz ze Szczecina do Przemyśla w jeden dzień. Ale jechaliśmy bez przerwy.

– W Ameryce są doskonałe drogi – zauważyłem – i można szybko jechać.

– A długo byliście na urlopie? – spytał.

– Pięć tygodni… I musiałem przerwać, żeby zdążyć na wasz przyjazd.

– Ambasador Spasowski jest już pięć lat w Stanach – wyjaśnił Rapacki – i ani razu nie miał urlopu, należy mu się kilka miesięcy.

– A ile kosztuje taki urlop? – zapytał Gomułka.

– Jeszcze dokładnie nie obliczyłem – odparłem – ale na pewno ponad dwa tysiące dolarów.

– Ile?! – krzyknął.

Spojrzałem zaskoczony na Rapackiego, który dawał mi znaki, żeby więcej nie opowiadać.

– Tyle musi kosztować – powiedziałem – motele, benzyna, jedzenie dla czteroosobowej rodziny.

– Stać was na taki wydatek? – dopytywał się Gomułka poirytowanym głosem i patrzył to na mnie, to na Rapackiego.

– A wy, towarzyszu Rapacki – powiedział z przekąsem – opowiadacie mi, że pensje są zaniżone i chcecie podnosić!

– Przecież towarzysz Spasowski oszczędzał przez parę lat – wyjaśniał Rapacki.

– Dwa tysiące dolarów na urlop? – krzyknął znów Gomułka.

– Po co powiedzieliście, ile to kosztowało? – szepnął mi do ucha Rapacki, kiedy szliśmy do samochodu. – Wiesław będzie pamiętał i nie da nam spokoju. Jest znany z oszczędzania. Ciągle przelicza pensje i ceny".

I rzeczywiście, kilka dni później Gomułka wezwał ambasadora głównie po to, by dowiedzieć się, jaka jest w Ameryce cena kilograma wieprzowiny. Nie był usatysfakcjonowany odpowiedzią, bo nie dość, że Spasowski podał mu cenę orientacyjną, to do tego za funt, a nie za kilogram, I sekretarz KC PZPR doszedł więc do wniosku, że amerykańską klasę robotniczą gnębi drożyzna, a polski ambasador wyraźnie, jak to dziś mawiamy, odkleił się od rzeczywistości. Wszystko skończyło się awanturą, po której akcje Romualda Spasowskiego spadły, na szczęście dla niego nie na długo.

ŁASKA WYBAWIENIA

Z jego książki jasno wynika, że nie miał złudzeń odnośnie do sytuacji, w której znalazła się Polska pod rządami jego towarzyszy partyjnych, widział też naszą zależność od Związku Sowieckiego. Oburzał się na niekompetencję przywódców, na serwilizm i karierowiczostwo swoich współpracowników, na to wszystko, co sprawiało, że kraj gnił od wewnątrz, pogrążając się w bylejakości i zwyczajnej biedzie pokrywanej dętą propagandą sukcesu. A i w alkoholizmie, na który, jako prawie całkowity abstynent, był wyczulony.

Miał podporę w osobie żony, żarliwej katoliczki i patriotki (jej ojciec był spokrewniony z gen. Władysławem Sikorskim), miał też bliskich sobie takich ludzi jak Bronisław Sianoszek, żołnierz Armii Krajowej i „Nie", więzień komuny, wsławiony brawurowymi ucieczkami z zakładów karnych, czy Stefan Klewenhagen, szef utajnionej ekspozytury wywiadu Armii Krajowej w okupowanym przez Sowietów Lwowie. Tylko z nimi i im podobnymi mógł być szczery i to od nich dowiadywał się, co naprawdę dzieje się w kraju, jak ludzie żyją i co myślą. Także o takich jak on.

Stan wojenny sprawił, że Romuald Spasowski głośno powiedział: „Dosyć!". W kraju obwołano go zdrajcą, pisano, że sprzedał się za „judaszowe srebrniki", podkreślano, że w styczniu 1982 r. miał zakończyć swą dyplomatyczną misję w Waszyngtonie. W Ameryce państwo Spasowscy zamieszkali w Wirginii, tam też powstawała jego książka, wydana w 1986 r. pod tytułem „The Liberation of One", nawiązującym do dzieła jego ojca – Władysława Spasowskiego: „Wyzwolenie jednego człowieka". Przez dłuższy czas pozostawał pod opieką CIA, nosił też fałszywe nazwisko. Później miało się to zmienić; po edycji książki miał serię wykładów o Polsce, odebrał też tytuły doktora honoris causa kilku amerykańskich uczelni, Jacek Kalabiński prowadził z nim radiowe rozmowy dla Wolnej Europy, niemniej – jak pisze Mariusz M. Brymora, który „Spowiedź ambasadora" opracował i zredagował – „do końca swoich dni żył skromnie, żeby nie powiedzieć: biednie jak na amerykańskie standardy. Wciąż borykał się z odrzuceniem przez polską diasporę, której duża część, także po 1981 r., uważała go za persona non grata i nadal traktowała jako symbol dyplomatów zaprzedanych komunistycznej władzy PRL".

Z całą pewnością i on, i Zdzisław Rurarz, drugi ambasador PRL, tyle że w Japonii, który również po 13 grudnia 1981 r. wystąpił o azyl w USA, potępiając stan wojenny i gen. Jaruzelskiego, nie zasługują na taką ocenę. A ich czyn – po części za sprawą Ronalda Reagana, który niemal przed samym Bożym Narodzeniem, bo 22 grudnia, przyjął ambasadora z żoną w Białym Domu, a w świątecznym orędziu powiedział o tej wizycie i o prośbie Spasowskiego, żeby w wieczór wigilijny Amerykanie zapalili świeczki na znak solidarności z narodem polskim – odbił się szerokim echem w świecie.

Tak, Romuald Spasowski był zdrajcą, ale nie Polski i nie Polaków. Zdradził komunę, której przez lata służył, zatruty ideologią zaszczepioną mu przez ojca, którego kochał i podziwiał. Ostatnie słowa „Spowiedzi ambasadora", kończące jej epilog, są następujące: „Mój najwspanialszy dzień nastąpił 9 kwietnia 1985 roku. Otrzymując chrzest z rąk kardynała Johna Króla w Filadelfii, zadawałem sobie pytanie, czy zasługuję na łaskę wybawienia i pojednania z tym, który wyzwolił w człowieku największą, a zarazem jedyną nadzieję. Łącząc się z Chrystusem, czułem, że jestem razem z umęczonym narodem polskim. Przysięgałem służyć Bogu i Polsce do końca mojego życia".

ROMUALD SPASOWSKI „SPOWIEDŹ AMBASADORA" UNIVERSITAS, KRAKÓW 2022

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 480f0f55e5

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Tromtadracja

Czy wiemy już wszystko o liczebności organizacji konspiracyjnych podczas okupacji? Mimo upływu tylu lat nadal nie, bo panują chaos pojęciowy, liczbowy i propagandowa tromtadracja. Na tle innych krajów okupowanych przez III Rzeszę (a okresowo i Sowiety: w latach 1939–1941 i od 1944 r.) nie mamy się czego wstydzić. Nie chodzi tylko o liczby, ale są one ważne, bo pytanie, jaka część społeczeństwa była w konspiracji, jest stale zasadne.

Mamy z tym kłopot. Nie ma rzetelnej ewidencji, bo nie wszystkie dokumenty się zachowały. W związku z tym historycy i publicyści posługują się wielkościami „przybliżonymi". Skąd je biorą? Najważniejsze są dane liczbowe z okresu konspiracji, bo późniejsze, po upływie dekad, puchły same z siebie do rozmiarów niebywałych.

Jeśli chodzi o AK, wywiad niemiecki szacował bardzo ogólnie siły tej organizacji na 100–200 tys. ludzi. Generał Stanisław Tatar – jeden z najważniejszych oficerów KG ZWZ-AK (a od kwietnia 1944 r. w sztabie Naczelnego Wodza w Londynie) uważał, że było to 250 tys. Ale kwestionował to jego następca w KG AK, płk Janusz Bokszczanin, uważając, że są zawyżone. Zaraz po wojnie gen. Tadeusz Pełczyński doliczył się już… 380 tys.

Nieco łatwiej jest oszacować liczebność NSZ, zachowała się bowiem dokładna sprawozdawczość z kilku jednostek organizacyjnych, czyli okręgów (a w ich ramach – powiatów). Liczebność BCh to nawet dla historyków czarna magia. Generał Tadeusz Komorowski „Bór" wymienił liczbę 42 tys. scalonych z AK. Historycy i propagandyści ludowi podawali liczbę 168 tys. Tu ważny mnożnik: cztery razy, ponieważ już pod koniec okupacji został on zastosowany do stanów w okręgach i obwodach. Ostatnio jeden z historyków (nazwiska nie wymienię, aby nie robić mu wstydu) gołosłownie twierdził, że w BCh było 200 tys. ludzi. Jest na ten temat sporo dokumentów z konspiracji, łatwo zatem wykazać, jak te wielkości stale rosły. W terenie BCh zaczęły się pojawiać dopiero pod koniec 1941 r.

Wdzięcznym polem badawczym jest liczebność konspiracyjnej komuny: PPR i GL-AL. Z ich sprawozdawczości wynika, że było to zaledwie kilka tysięcy, ale po „zdobyciu" przez nich Polski wielkości te wystrzeliły w górę. Władysław Gomułka „ustalił", że było to aż 100 tys. członków. Po 1989 r. nikt nie pokusił się o jakąkolwiek weryfikację obrazu konspiracji w Polsce. O przyznawaniu uprawnień kombatanckich w ostatecznej instancji decydował… sąd administracyjny na podstawie sobie wiadomych kryteriów, dlatego szeregi „kombatańców", pobierających świadczenia pieniężne, rosły w imponującym tempie, jak przysłowiowe króliki Lejzorka Rojtszwańca z kultowej powieści Ilji Erenburga. Jeszcze dziś możliwe jest jednak uściślenie powyższych wielkości i wyrugowanie mitów. Ale komu na tym zależy? ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Szopka Zielonego Balonika

Szopki bożonarodzeniowe mają na ziemiach polskich długą tradycję. Wprawdzie w 1736 r. wydano zakaz wystawiania ich w kościołach, ale widowiska przeniosły się na ulice, co dodało im popularności. Stałym elementem scenografii była piętrowa, przenośna makieta budynku nawiązująca do pałacu lub dworku ze sceną z przodu, po której poruszały się kukiełki. O atrakcyjności przedstawień decydowała jednak nie tylko strona plastyczna przedsięwzięcia, lecz także teksty, które najczęściej posiadały sporą domieszkę rubasznego humoru.

Tematem zajmowali się także poważni literaci, czego przykładem była wydana drukiem w 1849 r. „Szopka" Teofila Lenartowicza. Tą drogą poszli inni pisarze, a ukoronowaniem tego procesu było „Betlejem polskie" Lucjana Rydla (premiera 28 grudnia 1904 r. we Lwowie). Było to już całkiem poważne przedsięwzięcie sceniczne wystawiane w teatrach Galicji, gdzie grali najznakomitsi aktorzy z Ludwikiem Solskim na czele. Zostało też wydane drukiem ze znakomitymi ilustracjami Włodzimierza Tetmajera.

Szopki były popularne i wrosły w miejski folklor, zatem naturalną kolejną rzeczy członkowie krakowskiego kabaretu artystycznego, słynnego Zielonego Balonika, postanowili stworzyć własne widowisko. Tym bardziej że zdawano sobie sprawę z tego, że życie krakowskie dostarczy wyjątkowo dużo materiału do prześmiewczych piosenek i wierszyków.

„Tekst jest na przemian śpiewany i mówiony – relacjonowano w »Czasie« – ilustruje poruszenia lalek, […] melodie zaczerpnięte są z popularnych piosenek, po części z kolęd […]. Za scenę służy ogromna szopka wykonana również przez artystów rzeźbiarzy".

Przedstawienie odbyło się w lutym 1906 r. i było bardzo udane, ale odegrano je zaledwie jeden raz dla niewielkiego grona wybrańców. Podobnie było z dwoma kolejnymi i dopiero przy czwartej inscenizacji odstąpiono od tej zasady. Szopki stały się zresztą tak popularne, że jedną z nich odwiedził nawet sam „papież" galicyjskich konserwatystów, Stanisław Tarnowski. Był to w Krakowie prawdziwy człowiek instytucja, a jego pozycję można by przyrównać do roli Elżbiety II w pałacu Buckingham.

Nic zatem dziwnego, że gdy pojawił się na przedstawieniu, podstawiono fotel „wielkości tronu" i dwa mniejsze, na którym zasiadły towarzyszące mu osoby. I Tarnowski spokojnie oglądał swoją figurkę w szopce, ale czy zrozumiał coś z przedstawienia, o tym kronikarze milczą… ©℗

eprasa.pl 480f0f55e5

FOT. BERND LAUTER/GETTY IMAGES

NOWY JĘZYK NIEMIECKIEJ POLICJI

Według polityków lewicy niemieccy funkcjonariusze powinni wyrażać się w inny niż do tej pory sposób. Na przykład zamiast „mężczyzna o południowym wyglądzie" mają mówić „osoba szukająca schronienia". Nie mogą też używać terminu „klany arabskie", bo jest rasistowski. Minister spraw wewnętrznych Bawarii, Joachim Herrmann, powiedział w wywiadzie dla „Bilda", że zmuszanie policjantów do „tuszowania problemów językiem" zagraża bezpieczeństwu wewnętrznemu Niemiec.

SPOKOJNIE JAK WE FRANCJI

Gérald Darmanin, minister spraw wewnętrznych we Francji, tak skomentował stan bezpieczeństwa podczas zabaw sylwestrowych: „Nie było godnych odnotowania incydentów w czasie nocy sylwestrowej we Francji". Widocznie we Francji bywa już tak niebezpiecznie, że prawie 700 spalonych samochodów oraz starcia z policją na przedmieściach i w imigranckich dzielnicach ocenia się jako incydenty niewarte odnotowania.

ŻYCIE WEDŁUG ROSJANINA

Rosyjski propagandysta Władimir Sołowjow na kanale Rossija 1 przekonywał rodaków, że życie nie jest za dużo warte. – Życie jest bardzo przereklamowane. Po co bać się tego, co nieuniknione? Tym bardziej że dostaniemy się do nieba. Śmierć jest końcem jednej ziemskiej ścieżki i początkiem drugiej – powiedział w kontekście napaści na Ukrainę. Goście w studiu mu przyklasnęli, oceniając, że dawniej Rosjanie żyli lepiej – „z dnia na dzień", a teraz mają „niematerialne marzenia i wysokie cele".

AKTOR MA PŁACIĆ ZA PRZODKA

David Commissiong, urzędnik Barbadosu zaangażowany w pracę krajowej komisji ds. napraw, zapowiedział, że kraj będzie się domagał odszkodowania od znanego m.in. z produkcji Marvela aktora Joshuy Cumberbatcha. Powód? Przodek aktora w 1728 r. kupił plantację Cleland na północy tej karaibskiej wyspy i korzystał na niej z pracy niewolników.

MANDAT ZA BEZDOMNOŚĆ

Od nowego roku w stanie Missouri zaczęło obowiązywać nowe prawo, które w praktyce zdelegalizowało bezdomność. Za spanie w miejscach publicznych, kampingowanie lub tworzenie prowizorycznych „osiedli" grozi obecnie kara w wysokości 750 dol. oraz 15 dni w areszcie. Zdaniem stanowych legislatorów to znacznie lepsza strategia w walce z bezdomnością niż przeznaczanie środków na budowę mieszkań dla osób w kryzysie bezdomności. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Republikanie w rozsypce

To miał być wspaniały początek roku dla Partii Republikańskiej, która po listopadowych wyborach odzyskała większość w Izbie Reprezentantów, a co za tym idzie – teoretycznie – może powołać swojego spikera.

Kłopot w tym, że grupa mniej więcej 20 „szantażystów" (jak nazwał ich były spiker z ramienia republikanów Newt Gingrich), związanych niegdyś z Donaldem Trumpem, postanowiła nie poprzeć w głosowaniu partyjnego kandydata. Kevin McCarthy zapisał się więc w historii amerykańskiego parlamentaryzmu jako ten, który pierwszy raz od 1923 r. nie zdołał wygrać głosowania na spikera. Ani pierwszego, ani drugiego, ani trzeciego, ani – choć obiecał szantażystom już praktycznie wszystko – czwartego...

Dzień tak długo oczekiwanego triumfu konserwatystów przemienił się więc w żenujący spektakl, ukazujący, jak głębokie są podziały w Grand Old Party (GOP). Amerykańscy konserwatyści sprawiają wrażenie zagubionych i niepotrafiących ustalić nie tylko, kogo chcieliby mieć za lidera, lecz także w którym kierunku chcieliby podążać. Czy chcą wrócić do korzeni czy kroczyć śladami byłego prezydenta Donalda Trumpa (przez którego kandydaci GOP nie zdołali jesienią odbić Senatu, a i w Izbie Reprezentantów zdobyli przewagę o wiele mniejszą, niż powinni, biorąc pod uwagę niezadowolenie wyborców z rządów Bidena)?

Jeśli zarówno elity, jak i szeregowi członkowie GOP szybko się nie ogarną, to stracą też szansę na odbicie w przyszłym roku Białego Domu. Newt Gingrich słusznie ostrzega, że konserwatyści muszą skończyć z polityką niedoceniania Joe Bidena. Mimo wielu wad to groźny przeciwnik, który wygrał kilka ważnych bitew. Czy konserwatyści pozwolą mu też wygrać wojnę o przyszłość Ameryki? To pokaże już rok 2023. ©℗

eprasa.pl 480f0f55e5

Z prof. Lubomírem Kopečkiem, politologiem, wykładowcą na Uniwersytecie Masaryka w Brnie
rozmawia Maciej Szymanowski

Wielki znak zapytania

MACIEJ SZYMANOWSKI: W najbliższy weekend odbędzie się w Czechach pierwsza tura wyborów prezydenckich. Według sondaży największymi faworytami są znany także w Polsce były premier Andrej Babiš, znany tylko w Czechach generał armii Petr Pavel i w ogóle szerzej dotąd nieznana nawet nad Wełtawą profesor ekonomii Danuše Nerudová.

PROF. LUBOMÍR KOPEČEK: To są trzej kandydaci, którzy faktycznie mają największą szansę znaleźć się w drugiej turze. Podobnie jak ma to miejsce w Polsce, jeśli ktoś nie zdobędzie u nas w pierwszej turze wyborów powyżej 50 proc. głosów, co jest mało prawdopodobne, dwa tygodnie później odbywa się kolejne, rozstrzygające głosowanie.

Andrej Babiš dysponuje atutem silnego i stabilnego obozu zwolenników związanych z jego partią ANO, co znaczy „Tak". W zależności od sondażu to ok. 25–30 proc. wyborców. W większości są to ludzie starsi, wysoce zmotywowani do wzięcia udziału w wyborach. Minusem tego kandydata jest jego przeszłość jako agenta służby bezpieczeństwa przed 1989 r. Jest do tego człowiekiem, który swoje biznesowe imperium zbudował – delikatnie mówiąc – dość niestandardowo, a jako minister, a później premier – przynajmniej w warstwie retorycznej – głosił zmierzch demokracji parlamentarnej, która miałaby zostać zastąpiona rządami menedżerów. Jakby tego było mało, toczy się obecnie proces przeciwko Babišowi z oskarżenia o wyłudzenie 2 mln euro z unijnych środków. Co prawda, te problemy nie mają większego wpływu na jego zwolenników, ale w społecznym odbiorze zwiększają kontrowersyjność tej kandydatury.

Bardzo silną pozycję w sondażach od wielu miesięcy zajmuje jednak gen. Petr Pavel.

Ma za sobą godną podziwu karierę po 1989 r. w czeskiej armii, a także w NATO. Od dłuższego czasu prowadził bardzo intensywną kampanię. Atak Rosji na Ukrainę i z tym związane zapotrzebowanie na ludzi biegłych w sprawach wojskowych, osoby wyrażające się zdecydowanie pomogły mu także w zdobyciu rozpoznawalności i popularności w ogóle. Słabością generała jest jednak jego członkostwo w partii komunistycznej oraz ukończenie przed 1989 r. kursu szpiegowskiego. Kontrowersje z tym związane nie dorównują co prawda tym towarzyszącym postaci Babiša, ale w przebiegającej debacie medialnej w Czechach różnica ta została w dużej mierze zamazana.

O osobie kandydatki na prezydenta Danuše Nerudovej nie wiemy wiele, żeby nie powiedzieć nic.

Faktycznie, do wiosny 2022 r. mało kto o niej słyszał. W przestrzeni publicznej zaistniała na chwilę jako przewodnicząca specjalnej komisji, której zadaniem było przygotowanie reformy systemu emerytalnego w Czechach, z której dorobku niewiele zostało tak naprawdę zrealizowane. Gwałtowny wzrost jej poparcia w przedwyborczych sondażach Nerudová zawdzięcza bardzo sprawnemu zespołowi PR, który ją otacza i który z niej stworzył swoisty odpowiednik – popularnej także w Czechach – słowackiej prezydent Zuzany Čaputovej. Na jej korzyść gra to, że jest kobietą, co wyróżnia ją wśród wszystkich pozostałych

eprasa.pl 480f0f55e5

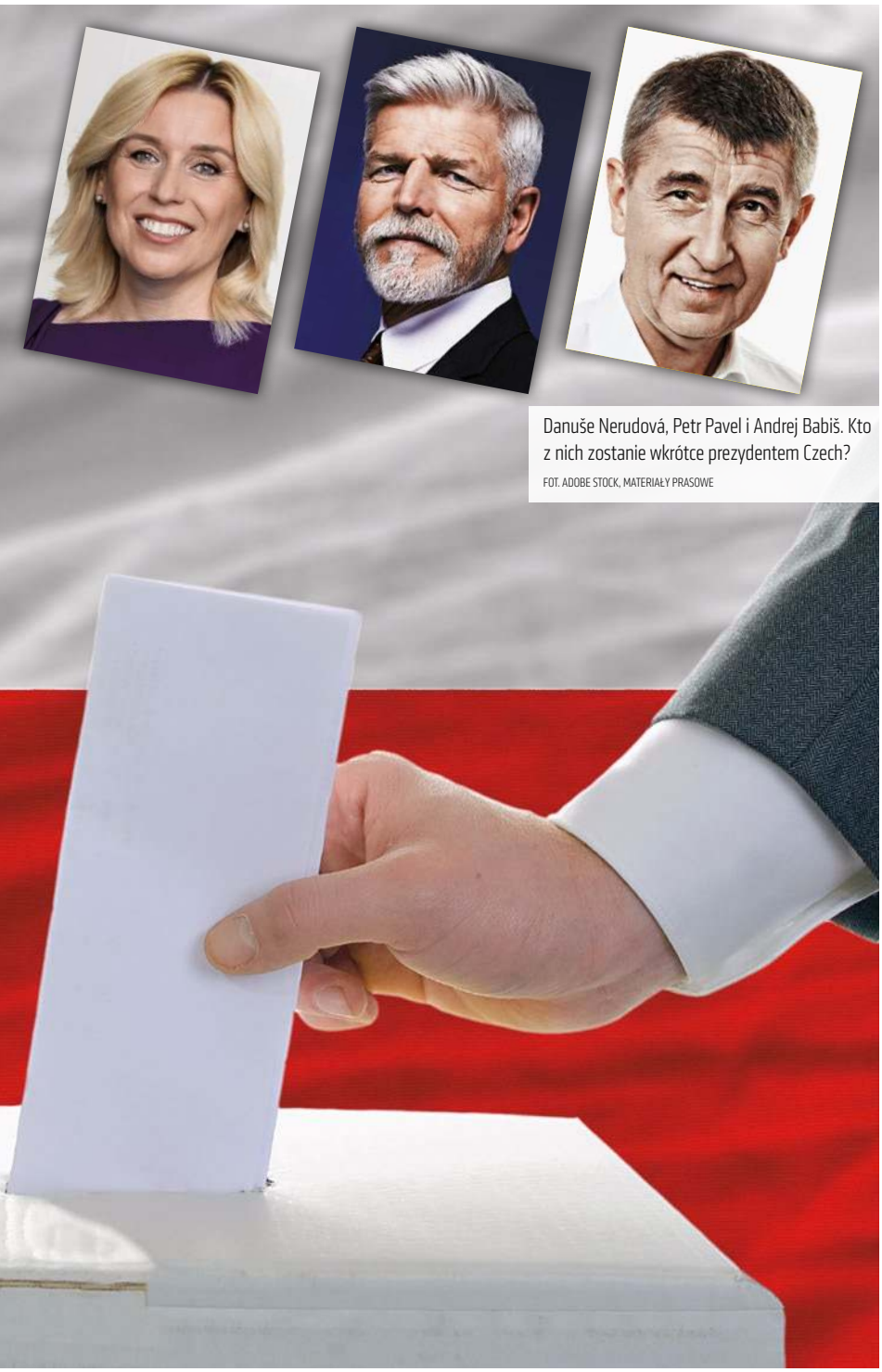

Danuše Nerudová, Petr Pavel i Andrej Babiš. Kto z nich zostanie wkrótce prezydentem Czech?

FOT. ADOBE STOCK, MATERIAŁY PRASOWE

kandydatów na prezydenta. A także to, że jako 44-latkę pewne rzeczy ją w życiu ominęły, więc może przedstawiać się jako osoba, która nie ma nic wspólnego z komunistyczną przeszłością kraju i czasami transformacji. Jako osoba niosąca w sobie pierwiastek zmiany w stosunku do życia politycznego ostatnich lat. Jest bardzo popularna wśród obywateli o poglądach liberalnych, zwłaszcza młodszych – do 35. roku życia.

Jednakże, jak wykazują badania, jej poparcie wśród wyborców jest słabo zakotwiczone. Nie mówiąc już o tym, że młodsi wyborcy bywają, jak wiemy, kapryśni. Ponadto w ostatnich dniach nabrała na dynamice afera związana – mówiąc w skrócie – ze sprzedawaniem doktoratów przez Uniwersytet Mendela w czasach, kiedy Nerudová była rektorem tej niezbyt dużej publicznej szkoły z siedzibą w Brnie.

Do niedawna powiedziałbym, że wszystko rozegra się między Babišem a lewicowo-liberalną Nerudovą, co samo w sobie byłoby ciekawe

Danuše Nerudová zapewne zaprzecza teraz, że o czymkolwiek wiedziała.

Właśnie, że nie. Twierdzi, że jak dobry leśniczy jako pierwsza zwróciła uwagę na pewne nieprawidłowości. Dodatkowego smaczku tej wciąż nie do końca objaśnionej aferze dodaje to, że o lewe doktoraty ubiegali się głównie obywatele Austrii i Niemiec.

Osobisty typ pana profesora? Wybory prezydenckie w Czechach wygra...

Babiš, powiedziałbym do niedawna. A przynajmniej, że wszystko rozegra się między nim a lewicowo-liberalną Nerudovą, co samo w sobie byłoby ciekawe, ponieważ kandydaci ci stoją na światopoglądowych antypodach. Babiš, co warto dodać, wybrał bardzo ciekawą strategię nieuczestniczenia w przedwyborczych debatach. Co grało na jego korzyść. Aż do momentu, kiedy przed Bożym Narodzeniem wybrał się z wizytą do pewnej szkoły podstawowej, której uczniowie zaczęli zadawać mu bardzo proste pytania. Na przykład co napisał Jaroslav Hašek albo które planety należą do naszego Układu Słonecznego. No i okazało się, co do dzisiaj krąży w odcinkach w sieci, mocno bawiąc internautów, że Babiš nie wiedział, że chociażby „Przygody dobrego wojaka Szwejka" są autorstwa Haška, a Księżyc nie jest planetą. Miał problemy z odpowiedziami na pytania tak, wydawałoby się, oczywiste, jak gdyby Polaka pytać, co się wydarzyło 1 września 1939 r.

Do tego momentu byłem przekonany, że wybory wygra Babiš, zwłaszcza gdyby w drugiej rundzie spotkał się z Nerudovą. Dzisiaj, moim zdaniem, mamy tutaj wielki znak zapytania.

W swojej ostatniej książce „Dobry, zły i brzydki? Havel, Klaus, Zeman – życiorysy paralelne"

eprasa.pl 480f0f55e5

przedstawia pan dzieje Czech i Czechów po 1989 r. przez pryzmat trzech prezydentów. Posługując się bardzo żywym językiem, nie szczędzi pan krytycznych słów i stanowisk. Z drugiej strony twierdzi pan, że wszyscy trzej wymienieni prezydenci „pomogli swojemu krajowi". Jak to pogodzić?

Václav Havel ma niepodważalne zasługi jeszcze z okresu komunizmu, ale miał swój wielki udział w narodzinach demokracji i wolności w 1989 r. Nie sam oczywiście, ale używając także własnego kredytu zaufania w kraju, a zwłaszcza za granicą, wprowadził Czechy do UE i NATO. To jego wielka zasługa.

Korzystając z wiedzy nabytej jeszcze przed 1989 r., Václav Klaus „zaimportował" gospodarkę rynkową do Czech. Rozdzielenie Czechosłowacji można oceniać różnie, ale to, że proces ten przebiegł tak szybko i w sumie bezproblemowo, w znacznym stopniu jest zasługą Klausa właśnie. Stworzył też główną partię czeskiej prawicy, ODS, która istnieje do dziś. Już jako prezydent, zwłaszcza w pierwszej kadencji, wykazał się wielkimi zdolnościami w rozwiązywaniu kryzysów rządowych, a były to czasy, kiedy premierzy zmieniali się u nas średnio raz w roku.

Co do Miloša Zemana, był zręcznym i bardzo potrzebnym wówczas krytykiem nonsensów komunistycznej gospodarki i reżimu, a po 1989 r. przywrócił do życia niekomunistyczną lewicę w postaci partii socjaldemokratycznej, tworząc przeciwwagę dla prawicy, ale też w sumie osłabiając komunistów. Jako premier wyprowadził kraj z recesji. W jego prezydenturze żadnych wielkich pozytywów nie widzę niestety.

Niestety, ponieważ prezydent otoczony jest w Czechach – już od czasów międzywojnia, ale do pewnego stopnia dałoby się mówić o tym zjawisku także w okresie komunizmu – silną aurą symbolu państwa, ucieleśnia czeską państwowość. Dzięki zapisom czeskiej konstytucji, która bardzo zwięźle określa uprawnienia prezydenta, np. w zakresie powoływania rządu, Zeman mógł pozwalać sobie na przekraczanie kompetencji głowy państwa. W rezultacie zaburzyło to demokrację parlamentarną. Ponadto jego konfrontacyjna retoryka mocno spolaryzowała społeczeństwo.

W swojej książce wspomina pan o wielkiej roli kobiet w życiu czeskich prezydentów.

Gdybym miał mówić o słabościach Havla, jedną z największych chyba były właśnie kobiety. W tym romanse pozamałżeńskie i głównie wybór drugiej małżonki, którą stała się aktorka znana z lżejszych komedii, dysponująca zarazem sporymi ambicjami dotyczącymi roli pierwszej damy, co generowało różne problemy i negatywnie odbijało się na prezydenturze samego Havla. Jednocześnie faktem jest, że pierwsza żona Havla była wielkim wsparciem w jego życiu, zwłaszcza w okresie przed 1989 r.

Przypadek Klausa jest o tyle inny, że sprawy romansów pozamałżeńskich wyszły na jaw tuż przed objęciem przez niego funkcji prezydenta. Klaus nie robił ze swoich związków jakiejś szczególnej tajemnicy, a z czasem ich zaprzestał. Żona Klausa, która zawsze była mu wierna, pogodziła się z tym. W odróżnieniu od Havla nie miało to nigdy większego wpływu na jego popularność i społeczny odbiór, co pewnie niemożliwe byłoby w Polsce.

Małżonka prezydenta Zemana jest zupełnie niewidoczna. Żadne sprawy związane z kobietami nie miały miejsca u tego polityka. No, może poza tematem jego grubiaństwa w stosunku do niektórych, ale to było generalnie niezależne od płci.

Babiš dość krytycznie ocenia silne wsparcie dla Ukrainy w wojnie rosyjsko-ukraińskiej, gdzie polityka rządu Czech nie różni się od stanowiska Polski

Wracając do wyborów. Jak to możliwe, że rządząca koalicja premiera Fialy nie wystawiła w nich własnego kandydata?

Koalicja ma po prostu wielu kandydatów. Kandydaci partyjni, co wyborcze triumfy Zemana doskonale pokazały, w wyborach nie mają większych szans w starciu z kandydatami, którzy na zewnątrz wydają się bezpartyjni. Z wyjątkiem oczywiście Babiša, który jest liderem największej partii politycznej. Mamy w Czechach wysoką inflację, kryzys energetyczny, spadek stopy życiowej i obecny rząd traci popularność. Jedyny kandydat koalicji rządzącej byłby łatwym celem. Stąd decyzja koalicji o udzieleniu poparcia kilku osobom, w tym gen. Pavlovi czy prof. Nerudovej, zamiast wystawiania własnego kandydata.

Co będzie znaczyło zwycięstwo Babiša, a co innych kandydatów?

Nie mamy ustroju prezydenckiego, rządzi rząd, ale prezydent może skomplikować mu oczywiście życie, co zapewne stałoby się w przypadku zwycięstwa Babiša, który swoją kampanię oparł na ciężkiej krytyce rządu. Koalicja ma większość umożliwiającą odrzucenie prezydenckiego weta ustaw. Ponadto prezydent ma niejasno sformułowane uprawnienia w konstytucji, a tym samym pozostawiające spore pole manewru, np. w obszarze polityki zagranicznej. Zwycięstwo Babiša może oznaczać pojawienie się do pewnego stopnia alternatywnej polityki zagranicznej. Ani od Petra Pavla, ani od Danuše Nerudovej nie można oczekiwać, że jako głowa państwa staną na czele opozycji, jak to zapewne uczyni Babiš.

Czy pojawienie się alternatywnego ośrodka polityki zagranicznej może dotyczyć Polski?

Chyba nie bezpośrednio, ale mogą wystąpić pewne skutki. Babiš dość krytycznie ocenia silne wsparcie dla Ukrainy w wojnie rosyjsko-ukraińskiej, gdzie polityka czeskiego rządu nie różni się od stanowiska Polski. Prezydent Zeman, mimo wcześniejszych prorosyjskich postaw, obecnie powiela poglądy rządu. Z Babišem jako prezydentem można się spodziewać, że czeska polityka zagraniczna stanie się pod omawianym względem mniej wyrazista. Niewykluczone też, że Babiš spróbuje wykorzystać tematy takie jak polska kopalnia Turów do ataku na obecny rząd. Przed rokiem partia ANO Babiša skrytykowała zawarcie polsko-czeskiej umowy międzyrządowej. Kwestia Turowa pozostaje obecnie na marginesie politycznego zainteresowania, ale problem może odżyć, kiedy okaże się, że działania podjęte przez Polaków celem zapobieżenia szkodom po czeskiej stronie granicy nie są wystarczające.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Maciej Szymanowski jest dyrektorem Instytutu Wacława Felczaka w Warszawie.

prof. Lubomír Kopeček *– politolog, wykładowca Uniwersytetu Masaryka w Brnie, współpracownik Narodowego Instytutu SYRI. Autor wydanej w ub.r. książki „Dobry, zły i brzydki? Havel, Klaus, Zeman – życiorysy paralelne".*

eprasa.pl 480f0f55e5

Z Jarosławą Krawczenko, ukraińską prezenterką telewizyjną, dyrektorką Dzikiego Teatru w Kijowie, wolontariuszką
rozmawia Maciej Pieczyński

Zapory przeciwpancerne w centrum Kijowa udekorowane świątecznymi ozdobami

FOT. SERGEI CHUZAVKOV/SOPA IMAGES/LIGHTROCKET/GETTY IMAGES

Jak się dziś żyje w Kijowie

MACIEJ PIECZYŃSKI: Jak wspomina pani pierwszy dzień wojny?

JAROSŁAWA KRAWCZENKO: Miałam już wcześniej przygotowaną walizkę, aby w razie czego błyskawicznie się spakować. Mimo to do końca nie wierzyłam, że wojna może wybuchnąć. 24 lutego obudziłam się dość późno. Zobaczyłam mnóstwo nieodebranych połączeń i powiadomień w telefonie. W końcu dodzwoniła się do mnie moja matka. „Zaczęło się" – usłyszałam od niej. Gdy zrozumiałam, co się stało, moją pierwszą myślą było: „Trzeba zadbać o swoje podstawowe potrzeby, zrobić to, co mogę i co ode mnie zależy". Usiadłam więc i szybko coś zjadłam. Chciałam nabrać sił, na wypadek gdyby trzeba było szybko uciekać. Potem przeszłam się po okolicy sprawdzić, jaki jest stan okolicznych schronów przeciwlotniczych. Okazało się, że fatalny. Zrobiłam zdjęcia, filmy i rozesłałam do znajomych i tych, którzy obserwują mnie w mediach społecznościowych.

Mój blok jest nowoczesny i przeszklony, więc postanowiłam przenieść się do mieszkania koleżanki, która wyjechała za granicę i zostawiła mi klucze. Jej blok był stary i wyglądał na tyle solidnie, że mógł wytrzymać nalot. Jednak szybko

eprasa.pl 480f0f55e5

okazało się, że to niebezpieczne, bo niedaleko znajdowała się fabryka, którą Rosjanie celowo ostrzeliwali. Ostatecznie pierwsze dni spędziliśmy z moim partnerem w schronach. Szybko zaczęłam się angażować jako wolontariuszka. Przygotowywałam koktajle Mołotowa. Dzięki temu, że mam dużo obserwujących w Internecie, mogłam pomóc w załatwianiu benzyny na ten cel, ale też np. organizować transport dla tych, którzy uciekali z Kijowa.

Na ile bezpośrednio doświadczyła pani działań wojennych, zagrożenia życia?

Tylko raz zdarzyło mi się odczuć wojnę na własnej skórze. Pewnej nocy bomba trafiła w sąsiedni budynek. W sąsiedniej klatce powylatywały szyby w oknach. Moim blokiem zatrzęsło od wybuchu.

Podobno do alarmów przeciwlotniczych i permanentnych nalotów można się przyzwyczaić. Naprawdę?

Tak. W pierwszych dniach nie wiedzieliśmy, jak to działa. Na dźwięk alarmu błyskawicznie uciekaliśmy do schronu. Potem zaczęliśmy czytać, dowiadywać się i kalkulować. Scenariusz nalotów stawał się przewidywalny. Za każdym razem Rosjanie wystrzeliwali ok. 100 rakiet. I było wiadomo, że celują przede wszystkim w obiekty infrastruktury. Jeśli w okolicy, w której się znajduję, takich obiektów nie ma, to mogę się czuć prawie bezpieczna. Prawie, bo choć rakieta na mnie nie spadnie, to już jej odłamki po zestrzeleniu przez obronę przeciwlotniczą mogą we mnie trafić. Tak czy inaczej, wiemy już, że jeśli np. dziś jest zmasowany atak rakietowy, to jutro Kijów będzie już bezpieczny, a Rosjanie ograniczą się do ostrzałów terenów przyfrontowych, przy użyciu artylerii krótkiego zasięgu. Naloty na stolicę wymagają od agresora długiego przygotowania. Gdy zaczynają spadać bomby, wiadomo, że przez najbliższe cztery godziny nie pójdziesz na zakupy, nie załatwisz spraw w urzędzie, a zaplanowane na ten czas spotkania musisz odwołać. Poza tym, jeśli Rosjanom uda się trafić w maszty sieci komórkowych, znika zasięg telefonu i Internetu. Bywa, że na spotkania ze znajomymi kijowianie umawiają się z wielotygodniowym wyprzedzeniem, bo często nie ma możliwości, aby w ostatniej chwili zadzwonić i poinformować o spóźnieniu czy o zmianie planów. Kiedyś śmialiśmy się, że tak robiono w dawnych czasach, gdy jeszcze nie było telefonów, ale dziś to jest nasza rzeczywistość.

Jak często brakuje prądu, wody, ogrzewania?

Infrastruktura jest obecnie mocno uszkodzona. W ciągu ostatniego tygodnia w dzielnicy szewczenkowskiej, w której mieszkam, prądu nie było przez 43 godziny, z czego przez 30 nie było też zasięgu. Dlatego mamy w domach mnóstwo latarek, lampek, bateryjek, powerbanków. W czasie wojny, zamiast na wakacje nad morzem, zbieramy na agregat prądotwórczy albo na ładowarkę bezprzewodową. Wychodząc z domu, zawsze zabieram ze sobą powerbank i doładowuję go wszędzie, gdzie tylko znajdę kontakt. W mieszkaniu trzymam 60 litrów wody. Na wszelki wypadek kupiłam śpiwory. Na szczęście mam gaz, więc bez prądu i ciepłej wody dam radę zagotować wodę i na herbatę, i do kąpieli. Niedawno zaczęły się mrozy, więc jedzenie trzymam na balkonie, gdy lodówka nie działa.

Podczas najbardziej intensywnych nalotów centralne ogrzewanie wyłączało się u mnie na kilka dni, ale wtedy jeszcze temperatura nie spadała poniżej zera. Wielu kijowian zdążyło już jednak doświadczyć prawdziwej zimy. Jedni moi znajomi mają w mieszkaniu osiem stopni temperatury. Inni we własnym domu rozbili namiot, bo w jego środku, pod dodatkową osłoną, jest im cieplej. W Kijowie popularne stało się coś na kształt couchsurfingu. Jeśli ktoś ma to szczęście, że akurat w jego dzielnicy jest prąd, to zaprasza do siebie przyjaciół z tych rejonów, w których tymczasowo prądu brakuje, żeby mogli normalnie się umyć, wysuszyć włosy czy coś zjeść.

W Kijowie popularne stało się coś na kształt couchsurfingu. Jeśli ktoś ma to szczęście, że w jego dzielnicy akurat jest prąd, to zaprasza do siebie przyjaciół z tych rejonów, w których prądu tymczasowo brakuje

W sklepach brakuje towarów?

Podczas alarmów przeciwlotniczych supermarkety są zamykane. Na początku wojny nie było dostaw i przez pewien czas w sklepach nie było ani warzyw, ani owoców. Był okres, gdy brakowało mięsa, za to można było kupić towary luksusowe, po które i tak nikt nie sięgał, bo nie wiedząc, co będzie jutro, ludzie woleli raczej oszczędzać. W pewnym momencie w marcu na Ukrainę przyjechały zaległe partie dawno zamówionego awokado. To była zabawna sytuacja. Idziesz do sklepu, a tam ani mięsa, ani warzyw, za to wszystkie półki zastawione tonami bardzo taniego awokado (śmiech). Filmiki na ten temat stały się wtedy bardzo popularne na Tik-Toku. Gdy dostawy zaczęły regularnie docierać do sklepów, pojawił się inny problem. Wywołane atakami na infrastrukturę przerwy w dostawach prądu uniemożliwiały płatności kartą. Supermarkety, jeszcze niegotowe do nowej sytuacji, masowo się zamykały, a w małych sklepikach można było płacić tylko gotówką. W pierwszych miesiącach upadło wiele firm, wiele knajp.

Bo ludzie bali się chodzić po mieście i nie mieli pieniędzy?

Akurat brak pieniędzy nie był i wciąż nie jest problemem. W końcu jednak handel przystosował się do nowych warunków. Gdzieś w połowie marca wypiłam swoją pierwszą kawę na mieście od wybuchu wojny. Okazało się, że kawiarnie powoli się otwierają. To była najlepsza kawa w moim życiu! W ciągu 2022 r. w samym Kijowie otworzyło się ponad 70 nowych lokali gastronomicznych. Wobec zagrożenia nalotami mało kto chce ryzykować długie oczekiwanie na jedzenie w restauracji. Dlatego odpowiedzią na potrzebę chwili stała się moda na fast foody. Szczególną popularnością cieszy się shoarma. Dla urozmaicenia ograniczonego menu właściciele barów wymyślają coraz to nowe jej rodzaje. Ponadto do Kijowa przeniosło się wiele lokali z bardziej zniszczonych miast, jak choćby z Charkowa czy Mariupola. Nawet brak energii elektrycznej przestaje być przeszkodą dla gastronomii. Moi przyjaciele prowadzą restaurację i znaleźli sposób, jak się zaadaptować do nowych warunków. Przygotowali jedną kartę dań na czas, gdy prąd jest włączony. Gdy światło gaśnie, proponują klientom alternatywne menu, złożone

eprasa.pl 480f0f55e5

z potraw, do których przygotowania prąd nie jest niezbędny.

Jak działa transport publiczny?

Z powodu ataków na infrastrukturę energetyczną przestały jeździć tramwaje i trolejbusy. Zostały zastąpione autobusami. Jeżdżą też normalnie marszrutki, funkcjonuje metro. Gdy rozlega się alarm przeciwlotniczy, wszystkie środki transportu publicznego muszą się momentalnie zatrzymać, a pasażerowie wysiąść i znaleźć schronienie. Wyjątkiem jest metro. Podczas nalotów działa normalnie. Jedyna różnica polega na tym, że nie wyjeżdża na trasę naziemną, czyli na most na Dnieprze.

Niszczenie infrastruktury z pewnością mocno utrudnia edukację uczniom i studentom, nawet tę zdalną... Jak funkcjonują kijowskie szkoły i uczelnie?

Różnie. Częściowo w trybie zdalnym, częściowo w trybie bezpośrednim. Do nauki przez Internet młodzi Ukraińcy przyzwyczaili się już w czasie epidemii koronawirusa. W trybie on-line w ukraińskich szkołach uczy się również wiele dzieci, które na początku wojny wyjechały wraz z rodzicami za granicę.

Między godz. 23 a 5 rano obowiązuje godzina policyjna. Czyli życie nocne nie istnieje?

Imprezy kulturalne i rozrywkowe, w tym dyskoteki w klubach, są organizowane, ale po południu i wczesnym wieczorem, tak aby zdążyć wrócić do domu przed godziną policyjną. Zapobiegliwi zamawiają z wyprzedzeniem taksówki, bo po godz. 22 przejazdy są dwa razy droższe niż normalnie. Oprócz dyskotek odbywają się koncerty, spektakle teatralne, czynne są kina, w których teraz puszczają zaległe premiery filmów sprzed wojny. Oczywiście każda forma rozrywki w tym trudnym czasie jest moralnie problematyczna. Dlatego z reguły przy okazji tego typu wydarzeń zbierane są pieniądze na sprzęt dla Sił Zbrojnych Ukrainy. Idziemy np. na koncert, ale przy okazji wpłacamy na nowy noktowizor dla naszych żołnierzy.

Kultura czasów wojny zdominowana jest przez tematykę patriotyczną, jest tworzona ku pokrzepieniu serc?

W jednym z kin odbyła się wystawa zdjęć z Azowstalu autorstwa Dmytra „Oresta" Kozackiego. Organizowane są patriotyczne wydarzenia kulturalne. Mój znajomy wystawia spektakl o tym, jak głupiego Wańkę z rosyjskiej prowincji rodzice wysyłają na wojnę, a on tam poszukuje złotej muszli klozetowej. Oczywiście takie opowieści pomagają jakoś skanalizować energię nienawiści do wroga. Ale wielu kijowian, żyjąc 24 godziny na dobę w trybie wojny, nie potrzebuje dodatkowo jej oglądać w kinie, teatrze czy w galerii. Jeśli ktoś jest ofiarą gwałtu, to niekoniecznie pragnie przeżyć tę tragedię jeszcze raz, tyle że jako widz. Osobiście nie chcę oglądać filmu dokumentalnego o wydarzeniach, które rozgrywają się na moich oczach.

Jarosława Krawczenko nauczyła się obsługi kałasznikowa i samoobrony

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE JAROSŁAWY KRAWCZENKO

Jest pani założycielką i dyrektorką Dzikiego Teatru w Kijowie. Na początku wojny zawiesiła pani jego działalność. Dlaczego?

Na mojej scenie grali aktorzy z kilku różnych teatrów. Ja i część moich współpracowników zajęliśmy się wolontariatem. Dziesięciu naszych aktorów poszło na front. Planuję wznowić działalność teatru. Potrzebuję jednak czasu, aby wprowadzić nowych aktorów.

O czym chce pani wystawiać spektakle?

Chcę, by widzowie zrozumieli, kim z powodu wojny się staliśmy, a kim już nigdy, jako Ukraińcy, nie będziemy.

Od pierwszego dnia wojny bez przerwy mieszka pani w Kijowie. Dlaczego nie zdecydowała się pani wyjechać?

Nie chciałam przeżywać stresu związanego z ucieczką, z kolejkami na wyjeździe z miasta, nie chciałam stać się uchodźcą. Wolałam zostać w mieście, które uważam za swój dom i które dobrze znam. Nie wiem, czy dobrze, ale uznałam, że tak będzie bezpieczniej. Tylko raz miałam ochotę wyjechać. To była połowa marca. Walki toczyły się dosłownie 15 km od mojego domu. Słyszeliśmy wybuchy. Wyszły na jaw zbrodnie w Buczy i Borodiance. Uderzyły mnie informacje o masowych gwałtach i zabójstwach kobiet na terenach okupowanych. W Kijowie do końca bezpiecznie nie było już wcześniej. W pierwszych tygodniach inwazji do centrum miasta kilkakrotnie próbowali przedostać się dywersanci. Wraz z moim partnerem nie tylko zaangażowaliśmy się w wolontariat, lecz także nauczyliśmy się obsługi kałasznikowa i generalnie samoobrony. Mieliśmy w domu noże i kije bejsbolowe. Byliśmy gotowi do walki wręcz. Potem, gdy nasze wojska odparły Rosjan spod Kijowa i zarówno dywersanci, jak i zbrodniarze z Buczy przestali działać na naszą wyobraźnię, zrozumieliśmy, że teraz już zagrażają nam „tylko" rakiety. A przed nimi nie obronią ani nóż, ani kij bejsbolowy... Nie zamierzaliśmy jednak wyjeżdżać.

Załóżmy, że do wyboru są dwie opcje. Pierwsza: pokój, rozejm czy też zawieszenie broni za cenę ustępstw terytorialnych na rzecz Rosji. Druga: walka do końca o zwycięstwo ze świadomością, że kraj będzie dalej równany z ziemią przez rosyjskie ostrzały. Którą z opcji pani wybiera?

Podobnie jak większość kijowian wybrałabym walkę do końca. Wydaje mi się, że takie nastroje dominują generalnie na Ukrainie. Na tej wojnie ponieśliśmy już tak wielkie ofiary, że nie mamy już wiele do stracenia. Zero kompromisów. Ja i moi bliscy, przyjaciele, znajomi, jesteśmy świadomi, że to będzie długa, wyczerpująca wojna.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 480f0f55e5

Witold Repetowicz

Rosja coraz agresywniej stara się wyprzeć wpływy francuskie i amerykańskie z Afryki. W tym celu wspiera przewroty wojskowe i wysyła swoich najemników. Nakręca też niechęć do Zachodu, opierając się na kolonialnych resentymentach. Przejmowanie kontroli nad tamtejszymi kopalniami ma pomóc Rosji omijać sankcje

Wojna o Afrykę

Cele Rosji w Afryce nie ograniczają się do kontroli nad zasobami naturalnymi. To też kwestia możliwości stymulowania migracji, zwiększenia zagrożenia terrorystycznego dla Europy, wreszcie uzależniania państw afrykańskich szantażem zbożowym i w rezultacie korzystania z ich wsparcia dyplomatycznego. Ekspansja rosyjska w Afryce nie wymaga przy tym dużych nakładów, a raczej sprytu i wykorzystywania tego, że nie wszystkie państwa europejskie zdają sobie sprawę z powagi sytuacji. Dotyczy to w szczególności Polski, której zainteresowanie sytuacją na Czarnym Lądzie jest niewielkie, a świadomość sprzężenia tamtejszej aktywności Rosji z jej możliwościami prowadzenia wojny na Ukrainie – mizerna.

Najbardziej intensywna jest rosyjska ekspansja w Afryce frankofońskiej. Takie państwa jak Mali czy Republika Środkowoafrykańska zostały już praktycznie przekształcone w rosyjskie kolonie. W tym drugim państwie, bogatym m.in. w złoża uranu, złota, diamentów i ropy naftowej, Rosjanie wykorzystali wojnę domową do wsparcia tamtejszego prezydenta Faustina-Archange'a Touadery. Wysłani do Republiki Środkowoafrykańskiej rosyjscy najemnicy, tzw. wagnerowcy, zabezpieczyli jego reelekcję w wyborach, które odbyły się na przełomie lat 2020 i 2021. Potem sprawy potoczyły się szybko. Nakręcono film o dzielnych Rosjanach, samotnie wspierających żołnierzy tego kraju w walce z okrutnymi rebeliantami, wspieranymi przez podłych Francuzów. Dzieci na dobranoc mogły zobaczyć bajeczkę o misiu pędzącym z dalekiej tajgi do afrykańskiej sawanny, by pomóc lwu uspokoić skłócone zwierzęta. A na studiach wprowadzono obowiązkową naukę języka rosyjskiego.

PUCZ W MALI

W Mali Rosjanie zaczęli od inspirowania antyfrancuskich protestów. Francja była militarnie obecna w tym kraju od 2013 r., gdy organizując operację „Serval", uratowała go przed zajęciem przez dżihadystów, niewiele różniących się od tego, co nieco później reprezentowało sobą Państwo Islamskie. Francja zorganizowała następnie koalicję pięciu państw tego regionu (Sahelu) przeciwko dżihadystom, a sama kontynuowała swoje działania w ramach operacji „Barkhane", przy wsparciu międzynarodowej grupy operacyjnej Takuba i misji wojskowej ONZ MINUSMA. Rosja oczywiście nie uczestniczyła w żadnym z tych formatów, za to knuła spisek z wojskiem malijskim, którego zaangażowanie w walkę z dżihadystami nie było zresztą zbyt duże.

W sierpniu 2020 r. grupa oficerów malijskich, z których część dopiero co wróciła ze szkolenia w Moskwie, przeprowadziła pucz. Niedługo potem i tam pojawili się wagnerowcy, a w 2022 r. junta zmusiła Francuzów do opuszczenia Mali.

W styczniu 2022 r. również w sąsiednim Burkina Faso doszło do przewrotu. Stojący na jego czele gen. Paul-Henri Damiba próbował wcześniej bezskutecznie namówić prezydenta Rocha Kabore do ściągnięcia do kraju wagnerowców, którzy jakoby mieliby być skuteczniejsi w walce z dżihadystami od Francuzów. Tyle że w 2020 r. wagnerowcy zupełnie nie popisali się pod tym względem w Mozambiku, który ich wynajął do walki z Państwem Islamskim w regionie Capo Delgado. Również w Mali, po wycofaniu Francuzów i ich zachodnich sojuszników, tamtejsza Al-Kaida przeszła do ofensywy. Wagnerowcy natomiast ograniczają się do dokonywania grabieży, zabezpieczania rosyjskiej kontroli nad surowcami i ochranianiu miejscowej władzy przed wrogami. Do tego nie trzeba dużych sił i środków.

NIGER I URAN

Kolejnym celem Rosji może być kluczowy dla Francji Niger. To tam Francja wycofała swoje siły, by kontynuować walkę z zagrożeniem dżihadystycznym. Tam też znajdują się francuskie kopalnie

eprasa.pl 480f0f55e5

W Mali protest przeciwko Francji odbywał się z rosyjskimi flagami, Bamako, 22 września 2020 r. FOT. ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

uranu, stanowiące ważne źródło zasilania francuskiego programu atomowego. Rosja, przejmując nad nimi kontrolę, zyskałaby spore możliwości rozszerzenia swojego szantażu energetycznego na w dużym stopniu niezależną od jej gazu Francję. Ponadto w lipcu tego roku Nigeria, Niger i Algieria podpisały memorandum w sprawie budowy gazociągu do Europy. Niedługo potem w Nigrze powstała „Święta Unia", czyli sojusz różnych lokalnych organizacji, których celem jest wyrzucenie Francuzów z Nigru. Na ich manifestacjach od razu pojawiły się flagi rosyjskie.

Nie jest przy tym prawdą, że Rosję, w przeciwieństwie do demokratycznego Zachodu, nie interesuje polityka wewnętrzna krajów, które stara się ze sobą wiązać. Problem w tym, że jej oczekiwania są dokładną odwrotnością tych, które ma Zachód – czyli chce Afryki rządzonej przez dyktatorów, skorumpowanej i łamiącej prawa człowieka. Demokracja jest jej wrogiem, bo inwestycja w zabetonowaną, autorytarną władzę jest tańsza. Rosja jest też zainteresowana niestabilnością i konfliktami, gdyż od lat jest głównym dostarczycielem broni do Afryki. Ponadto konflikty powodują biedę, głód i w konsekwencji migrację. Oczywiście nie do Rosji, lecz do Europy. I tu znów Niger jest krajem kluczowym, bo przez niego od lat prowadzą szlaki migracyjne.

Rosja nie od dziś wykorzystuje migrację jako broń w wojnie hybrydowej. W szczególności liczy na to, że zwiększona presja migracyjna spowoduje upadek wielu rządów, polaryzację w społeczeństwach europejskich i wzmocni tych, którzy szerzą narrację, że trzeba odpuścić Ukrainę i jakoś się z Rosją dogadać, bo są „ważniejsze problemy". Aby efekt był jeszcze większy, Rosja podjudza potencjalnych migrantów do agresji. Temu służą m.in. słowa Putina, który w końcu lipca odwołał się do spiskowej teorii o „złotym miliardzie" (czyli „rasistowskim" Zachodzie), który jakoby zagarnia wszystkie zasoby świata i w ten sposób jest odpowiedzialny za biedę pozostałej części ludzkiej populacji. To prowadzi do wniosku, że ta reszta ma prawo iść do „złotego miliarda", by odebrać „swoje". Nakręcana non stop narracja dotycząca rzekomego rasizmu i islamofobii Europejczyków (w tym w szczególności Polaków) w związku z sytuacją na polsko-białoruskiej granicy może dodatkowo przyczynić się do zwiększenia zagrożenia terrorystycznego.

WOJSKOWE UMOWY

Te działania rosyjskie przynoszą niestety spore rezultaty. Rosji w ostatnich latach udało się podpisać umowy o współpracy wojskowo-technicznej z 36 państwami afrykańskimi. W głosowaniu w ONZ nad potępieniem rosyjskiej inwazji na Ukrainę aż 24 (na 54) państwa afrykańskie wstrzymały się od głosu, a Erytrea była jednym z pięciu państw głosujących przeciw. W kolejnym głosowaniu – nad zawieszeniem Rosji w prawach członka Rady Praw Człowieka ONZ – „za" głosowało już tylko 10 państw afrykańskich, a przeciw było osiem.

Rosyjski minister obrony Siergiej Szojgu jako „przyjaciół Rosji" wymieniał Burundi, Gwineę, Kamerun, Mali, Sudan, Ugandę, Czad, Etiopię i RPA. W Gwinei i Sudanie, podobnie jak w Mali, rządzi junta wojskowa. W Sudanie, dzięki umowie podpisanej jeszcze za rządów obalonego w 2019 r. Omara Baszira, Rosja rabunkowo eksploatuje tamtejsze kopalnie złota, by omijać skutki zachodnich sankcji. W 2020 r. podpisała też z rządzącą juntą umowę o stworzeniu bazy morskiej w tym kraju.

Czad to z kolei kluczowy sojusznik Francji w regionie. Rosja stara się jednak wykorzystać niepewną sytuację po tym, jak w kwietniu 2021 r. zginął prezydent tego kraju Idriss Deby.

W Etiopii Rosja, w przeciwieństwie do Zachodu, udzieliła dyplomatycznego wsparcia premierowi tego kraju Ahmedowi Abiyowi w czasie krwawej wojny przeciwko ludowi Tigray, w czasie której na masową skalę popełniano zbrodnie przeciwko ludzkości. Nie bez znaczenia jest również to, że Abiy należy do popularnego w Afryce Kościoła Zielonoświątkowego, który słynie z szerzenia antyzachodnich teorii spiskowych. To idealny partner dla rosyjskiej machiny dezinformacyjnej.

Rosja jest zainteresowana niestabilnością i konfliktami, gdyż od lat jest głównym dostarczycielem broni do Afryki. Ponadto konflikty powodują biedę, głód i w konsekwencji migrację do Europy

ZBOŻE JAKO BROŃ

Wojna na Ukrainie stworzyła dla Rosji nowe potrzeby i ograniczyła dotychczasowe możliwości, ale w Afryce to wygląda nieco inaczej. Widmo kryzysu żywnościowego, wynikającego z wojny na Ukrainie, spowodowało, że Rosja może używać zboża jako broni, tak jak robi to od dawna z gazem. Głównymi dostawcami zboża na rynek afrykański były bowiem Ukraina i Rosja. Po wyeliminowaniu Ukrainy Rosja może monopolizować dostawy, uzależniając w ten sposób liczne państwa afrykańskie, tak jak to miało miejsce z dostawami gazu np. do Niemiec. W dodatku propaganda rosyjska okazała się na tyle skuteczna, że afrykańska opinia publiczna wierzy, że przyczyną problemu nie jest rosyjska agresja, lecz zachodnie sankcje nałożone na Rosję.

Jakiś czas temu pięciodniowe tournée po Afryce odbył rosyjski minister spraw zagranicznych Siergiej Ławrow, odwiedzając Egipt, Etiopię, Kongo i Ugandę. Niemalże w tym samym czasie podróż do Kamerunu, Beninu i Gwinei-Bissau odbył Emanuel Macron, a amerykański sekretarz stanu Antony Blinken na początku sierpnia udał się do RPA, Rwandy i Demokratycznej Republiki Konga. Wysokiej rangi dyplomaci amerykańscy odwiedzili też w tym czasie Kenię, Somalię, Ugandę i Ghanę. Ta zintensyfikowana aktywność dyplomatyczna nie może dziwić. Trwa wojna o Afrykę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 480f0f55e5

Homo republicanus

Piotr Włoczyk

Partia Republikańska zmienia swoje oblicze w kwestii LGBT. Do głosu dochodzi ta jej część, która twierdzi, że da się łączyć wspieranie tęczowych postulatów z obroną tradycyjnych wartości. Takie podejście prezentuje m.in. Donald Trump

13 grudnia był wielkim dniem w karierze Laury Menorah. Ten aktywista LGBT znany był wcześniej głównie w swoim środowisku z występów w spektaklach drag queen. Wystarczyło jedno zaproszenie od Joe Bidena i Joshua Miller (jego prawdziwe imię i nazwisko) zagościł w telewizorach w całej Ameryce. Miller pojawił się na wielkiej uroczystości w ogrodach Białego Domu, podczas której prezydent USA podpisał ustawę „Respect for Marriage Act". Otoczenie Joe Bidena uznało, że podpisanie ustawy, która nakazuje wszystkim stanom uznawanie małżeństw gejowskich zawartych w innych stanach, należy uświetnić czymś symbolicznym, co przekona amerykańskie środowisko LGBT, że Biały Dom jest bezdyskusyjnie progresywny. Zaproszenie drag queen miało być właśnie taką wisienką na torcie. Obecność Menorah była jednak symboliczna również dla drugiej strony amerykańskiej sceny politycznej. Ustawę, którą hucznie podpisał Biden, poparło bowiem 12 republikańskich senatorów oraz 39 członków tej partii zasiadających w Izbie Reprezentantów. I o ile wcześniej politycy prawicy, którzy poparli to prawo, przekonywali, że chodzi tu jedynie o legalizację związków, które i tak są rzeczywistością, o tyle cała otoczka ceremonii w ogrodach Białego Domu była jednoznacznym dowodem, że w całej tej sprawie chodzi o wiele więcej. Joe Biden wykorzystał ten moment, by podkreślić w przemówieniu, że czas już zapewnić „ochronę" dzieciom, które chciałyby „zmienić płeć"...

„Mamy pytanie do »konserwatystów«, którzy poparli ustawę o małżeństwach gejowskich: widząc, że Biały Dom wykorzystał podpisanie ustawy jako okazję do promowania drag queen oraz kastracji dzieci, rozumiecie już – skończeni naiwniacy – co naprawdę się dzieje, czy jeszcze to do was nie dotarło?" – komentował Matt Walsh, publicysta konserwatywnego portalu The Daily Wire, który zasłynął w zeszłym roku jako twórca błyskotliwego filmu dokumentalnego „Kim jest kobieta?" („What Is a Woman?"). W filmie tym Walsh rozmawia z przedstawicielami środowisk progresywnych i zadaje im to jedno proste pytanie, na które – jak się okazuje – odpowiedź jest wyjątkowo zawiła lub wręcz nie ma jej wcale.

TĘCZOWE MAR-A-LAGO

Dwa dni później amerykańscy konserwatyści dostali kolejny cios z tej samej

eprasa.pl 480f0f55e5

Były republikański prezydent zorganizował w swojej posiadłości Mar-a-Lago na Florydzie bankiet dla republikanów LGBT FOT. JOE RAEDLE/GETTY IMAGES

kategorii. Tym razem wymierzył go sam Donald Trump. Były republikański prezydent zorganizował bowiem w swojej posiadłości Mar-a-Lago na Florydzie bankiet dla republikanów LGBT. „Walczymy za społeczność gejowską, walczymy, i to walczymy zawzięcie" – Trump przekonywał ze sceny zgromadzonych gości. Nie był to pierwszy taki gest ze strony byłego prezydenta, ponieważ już wcześniej sygnalizował on poparcie dla środowisk LGBT (w kampanii z 2016 r. fotografował się z tęczową flagą z napisem „LGBT za Trumpem"), ale tym razem Trump poszedł o wiele dalej, deklarując, że LGBT to „nasz ruch".

Amerykańscy konserwatyści w ciągu kilku dni zaliczyli więc swego rodzaju rewolucyjną kumulację. Najpierw Kongres uchwalił przy poparciu części republikanów ustawę, która była marzeniem tęczowych aktywistów, a chwilę potem człowiek, w którym wciąż miliony amerykańskich konserwatystów upatrują nadzieję na powstrzymanie rewolucyjnego walca, zorganizował z pompą galę dla LGBT w szeregach republikanów. Trudno się dziwić, że konserwatywna społecznie prawica zareagowała oburzeniem i wszczęła alarm.

„Partia Republikańska lekkomyślnie stara się przyciągnąć do siebie głosy mniejszości, które ochoczo promują styl życia będący w jawnej sprzeczności z Przykazaniami i dobrem wspólnym – komentował na łamach portalu Life Site News abp Carlo Maria Viganò. – Aż do teraz można było do pewnego stopnia przymykać oko na niektóre aspekty platformy politycznej Partii Republikańskiej, ponieważ Partia Demokratyczna niosła ze sobą o wiele większe zagrożenia. Teraz jednak jest już rzeczą oczywistą, że »głębokie państwo« zanieczyściło całą elitę polityczną, nie wyłączając Donalda Trumpa, który do teraz mógł być uważany za źródło nadziei dla przyszłości Stanów Zjednoczonych".

Z kolei konserwatywny publicysta i pisarz Rod Dreher na łamach „The American Conservative" przypomniał, że jeszcze w 2017 r. Trump organizował w Białym Domu całkiem inne spotkania, podczas których modlił się wraz z pastorami. Dreher niedwuznacznie dał znać w swoim tekście, że Trump oszukał swoich konserwatywnych zwolenników.

ĆWIERĆWIECZE ZMIAN

Pod koniec 2022 r. spełniły się więc przewidywania magazynu „Politico", który w 2021 r. przekonywał, że GOP wywiesi białą flagę w kwestii małżeństw gejowskich. Jednym z argumentów na „tak", które podają republikańscy politycy sprzyjający głównemu postulatowi LGBT, jest to, że amerykańska opinia publiczna w swojej masie zaakceptowała tę zmianę. Z sondaży wynika, że ok. dwóch trzecich Amerykanów popiera legalizację małżeństw gejowskich. Politycy ci wychodzą więc z tego samego założenia, które przedstawił w 2019 r. w wywiadzie z „Do Rzeczy" brytyjski konserwatywny publicysta Peter Hitchens, przekonując, że czas przestać „kopać się z koniem".

„Jedynym efektem rozmów o małżeństwach gejowskich jest to, że ludzie zaczynają cię nazywać nawiedzonym fundamentalistą, który sprzeciwia się postulatom LGBT, bo tak naprawdę nienawidzisz homoseksualistów. I od razu przestają cię słuchać" – mówił Hitchens, podkreślając, że jeżeli konserwatyści nie odpuszczą tego tematu, to społeczeństwa, które w swojej masie zaakceptowały postulaty LGBT, zupełnie przestaną słuchać konserwatywnych głosów także w innych kwestiach.

Amerykańskie społeczeństwo zmieniło się pod tym względem diametralnie w ciągu ostatnich 25 lat. Jeszcze w 1996 r. jedynie co czwarty Amerykanin opowiadał się za takimi zmianami w prawie. Właśnie rok 1996 ma szczególnie złe miejsce w pamięci aktywistów LGBT, ponieważ to wówczas Kongres przegłosował ogromną większością ustawę „Defense of Marriage Act", która wykluczała uznawanie małżeństw osób tej samej płci. Prawo to podpisał Bill Clinton, a za głosował m.in. ówczesny senator Joe Biden, który przekonywał wtedy w wywiadach, że dla każdego oczywiste jest, iż małżeństwem może być jedynie związek kobiety i mężczyzny. Ćwierć wieku później sytuacja wygląda już zupełnie inaczej i nie tylko Joe Biden ochoczo podpisuje ustawę, która jest zaprzeczeniem prawa będącego dla niego w 1996 r. zupełną oczywistością, lecz także blisko jedna czwarta amerykańskich kongresmenów przykłada rękę do tej rewolucyjnej zmiany.

Niektórzy mogą się dziwić, dlaczego właściwie partia Bidena tak bardzo chciała uchwalić to prawo, skoro od 2015 r., na mocy niezwykle kontrowersyjnej decyzji Sądu Najwyższego, i tak wszystkie stany muszą zezwalać na małżeństwa gejowskie. Powodem jest odwrócenie w tym roku decyzji w sprawie Roe vs. Wade, dzięki czemu aborcja przestała być automatycznie legalna w każdym amerykańskim stanie. Demokraci przekonują, że w niedalekiej przyszłości zdominowany przez konserwatystów Sąd Najwyższy odwróci również decyzję w sprawie legalizacji małżeństw osób tej samej płci.

Choć w kwestii tęczowej rewolucji amerykańscy konserwatyści mogą mieć mnóstwo powodów do obaw, to jednak w drugiej z kluczowych kwestii w wojnie cywilizacji – aborcji – na razie nie widać zmian w szeregach republikańskich polityków. Demokraci, którzy cały czas planują przeforsowanie przez Kongres ogólnokrajowej legalizacji aborcji, nie mogą więc na razie liczyć na pomoc ze strony polityków GOP. Na razie...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 480f0f55e5

Jakub Wozinski

Z rosyjskiego deszczu pod chińską rynnę

Brnięcie w ekologistyczną politykę zeroemisyjności grozi Polsce niebezpiecznym uzależnieniem się od chińskich materiałów, technologii i surowców

FOT. ADOBE STOCK

Za odcięcie od dostaw rosyjskiej ropy i gazu nasz kraj płaci obecnie ogromną cenę w postaci drożyzny na stacjach paliw czy też wciąż realnego ryzyka wyczerpania się zapasów błękitnego paliwa w czasie zimy. Jeżeli obecne trudności powinny nas czegokolwiek nauczyć, to z pewnością tego, że już nigdy więcej Polska nie może sobie pozwolić na to, aby w tak wielkim stopniu uzależniać własne bezpieczeństwo energetyczne od jednego państwa. Zasada ta dotyczy nie tylko Rosji, lecz także każdego innego kraju, z którym zacieśniamy obecnie swoje gospodarcze więzy.

Mimo że Polska w ostatnim czasie znacząco zwiększyła swoje uzależnienie od dostaw LNG ze Stanów Zjednoczonych oraz postawiła na amerykański Westinghouse jako wykonawcę pierwszego bloku atomowego, dużo większe ryzyko uzależnienia od innego mocarstwa pojawiło się w nieco innym obszarze.

FOTOWOLTAICZNY HEGEMON

Mowa oczywiście o Chinach, które od lat ugruntowują swoją pozycję światowego technologicznego i surowcowego lidera agendy zrównoważonego rozwoju. Mimo że z polskiej perspektywy najmocniej odczuwane są zeroemisyjne naciski ze strony Brukseli, to właśnie Pekin może zbudować poprzez upowszechnienie się skrajnego politycznego ekologizmu wielki arsenał środków politycznego nacisku. O ile Rosja od lat budowała swoją pozycję w oparciu o gazo- i ropociągi, o tyle Państwo Środka ma szansę szachować świat jako główny inżynier i dostawca technologii umożliwiających prowadzenie niekończącej się nigdy walki z globalnym ociepleniem.

O chińskiej dominacji w krainie zrównoważonego rozwoju mówią niezliczone dane. W 2021 r. Chiny wyprodukowały aż 84 proc. wszystkich paneli fotowoltaicznych na świecie, choć jeszcze przed dekadą ich udział w rynku wynosił 55 proc. Do 2025 r. Chińczycy mają już dominować totalnie, produkując aż 95 proc. Wytwarzając panele na masową skalę, chińscy producenci mają koszty dużo niższe niż ktokolwiek inny w Azji, nie wspominając już o Europie, która poprzez swoją absurdalną politykę klimatyczną posiada obecnie tak wysokie ceny energii, że czyni wszelką produkcję przemysłową na swoim terytorium coraz mniej opłacalną.

Dominacja Chin w zakresie paneli to nie tylko efekt ogromnych możliwości produkcyjnych i licznej (wciąż) siły roboczej, lecz także pochodna świetnego dostępu do materiałów. Chiny są drugim na świecie producentem srebra oraz wytwarzają aż 40 proc. światowego polisilikonu.

eprasa.pl 480f0f55e5

A ściślej rzecz biorąc – producentami polisilikonu są w większości przetrzymywani w obozach pracy Ujgurzy, którzy w nieludzkich warunkach pracują na „czystą energię" dla całego świata.

WIATR ZE WSCHODU

Nie inaczej przedstawia się sytuacja w zakresie drugiego filaru OZE, czyli farm wiatrowych. Również i tu Chiny podbijają rynek w oszałamiającym tempie, wykorzystując głupotę Zachodu oraz własne atuty. W latach 2020–2022 co piąta turbina wiatrowa na świecie została wyprodukowana przez chińskiego potentata Mingyang, a wśród 10 największych producentów turbin w 2022 r. jedynie cztery mają siedzibę poza Państwem Środka.

Wśród producentów instalacji umożliwiających pozyskiwanie energię z wiatru są też oczywiście zachodni producenci, tacy jak choćby Vestas z Danii czy też amerykański General Electric, lecz Chiny posiadają nad nimi coraz większą przewagę w postaci uprzywilejowanego dostępu do metali rzadkich (kontrolują nawet 40 proc. globalnych zasobów). Złoża tych metali są wprawdzie rozproszone po całym świecie (od Filipin, poprzez Gabon, do Meksyku), lecz chiński kapitał dokonał w ostatnich latach skutecznej penetracji lokalnych rynków, zabezpieczając sobie uprzywilejowany dostęp. Chiny są także światowym dominatorem w zakresie rafinacji tychże metali.

Niemniej istotny jest fakt, że Chiny posiadają ogromną przewagę nad resztą świata w zakresie produkcji dużo mniej wyrafinowanych elementów turbin wiatrowych, jak choćby stali. Podczas gdy kraje zachodnie w samobójczy dla siebie sposób likwidują elektrownie węglowe, gazowe i nuklearne, podwyższając ceny energii dla przemysłu, w Chinach od ponad roku trwa wielki powrót do węgla. Władze z Pekinu są w stanie chwalić się przed całym światem, że otwierają rekordową liczbę farm wiatrowych i fotowoltaicznych, lecz jednocześnie korzystają wciąż w ogromnym zakresie z paliw kopalnych, zapewniając sobie dużo niższe koszty produkcji podstawowego budulca turbin.

AKUMULATOR ŚWIATA

Kupujący w krajach zachodnich auta firmy Tesla najczęściej nie zdają sobie sprawy z tego, że baterie do nich powstają w zakładach firmy CATL zlokalizowanych w prowincji Fujian w Chinach. W energetycznym miksie tego regionu trudno uświadczyć większe ilości „czystej energii", gdyż oparty jest on głównie na węglu i gazie, a w dalszej kolejności na energii atomowej i hydroelektrowniach. Najpopularniejsze na świecie e-auta, którymi ludzkość ma wjechać do krainy zeroemisyjności, mają więc dość „brudny" rodowód.

Firma CATL to światowy dominator na rynku baterii do aut elektrycznych, kontrolujący w 2022 r. niemal 34 proc. całego globalnego rynku. Kolejne 22 proc. rynku posiadają również chińskie firmy: BYD, CALB, Guoxuan, Sunwoda i SVOLT. Tak jak w przypadku paneli fotowoltaicznych czy turbin wiatrowych kluczem do zdobywania przez chińskie podmioty światowych rynków są polityka klimatyczna krajów zachodnich oraz kontrola kluczowych zasobów.

Podstawowym składnikiem baterii do aut elektrycznych jest oczywiście lit. Mimo że rudy tego metalu znajdują się w znacznych ilościach w Chile czy Australii, rafinacja tego metalu w aż 80 proc. odbywa się w Chinach. W przypadku kobaltu aż osiem z 14 największych kopalni jest podporządkowanych bezpośrednio Pekinowi. Słynne na całym świecie kopalnie w Kongu, w których do pracy w katastrofalnych warunkach zmuszane są nawet dzieci, swój urobek przekazują głównie w ręce chińskich pośredników. Podobnie przedstawia się też sytuacja w zakresie innych metali, bez których baterie aut nie są w stanie osiągnąć zadowalających parametrów: Chiny albo w większości kontrolują proces ich pozyskiwania i przetwarzania, albo są na najlepszej drodze do tego, aby go zdominować.

IMPERIUM ZRÓWNOWAŻONEGO ROZWOJU

Chociaż najbardziej agresywnymi i hałaśliwymi rzecznikami radykalnej polityki klimatycznej i zrównoważonego rozwoju wydają się przedstawiciele zachodniej lewicy, to największym finansowym jej beneficjentem okazują się bezsprzecznie Chiny. Jeśli wsłuchać się uważnie w poszczególne wypowiedzi Xi Jinpinga formułowane od wielu lat, to znaleźć w nich można wzniosłe deklaracje walki o cele zeroemisyjności i zrównoważonej przyszłości. Strategia Chin jest bardzo przebiegła, gdyż bazuje na tym, że oferując całemu Zachodowi możliwość taniej produkcji wszystkiego na wielką skalę, uzyskuje ciche przyzwolenie na znaczące odejście od realizacji oficjalnych celów klimatycznych. Mając do dyspozycji największych na świecie producentów instalacji fotowoltaicznych i wiatrowych, Pekin niskim kosztem rozbudowuje bazę „zielonej energii", która stanowi jednak zaledwie listek figowy skrywający największe na świecie zużycie paliw kopalnych (54,1 proc. węgla na świecie spalane jest w chińskich elektrowniach).

Narastające uzależnienie Polski i całego świata od Chin w zakresie zielonej transformacji energetycznej nie rzuca się tak bardzo w oczy jak rosyjskie gazociągi czy ropociągi. Formalnie na świecie mamy przecież do czynienia z konkurencją rozmaitych podmiotów. Umiejętne manipulowanie opinią publiczną oraz stałe rozbudowywanie gospodarczych wpływów doprowadziły jednak do sytuacji, w której strategiczne zasoby, technologie oraz łańcuchy dostaw w zakresie zielonej transformacji zostały zdominowane przez jedno ze światowych mocarstw.

Pozornie Chiny razem z całym światem zmierzają w tym samym kierunku, jakim jest osiągnięcie do połowy stulecia celu zeroemisyjności. Mało tego, swoimi wielkimi przedsięwzięciami w zakresie budowy farm wiatrowych i solarnych oraz największym na świecie rynkiem e-aut zdołały nawet przekonać cały świat, że są bezgranicznie oddane postępowym ideom technologicznej ekorewolucji bardziej niż inni i wyznaczają nowe trendy. Za tą zasłoną dymną znajduje się jednak mechanizm stopniowego i rozpisanego na wiele lat uzależniania od siebie niemal całego świata. Istnieje realne ryzyko, że im odważniej kraje rozwinięte i rozwijające się, takie jak Polska, będą podążały zieloną ścieżką dekarbonizacji, tym szybciej będzie postępowała industrializacja Chin w najważniejszych obszarach i tym większa otworzy się przestrzeń do ich politycznej dominacji.

Niestety, w polskiej debacie publicznej nad wcielaniem w życie polityki klimatycznej zarysowane tu zagrożenie wydaje się wręcz zupełnie nieobecne. Tak jak na Zachodzie dominuje wręcz entuzjazm, że OZE stanowią najtańszy sposób przebudowy systemu energetycznego. Warto więc przypomnieć, że Rosja budowała przez lata swoje wpływy w Europie również w oparciu o zaskakująco niskie ceny swoich surowców.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 480f0f55e5

Tomasz Zbigniew Zapert

Piłkarz wszech czasów

Odeszła legenda futbolu. Sportowiec, na którego pożegnanie w Brazylii ustawiła się dwukilometrowa kolejka

Tak się złożyło, że zainteresowałem się futbolem akurat w momencie, kiedy praktycznie zakończył karierę. Nigdy nie widziałem go na boisku, lecz już wtedy uchodził za „króla futbolu". W 2014 r. wizytował Warszawę. Przybył w charakterze ambasadora jakiejś marki. Z tej okazji zorganizowano konferencję dla mediów na Stadionie Wojska Polskiego – w jego loży, zwanej Skyboxem. Aby się tam dostać, wsiadłem do windy razem z kolegą dziennikarzem, Maciejem Weberem. A zaraz za nami, niespodziewanie, wkroczył Pelé. Nie zamieniliśmy słowa, lecz stanąłem twarzą w twarz z legendą…

Jak to zazwyczaj w podobnych sytuacjach bywa, organizatorzy usiłowali zaskarbić sobie przychylność ludzi piór, mikrofonów i kamer, ofiarowując im okolicznościowe podarunki. Tym sposobem zostałem właścicielem żółtej koszulki i niebieskiego plecaka. Na obydwu widnieje napis „Pelé".

I to jest moje osobiste wspomnienie dotyczące brazylijskiej wizytówki, jak określił zawodnika jego krajan Paulo Coelho, pisarz popularny także w Polsce. Chociaż w zakamarkach swej pamięci przechowuję jeszcze inny obraz. Ale o tym potem.

NIESPEŁNIONE MARZENIE

Edson Arantes do Nascimento – tak w istocie nazywał się Pelé – jako jedyny w dziejach najpopularniejszego sportu na kuli ziemskiej miał w kolekcji trzy tytuły mistrza świata. Pierwszy wywalczył, będąc jeszcze niepełnoletnim w roku 1958 w Szwecji. Cztery lata później przyczynił się do obrony trofeum na mundialu chilijskim. A w roku 1970 poprowadził Canarinhos do trzeciego triumfu w czempionacie globu, rozgrywanym tym razem na meksykańskich stadionach. Inna sprawa, że zawsze mógł liczyć na wsparcie wybitnych kolegów z drużyny narodowej. Początkowo Didiego, Vavy i Garrinchy, potem Rivelino, Jarzinho, Gersona czy Tostao. Z Garrinchą nigdy nie podróżował na mecze tym

FOT. FERDI HARTUNG/IMAGO/EAST NEWS

eprasa.pl 480f0f55e5

samym samolotem. Tak zadecydował rząd, uznając, że gdyby maszyna się rozbiła, Brazylia by tego nie przeżyła. Bowiem jej kadra nigdy nie przegrała spotkania, mając na boisku obu tych graczy.

Po przygodzie reprezentacyjnej Pelé pozostało jednak niespełnione marzenie. Dotyczące wygranej w Copa America. W turniejach o mistrzostwo kontynentalne uczestniczył zaledwie raz. Został nawet najskuteczniejszym snajperem zawodów, lecz per saldo lepsi okazali się Argentyńczycy.

Z Santosem – zespołem, któremu pozostał wierny niemal przez całą karierę – sześć razy świętował krajowe mistrzostwo, dwukrotnie wywalczył Copa Libertadores (odpowiednik Champions League) oraz Puchar Interkontynentalny.

POLONICA

Z Santosem gościł również w Polsce. 25 maja 1960 r. klub pokonał – na Stadionie Śląskim, w obecności 100 tys. widzów – kadrę PZPN aż 5:2, m.in. po dwóch trafieniach Pelégo.

„Dawno nie napracowałem się jak w tym meczu. Brazylijczycy okazali się niezwykle groźnymi bombardierami. Niemal wszystkie piłki strzelali fałszem, Pelé w szczególności. Nie wiedziałem, jak bronić: chwytać piłkę czy ją wybijać" – usprawiedliwiał się po końcowym gwizdku arbitra nasz bramkarz Edward Szymkowiak.

Mało kto wie, że trzy dni przed tą konfrontacją Brazylijczycy obejrzeli mecz polskiej ligi. Wydarzyło się to w Warszawie, gdzie Legia podejmowała Wisłę Kraków. Padł rezultat remisowy, a Pelé był wyraźnie rozczarowany poziomem, w szczególności zachowawczą taktyką gospodarzy (choć wyróżnił Lucjana Brychczego). Nie mógł uwierzyć, że widział starcie czołowych polskich drużyn. Podobno usiłowano ratować wizerunek naszego futbolu, wyjaśniając egzotycznym przybyszom, że Legia, będąc klubem wojskowym, wystawiła poborowych, którzy z racji kiepskiej kondycji... nie nadawali się do służby!

Pelé narzekał też na widownię. Wydała mu się zbyt powściągliwa, niemal wyzuta z emocji. Zaskoczył go także brak atrybutów klubowych na trybunach. Zastanawiał się, czy widownię na wizytę gości z drugiej półkuli specjalnie wyselekcjonowano.

Sześć lat później ponownie wystąpił przeciwko Polakom. W Rio de Janeiro, na Maracanie, gospodarze pokonali Biało-Czerwonych 2:1. Ich lider na listę strzelców się nie wpisał, podobnie jak 19-letni Włodzimierz Lubański, który wspominał: „Sposób gry Pelégo, prowadzenie piłki, strzały, podania, poruszanie się po boisku i bajeczna technika – to wszystko ogromnie imponowało. Zdarzały się chwile, że przyglądałem się temu, co robi, miast samemu grać. Ten mecz stanowił doskonałą lekcję futbolu. Tym bardziej że Pelégo trudno było ujrzeć w akcji. Zazwyczaj czytało się o nim w gazetach lub słuchało w radiu, transmisje telewizyjne dopiero raczkowały. Wtedy był bezwzględnie najlepszy na świecie".

GOL W KADRZE

Czterdzieści dwa lata temu miała miejsce premiera filmu wojennego w sportowym sztafażu, zatytułowanego „Ucieczka do zwycięstwa". Obsada błyszczała gwiazdami. Aktorstwa: Amerykanin Sylvester Stallone, Brytyjczyk Michael Caine, Szwed Max von Sydow. Oraz piłki nożnej: Bobby Moore (Anglia), Paul van Himst (Belgia), Osvaldo Ardiles (Argentyna), John Wark (Szkocja), Kazimierz Deyna (Polska) oraz – last but not least – Pelé.

W produkcji pokładano olbrzymie nadzieje, gdyż reżyserii podjął się twórca absolutnie topowy, John Huston, mający w dorobku liczne szlagiery kinowe („Sokół maltański", „Skarb Sierra Madre", „Asfaltowa dżungla", „Afrykańska królowa", „Moby Dick", „Skłóceni z życiem", „Noc iguany", „Człowiek, który chciał być królem"). Fabuła traktowała o niemieckim obozie z czasów drugiej wojny światowej, w którym przebywali jeńcy z rozmaitych armii. Zdawało się to niejako uzasadniać międzynarodową listę wykonawców tego dramatu, zwieńczonego brawurową sekwencją piłkarskiej batalii pomiędzy żołnierzami niemieckimi a uwięzionymi.

„Ucieczka do zwycięstwa" okazała się jednak totalną klapą. Publiczność i krytycy zjednoczyli się w negatywnych opiniach. Oglądając ów obraz z kasety VHS – bo w Polsce Ludowej do kin go nie zakupiono – doceniłem jednak jedną ze scen końcowych: gdy Niemcy tracą gola strzelonego przewrotką przez Pelégo po błyskotliwym dryblingu.

Ponoć ujęcia nie musiano powtarzać. Wciąż prezentował niebotyczne umiejętności, chociaż kilka lat wcześniej ostatecznie kopnął piłkę do kąta. Nastąpiło to w Nowym Jorku, gdzie bronił barw Cosmosu, teamu blednących gwiazd, usiłującego rozpropagować nową konkurencję pośród Amerykanów. Bez większego powodzenia zresztą.

Potem dyskontowano charyzmę sportowca rozmaicie. Promował produkty potężnych konsorcjów, współpracował z Organizacją Narodów Zjednoczonych, komentował mecze w telewizji, piastował stanowiska ministra sportu Brazylii i ambasadora mundialu zorganizowanego w swej ojczyźnie, udzielał się charytatywnie, a nawet zaprojektował obuwie z kangurzej skóry, nazwane na jego cześć King. Wprawdzie bulwarowe media eksponowały rozpad dwóch małżeństw piłkarza i wyrok skazujący na długoletnie więzienie syna, zamieszanego w handel narkotykami, niemniej Pelé pozostawał figurą emblematyczną. Często dawało to wymierne efekty. Na przykład prezenty.

Cenił przede wszystkim te na czterech kołach. To właśnie dzięki niemu volkswagen Garbus i w Brazylii zyskał renomę. Do reklamy tego ikonicznego auta nakłonił go Fedor Wilhelm Weinschenck, reprezentant Polski w narciarstwie z igrzysk w Garmisch- Partenkirchen (rok 1936), żołnierz Wehrmachtu na froncie wschodnim; wzięty do niewoli przez Sowietów kilka lat spędził w syberyjskim łagrze, po zwolnieniu wyemigrował do Ameryki Południowej, gdzie najpierw promował niemiecką motoryzację, a następnie objął funkcję doradcy ekonomicznego władz stanu São Paulo.

„Król futbolu" od kilkunastu miesięcy zmagał się z chorobami. Dokuczały mu zwyrodnienia kolan i bioder, miał chory kręgosłup, szwankował układ moczowy, zmagał się z nowotworem jelita. Fazę pucharową mundialu w Katarze oglądał już na szklanym ekranie w szpitalnej izolatce.

Pelé zmarł 29 grudnia 2022 r. w wieku 82 lat. Jego odejście było newsem dnia od Tokio do Santiago. Prezydent Kraju Kawy, Jair Bolsonaro, ogłosił trzydniową żałobę narodową. Trumnę z ciałem zmarłego przewieziono na płytę stadionu Santosu. Kolejka osób pragnących pożegnać swego idola liczyła ponad dwa kilometry! Oczekujących nie przerażał ponad 30-stopniowy upał.

W ceremonii pogrzebowej wzięli udział jedynie rodzina i najbliżsi przyjaciele. Czy do grobu włożono piłkę?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 480f0f55e5

Adam Zubek

NEOtropiciele

Od czasu odkryć „ojca geologii planetarnej" Eugene'a Shoemakera przestrzeń pozaziemska zaroiła się także od przeróżnych sond i misji mających na celu rozpoznanie natury i zwyczajów większych, mniejszych i najmniejszych planetoid

Eugene Shoemaker za życia nie spełnił swojego marzenia i nie poleciał na Księżyc, ale spoczęły na nim jego prochy FOT. NASA

Dwadzieścia pięć lat temu doszło do najbardziej niezwykłego pogrzebu w Układzie Słonecznym, a zapewne szerzej – we Wszechświecie. Prochy pewnego Ziemianina spoczęły na Księżycu. Eugene Shoemaker, nazywany ojcem geologii planetarnej, niedoszły astronauta, miał kiedyś powiedzieć, że chciałby „choć raz puknąć młotkiem w Księżyc". Można powiedzieć, że jego marzenie się spełniło, bo „pochówek" odbył się w postaci bardzo mocnego „puknięcia" sondy Lunar Prospector (która odegrała tu rolę karawanu) o powierzchnię Księżyca, w rejonie jego południowego bieguna. Gdyby nie przedwczesna śmierć (w wypadku samochodowym), Shoemaker zapewne kilkanaście lat później, a konkretnie 15 lutego 2013 r., poleciałby do Czelabińska, żeby zapoznać się ze skutkami wybuchu kosmicznego bolidu. Był bowiem, wraz ze swoją żoną Carolyn, najbardziej zawziętym i skutecznym tropicielem NEO – obiektów bliskich Ziemi, ciał niebieskich zagrażających naszej planecie.

Źródłem tej pasji były badania, które przeprowadził w słynnym kraterze Barringera w Arizonie, co do którego pochodzenia jeszcze w latach 60. były wątpliwości. Udowodnił ponad wszelką wątpliwość, że krater powstał wskutek impaktu – upadku dużego ciała niebieskiego. Stąd dziś jest nazywany Kraterem Meteorytowym. Od tego momentu ze „zwykłego" ziemskiego geologa przeobraził się Shoemaker w astrogeologa, a jego kandydatura była poważnie rozważana podczas kompletowania załóg kolejnych amerykańskich misji księżycowych. Na przeszkodzie stanęły problemy zdrowotne. Współpracował jednak z NASA nad przygotowaniem misji Apollo, uczestnicząc m.in. w szkoleniu astronautów.

W KSIĘŻYCOWYM PYLE

Wędrował wraz z żoną po wszystkich kontynentach, poszukując śladów dawnych impaktów. Poniósł śmierć w wypadku samochodowym, badając kratery australijskie. Jednej z jego koleżanek, Carolyn Porco, profesor z University of Arizona, natychmiast przyszedł do głowy pomysł – jak mówi – „podarowania Gene'owi Shoemakerowi Księżyca jako miejsca jego ostatecznego spoczynku". „Czułam, że to ostatnia szansa Gene'a na dotarcie na Księżyc i że byłby to odpowiedni i piękny hołd dla człowieka, który był wielką postacią i pionierem w eksploracji Układu Słonecznego" – powiedziała Porco. Zarówno NASA, jak i rodzina z entuzjazmem przyjęły tę inicjatywę i parę miesięcy później kapsuła z prochami Shoemakera znalazła się na pokładzie sondy Lunar Prospector. W ten sposób Shoemaker „uczestniczył" w badaniu geologii Księżyca, gdyż zamierzone uderzenie sondy w powierzchnię Księżyca i wywołany nim obłok posłużyły do badań składu chemicznego pyłu księżycowego.

Niezależnie od poszukiwania i badania ziemskich śladów kosmicznych impaktów zajął się Shoemaker poszukiwaniem potencjalnych intruzów w przestrzeni pozaziemskiej. Od początku lat 70., systematycznie co miesiąc podczas nowiu Księżyca, wraz z żoną Carolyn fotografowali za pomocą kamery w Palomar Observatory te same duże obszary sfery niebieskiej i sporządzali listę planetoid przecinających orbitę Ziemi. Do obserwacji przyłączyły się inne zespoły, zwłaszcza po tym, jak w 1980 r. Luis i Walter Alvarezowie ogłosili swoje odkrycia dotyczące impaktu kredowego (zagłada dinozaurów). Fotograficznymi metodami skatalo-

eprasa.pl 480f0f55e5

gowano ok. 150 planetoid i zorientowano się, że przy tym tempie opracowanie przynajmniej tysiąca planetoid o średnicy większej od 1 km zajmie przeszło 100 lat. Na szczęście w latach 90. ubiegłego wieku, z inicjatywy Toma Gehrelsa z University of Arizona w Tucson, powstał program Spacewatch wykorzystujący elektroniczne urządzenia detekcyjne i szybkie komputery. Dzięki temu podczas jednej nocy można śledzić 600 planetoid, które krążą między orbitami Marsa i Jowisza. W 1994 r. odkryto planetoidę, która minęła Ziemię w odległości zaledwie 105 tys. km. Dziś, po latach obserwacji, ocenia się, że w przestrzeni kosmicznej znajduje się ponad 2 tys. planetoid (tzw. ECA – Earth-Crossing Asteroid) o średnicy większej niż kilometr, których trajektorie przecinają orbitę Ziemi. Prawdopodobnie tysiące takich ciał w Układzie Słonecznym czekają na odkrycie.

KOSMICZNE ZAGROŻENIE

Obiektami bardziej nieprzewidywalnymi, a przez to groźniejszymi, są komety. Co roku odkrywa się wiele nowych komet obiegających Słońce po najróżniejszych orbitach, a wśród nich 80 proc. to tzw. komety jednopojawieniowe, które wracają do Słońca raz na wiele tysięcy czy nawet milionów lat. Dlatego też, zdaniem nieżyjącego już prof. Grzegorza Sitarskiego, polskiego astronoma, specjalisty od mechaniki nieba, jeśli może nas spotkać jakaś niespodzianka, to raczej ze strony komet niż planetoid. Uważa się, że w ciągu ostatnich 540 mln lat, a więc od czasu, kiedy na Ziemi „wybuchło" życie, prawie połowa wszystkich kraterów o średnicy przekraczającej 20 km jest dziełem komet.

Los sprawił, że dane było Shoemakerom, wspólnie z jeszcze jednym astronomem, Davidem Levym, uświadomić Ziemianom poglądowo skalę zagrożenia. W 1993 r., podczas swych nocnych obserwacji w Obserwatorium Palomar, odkryli ogromną kometę (nazwano ją ich nazwiskami). Złożona z 21 kawałków o kilkukilometrowych rozmiarach kometa wyglądała jak rząd płonących latarni. Austen Atkinson, brytyjski dziennikarz – bojownik o sprawę ochrony Ziemi przed zabójczym impaktem – pisał z emfazą, że była prawdziwym znakiem kosmicznej zagłady, ogromnym transparentem z napisem: „Patrz i ucz się, ludzkości!". Kilkanaście miesięcy później, 16 lipca 1994 r., pierwszy fragment komety z prędkością

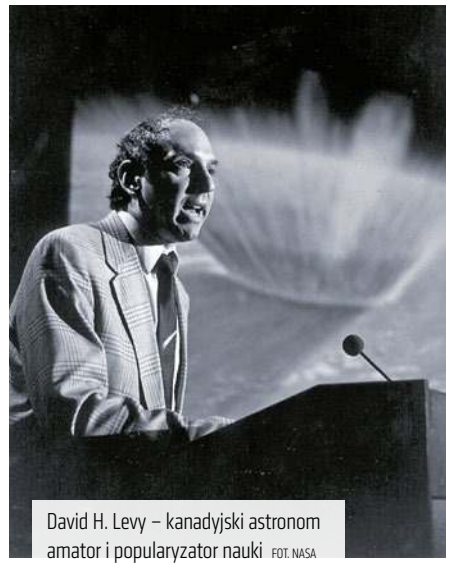

David H. Levy – kanadyjski astronom amator i popularyzator nauki FOT. NASA

60 km/s uderzył w powierzchnię Jowisza. Wywołał eksplozję tak ogromną, że odłamki i strumienie gazów uniosły się 3200 km nad warstwę chmur Jowisza. Kolejny fragment wywołał zaburzenia w całej gazowej powłoce planety, które trwały przez niemal ziemski rok. Ta lekcja nie poszła na marne.

Społeczność naukowa uświadomiła sobie, że to nie są żarty. Że również współcześnie może dojść do impaktu, który zmiecie z powierzchni Ziemi naszą cywilizację. Wdrożono programy poszukiwawcze w wielu obserwatoriach astronomicznych i okazało się, że przestrzeń pozaziemska pełna jest groźnych obiektów. Według aktualnych danych NEAs rozpoznano 858 planetoid o rozmiarach powyżej kilometra, 10 325 powyżej 140 m oraz 30 810 różnej wielkości. W ostatnich latach coraz częściej dochodzi do wykrywania bardzo małych obiektów, o średnicy zaledwie kilku metrów – co na początku poprzedniej dekady było bardzo rzadkie. Nic dziwnego, skoro mnożą się programy poszukiwawcze, które niezależnie od siebie każdej pogodnej nocy „przeczesują" niebo. Pracy jest dużo, gdyż prawdopodobnie planetoid o średnicy mniejszej od 20 metrów może krążyć w pobliżu Ziemi nawet kilkanaście milionów. A czy mogą być one dla nas groźne, niech świadczy przypadek kilkunastometrowego bolidu znad Czelabińska.

Błysnęło, huknęło, zatrzęsło ziemią i ostro dmuchnęło – tak 10 lat temu wyglądało bliskie spotkanie z gościem z Kosmosu nad Czelabińskiem. Bolid rozpadł się na wysokości ok. 30 km, wytwarzając energię 40 razy większą (0,5 megatony TNT) od energii wybuchu bomby atomowej nad Hiroszimą. Były oczywiście znaczne straty materialne i obrażenia ciała u licznych osób. Tak wyglądała kolejna lekcja dana ludzkości przez naturę. Najpoważniejsza od czasu tzw. katastrofy tunguskiej z 1908 r.

NIE JESTEŚMY BEZBRONNI

Na szczęście od czasu odkryć Shoemakera przestrzeń pozaziemska zaroiła się także od przeróżnych sond i misji mających na celu rozpoznanie natury i zwyczajów większych, mniejszych i najmniejszych planetoid.

Jako pierwsza przyjrzała się z bliska obiektom z pasa planetoid między Marsem a Jowiszem sonda Galileo (1989 r.). Bardzo spektakularnym sukcesem była misja NEAR, zakończona w lutym 2001 r. lądowaniem sondy kosmicznej na planetoidzie EROS. Potem amerykańska sonda Deep Impact (2005 r.) „zbombardowała" kometę Tempel 1, co umożliwiło zbadanie jądra komety. Sonda Stardust (2006 r.) dostarczyła na Ziemię próbki materii kometarnej, a japońska Hayabusa (2010 r.) jako pierwsza dostarczyła próbki materii z planetoidy Itokawa. W jej ślady poszła sonda Hayabusa 2, która dostarczyła próbki z planetoidy Ryugu (2020 r.). Podobnie wygląda zadanie amerykańskiej sondy OSIRIS-REx, która powinna powrócić z próbkami planetoidy Bennu we wrześniu 2023 r.

Badacze posuwają się coraz dalej, wręcz ingerując w porządek natury. Oto sonda DART „odważyła się" zmienić kurs pewnej asteroidy (konkretnie księżyca planetoidy Didymos) – w ten sposób 11 września 2022 r. po raz pierwszy udowodniono, że nie jesteśmy bezbronni wobec tego typu zagrożeń. Dlatego amerykańska agencja kosmiczna NASA zaakceptowała nowy projekt NEO Surveyor. Ma to być działający w podczerwieni teleskop, który pozwoli na lepsze wyszukiwanie asteroid przelatujących w pobliżu naszej planety. Start misji zaplanowano na pierwszą połowę 2026 r. i ocenia się, że w ciągu 10 lat NEO Surveyor wyszuka 90 proc. potencjalnie niebezpiecznych planetoid o średnicy większej niż 140 metrów.

Nad bezpieczeństwem planety ma czuwać utworzona kilka lat temu z inicjatywy ONZ sieć IAWN – międzynarodowa sieć wczesnego ostrzegania przed zagrożeniem Ziemi ze strony planetoid. Może choć w tej dziedzinie ONZ wykaże się skutecznością?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 480f0f55e5

TEST „DO RZECZY": MOTOROLA EDGE 30 FUSION

Ładne wzornictwo, wydajny procesor, świetny wyświetlacz AMOLED, szybkie ładowanie i łączność 5G – to najważniejsze zalety modelu Edge 30 Fusion, czyli bardzo dobrego średniaka firmy Motorola.

Ważący ok. 170 g smartfon ma wiele cech, które mogą się podobać. Zakrzywiony wyświetlacz, aluminiowa ramka i matowy szklany tył. Patrząc wyłącznie na design, można wręcz uznać, że Edge 30 Fusion to produkt klasy premium. Całość wygląda elegancko niczym we flagowcach. Jakość wykonania również stoi na najwyższym poziomie. Podobać się może również ekran AMOLED o przekątnej 6,55 cala i częstotliwości odświeżania na poziomie 144 Hz. Maksymalna jasność jest wystarczająca, aby ze smartfona wygodnie korzystać nawet w najbardziej słoneczne styczniowe dni. A filtr światła niebieskiego można zaprogramować tak, aby włączał się i wyłączał o odpowiednich porach. Bardzo dobry jest też czytnik linii papilarnych.

Plusem testowanego smartfona jest wydajny Snapdragon 888+. W połączeniu z 8 GB pamięci RAM typu LPDDR5 smartfon działa płynnie i bez żadnych zgrzytów. Bez problemu można włączyć kilka aplikacji jednocześnie lub włączyć nową grę. Fajną cechą smartfona Motoroli jest też niemal zupełnie czysta edycja systemu Android w wersji 12. Do dyspozycji dostajemy ok. 110 GB pamięci na dane użytkownika (i to tyle, bo w smartfonie Motoroli nie da się jej powiększyć za pomocą karty microSD).

Głównym aparatem fotograficznym o rozdzielczości 50 Mpx, z przysłoną f/1.8 i optyczną stabilizacją obrazu w dobrych warunkach oświetleniowych można zrobić bardzo przyzwoite zdjęcia, zwłaszcza jak na tę półkę cenową. Rozczarowujące są już jednak fotografie zrobione przy gorszym świetle: wówczas pojawia się wiele szumów i nieostrości. W smartfonie do dyspozycji jest również ultraszerokokątny obiektyw o rozdzielczości 13 Mpix i przysłonie f/2.2. Zadowoleni będą też miłośnicy selfie – aparat o rozdzielczości 32 Mpix daje radę. Kręcone za pomocą testowanego smartfona filmiki m.in. dzięki optycznej stabilizacji obrazu są OK, ale szału nie ma. Edge 30 Fusion obsługuje również dual SIM, bez zarzutu działa też moduł NFC. Również dźwięk wydobywający się z głośników stereo jak na smartfonowe możliwości jest dość przyzwoity.

A minusy? Bateria o pojemności 4400 mAh jest przyzwoita, ale mogłaby wystarczać na dłużej niż jeden dzień intensywnego użytkowania. Na szczęście w zestawie znajduje się ładowarka TurboPower 68W, która pozwala na szybkie uzupełnienie energii. Trzydzieści minut wystarczy, aby akumulator znów miał ponad 80 proc. pojemności. Smartfon nie obsługuje jednak niestety ładowania bezprzewodowego. Melomanom brakować może złącza słuchawkowego jack 3,5 mm, z kolei maniacy smartfonowych gier powinni pamiętać, że procesory Snapdragon 888+ mają to do siebie, że mogą się mocno nagrzewać... Choć nawet przy intensywnym użytkowaniu palców nikt sobie raczej nie poparzy. Kolejnym minusem jest niska klasa pyłoszczelności i wodoodporności (zaledwie IP52).

Mimo tych wad testowana Motorola Edge 30 Fusion to niezły średniak. Zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę atrakcyjną cenę, która wynosi obecnie 2499 zł. ©℗

Jacek Przybylski

PRAWDZIWY ŁUK DO WIRTUALNYCH TRENINGÓW

Według różnego rodzaju statystyk mniej więcej ok. 5 proc. z nas udaje się wytrwać w realizowaniu noworocznych postanowień. Tę liczbę poprawić mogą nowoczesne, inteligentne urządzenia, od smartwatchy poczynając, a na gadżetach do fitnessu kończąc. Jeśli więc ktoś postanowił nauczyć się strzelać z łuku, to już teraz na jednym z portali crowdfundingowych może zamówić Wonder Fitter. Zestaw składa się z prawdziwego łuku, który „uzbrojony" jest w strzały z tępymi końcówkami. Jego przewagą nad różnymi kontrolerami, które od lat pozwalają bawić się w ten sport przed ekranem telewizora, jest możliwość amatorskiego lub bardziej profesjonalnego treningu z wykorzystaniem prawdziwego łuku, nauka naciągania prawdziwej cięciwy etc. Oczywiście w rozwoju umiejętności pomaga specjalna aplikacja. Cena: ok. 960 zł. Producent obiecuje dostawy w lutym.

FOTELEM DO PRACY?

Sprzedaż pojazdów elektrycznych idzie tak dobrze, że na niektórych rynkach kolejni producenci zapowiadają ograniczenie ofert tylko do tego typu samochodów. Aby promować swą markę, norweski oddział Volkswagena skonstruował nawet przypominający zwykły biurowy fotel pojazd, który potrafi rozpędzić się do 20 km/h, ma zasięg 12 km, światła LED, klakson, pasy bezpieczeństwa, a nawet system audio i kamerę cofania. Na razie gadżet służy jedynie pokazaniu możliwości technologicznych VW Norway, ale może latem byłby to dobry pomysł na wygodne podróżowanie do biura. Ci, którym zależy na szybkości, wybraliby jednak zapewne JetRacer, czyli „odrzutowy fotel", który dzięki 10 silnikom może rozpędzić się do 250 km/h i osiągnąć wysokość 3 km. Pojazd firmy Zapata ma wejść na rynek w USA już w tym roku. ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 480f0f55e5

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

RYS. MART

Ludźmierz, pierwszy klasztor Podhala

Ludźmierz lub Ludźmirz położony koło Nowego Targu to jedna z najstarszych wsi na Podhalu, miejsce, gdzie powstały klasztor Cystersów i parafia, której dzieje są równie burzliwe jak górskiej okolicy. W roku 1234 biskup krakowski Wisław pozwolił Teodorowi Cedronowi lub Cedrze, wojewodzie krakowskiemu, wystawić tutaj kościół, a także ufundować klasztor Cystersów sprowadzonych z Jędrzejowa i Italii. Ten pierwszy konwent znajdował się nad samym brzegiem Dunajca. Niestety, niedługo zakonnicy mogli cieszyć się spokojem. Klasztor stał się kilkakrotnie obiektem napadów rozbójników, więc w 1245 r. wojewoda przeniósł zakonników do Szczyrzyca, gdzie jednak też nie zaznali spokoju. W 1259 r. najechali ich bowiem Tatarzy, później zaś opactwo było jeszcze wielokrotnie grabione i palone. Z samym zresztą Ludźmierzem i położonym tuż obok Krauszowem związana jest ciekawa legenda. Otóż pewnego razu na polach wsi miała miejsce bitwa z Tatarami, po której zwycięzcy ordyńcy obcięli każdemu poległemu Polakowi jedno ucho. Było ich ponoć tyle, że wypełniły 10 wozów. W miejscu, gdzie je odcinano, stanął później Krauszów, a Ludźmierz tam, gdzie je odmierzano worami.

Cystersi, chociaż przeniesieni, nie porzucili jednak Ludźmierza, utrzymując miejscowy kościół i być może zakładając tutaj szkołę. W 1333 r. wieś została lokowana na prawie niemieckim i obejmowała 16 łanów, karczmę, jatki mięsne, piekarnię, pracownię szewską oraz młyn będący uposażeniem sołtysa. O działającej tutaj szkole mamy skąpe wieści z XV w. i później z roku 1608, kiedy to jeden z łanów

FOT. DOMENA PUBLICZNA

wymieniony jest jako pole dające dochody na utrzymanie rektora. Kościół zaś i probostwo należało do cystersów aż do roku 1824, choć resztę majątku skonfiskowano wcześniej, bo w roku 1782, w wyniku reform józefińskich. Choć wydaje się to niewiarygodne, to stare, drewniane, piętrowe zabudowania klasztorne istniały ponoć w Ludźmierzu aż do roku 1796, kiedy to zostały zniszczone w wyniku pożaru. Tę informację podaje „Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich", należy jednak podchodzić do nich z rezerwą.

Do roku 1869 istniał w Ludźmierzu stary, modrzewiowy kościół, w którym zachowało się bardzo wiele pamiątek i zabytków. Jego ściany pokryte były freskami, w połowie XIX w. już mocno spłowiałymi. Znajdowały się tutaj dwa przenośne ołtarze – Maria i św. Mikołaj, a także malowany na desce przedstawiający Chrystusa na krzyżu i klęczących obok mieszczan nowotarskich. Z kolei za wielkim ołtarzem znajdował się fresk pochodzący prawdopodobnie z XVIII w. i przedstawiający Teodora Cedrę nadającego Ludźmierz cystersom. Przy kościele znajdowały się także dwa dzwony – jeden z 1506 r., a drugi ufundowany w 1795 r. Na kościele była także sygnaturka odlana, jak źle odczytano napis, w 1229 r., a więc jeszcze przed ufundowaniem kościoła i klasztoru. W rzeczywistości była ona znacznie późniejsza.

Najcenniejszym jednak zabytkiem z kościoła w Ludźmierzu była i jest figura Matki Boskiej Ludźmierskiej, która po roku 1869, kiedy wzniesiono nowy, istniejący do dziś kościół, została przeniesiona do niego razem z całym ołtarzem. Dziś jest to miejsce wielu pielgrzymek, święte dla mieszkańców Podhala. Pierwsze przygotowania do koronacji figury miały miejsce już w 1934 r., staraniem ks. Józefa Styrylskiego, przerwała je jednak wojna. Ostatecznie Matka Boska Ludźmierska została koronowana 15 sierpnia 1963 r. przez Prymasa Tysiąclecia kard. Stefana Wyszyńskiego i biskupa pomocniczego Krakowa Karola Wojtyłę, późniejszego papieża Jana Pawła II. Ojciec Święty spotkał się z Gaździną Podhala, jak nazywana jest wspomniana figura, jeszcze dwukrotnie – w latach 1979 i 1997, kiedy to 7 czerwca przybył do sanktuarium w Ludźmierzu.

Figura Marki Boskiej Ludźmierskiej liczy sobie ok. 600 lat. Jak podaje legenda, ok. 1400 r. jej wizerunek ujawnił się kupcowi, który pobłądził na bagniskach i dzięki pomocy Matki Bożej wydostał się z grzęzawiska, po czym został zaprowadzony do kościoła w Ludźmierzu. Wdzięczny złożył śluby, że ufunduje dla świątyni podobną figurkę, co też uczynił. Z Ludźmierzem związanych jest jeszcze kilka postaci. Przede wszystkim jednak właśnie tutaj urodził się Kazimierz Przerwa-Tetmajer, poeta i pisarz, znawca gór, który utrwalił w „Na skalnym Podhalu" i w „Legendzie Tatr" góralski folklor, opowieści oraz legendy Podhala. ©℗

eprasa.pl 480f0f55e5

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Niech żyje bal

W noworocznym przesłaniu usłyszałam bardzo ładne zdanie: „Nie żyjemy sami na tym świecie i na wszystko w życiu jest czas. Jest ważny czas dla rodziny i dzieci, a także dla przyjaciół i bliskich znajomych, bo wspólnie razem tworzymy nasz świat". Zachęcamy zatem, aby w okresie karnawału szczególnie nie zapominać o naszych znajomych, sąsiadach i znaleźć czas na spotkanie towarzyskie w tym czasie.

Polski karnawał nazywany zapustami to połączone tradycje polska i włoska, ze względu na to, że zwyczaj organizowania balów do Polski przywiozła królowa Bona. Niegdyś w karnawale organizowano huczne bale od Trzech Króli do wtorku przed Środą Popielcową, a trzy ostatnie dni nazywano dniami „mięsopustu", czyli czasem, kiedy już odpuszczano mięso. Szczególnym powodzeniem cieszyły się bale przebierańców, bale maskowe, różne zabawy pod specjalnymi hasłami albo po prostu potańcówki.

Karnawał to czas, w którym wręcz zwracano szczególną uwagę na to, jak się prezentowano na balu. Bogata kreacja była obowiązkowa, a piękna maska stanowiła doskonałe wykończenie całości stroju. Przykładano również dużą wagę do tego, co jadano, a musiało być tłusto, słodko i z dużą ilością alkoholu.

W XXI w. nadal organizujemy bale – nie tylko dla samej idei, lecz także często przyświeca im wyższy cel charytatywny. Organizowane są też, zawsze tak niecierpliwie wyczekiwane przez dzieci, bale w przedszkolach i szkołach. My również mamy wspomnienia z dzieciństwa o balach w naszym przedszkolu. Zazwyczaj przebierałyśmy się w strój krakowski, bo taki akurat był, i zawsze wyglądałyśmy pięknie w plecionym wianku na głowie.

Obecnie spotykamy się częściej na domówkach, spotkaniach w mniejszym gronie we własnym domu, ale cel jest zawsze taki sam – dobra zabawa, smaczne jedzenie i doborowe towarzystwo.

Pączki serowe

Proponujemy przepis na pączki serowe – tzw. pączki angielskie – bo z karnawałem szczególnie kojarzą mi się właśnie pączki – mięciutkie, delikatne, puszyste:

• 250 g twarogu • 100 g śmietany 18-procentowej • 2 żółtka • 1/3 szklanki cukru • ½ opakowania cukru waniliowego • 250 g mąki pszennej • 1 ½ łyżeczki sody oczyszczonej • olej do smażenia, ok. ¾ litra • cukier puder do posypania

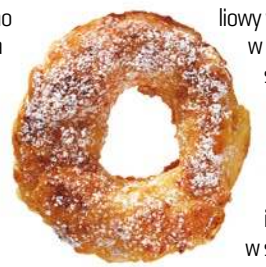

Twaróg, śmietanę, cukier, żółtka i cukier waniliowy wymieszać widelcem w misce, dodać mąkę, sodę i wyłożyć na stolnicę, wyrobić ciasto i rozwałkować. Wycinać szklanką duże koła i kieliszkiem mniejsze w środku albo wyrobić małe kuleczki. Rozgrzać olej do min. 180 st. C. Smażyć jedną partię pączków na złoty kolor przez ok. 2 min z każdej strony. Wyjmować na ręcznik papierowy. Układać na talerzu i posypać cukrem pudrem. Pączki można podawać z kwaśną konfiturą, np. z czerwonej porzeczki. ©℗

FOT. ADOBE STOCK (X2)

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Myśli znad żelazka

Prasując obrusy po Wigilii, pomyślałam, że właściwie mogłabym je oddać do magla. Teoretycznie bym mogła, bo w okolicy, gdzie mieszkam, nie zauważyłam żadnego magla. To dziś usługa równie archaiczna jak kowal. Czy ktoś podkuwa konie? Czy ktoś w ogóle wie, co to magiel? Kiedyś był na każdym rogu ulicy: pełne pary pomieszczenie, w nim spocone kobiety przeciągające płachty prześcieradeł między długimi wałkami. Zanosiło się bieliznę owiniętą w szare płótno zwane maglownikiem i odbierało pościel i obrusy gładkie jak stal, w objętości mniejszej o połowę. Pamiętam z dzieciństwa, że bardzo nie lubiłam świeżej pościeli, była sztywna od krochmalu i wyprasowana na blachę.

Ale kto dziś chodzi z pościelą do magla? Kto w ogóle prasuje? Nosimy coraz mniej włókien naturalnych – sztuczne są nie tylko tańsze, lecz także nie wymagają prasowania. Wyprasowana koszula czy bluzka to przywilej ludzi zamożnych, których stać na personel domowy albo na pralnię, skąd elegancki mężczyzna odbiera swoje robione na miarę koszule w 100 proc. z egipskiej bawełny, a elegancka dama bluzki z jedwabiu.

Pościel z Ikei wystarczy strzepnąć. Obrusy niemodne, zasłony także. Przestaną produkować żelazka? Z opowiadań oraz damskich forów wiem, że prasowanie jest jedną z najbardziej znienawidzonych domowych czynności. Wszyscy kombinują, jakby tu się od tego uwolnić: składać pranie w kostkę na mokro, oddawać do pralni, kupić maszynę, wynająć dziewczynę, przerzucić się na poliester. Zastanawiam się, skąd ta beznadziejna opinia prasowania? Ciche, czyste, mało męczące, rezultat natychmiastowy. Trochę nudne, ale można przecież obejrzeć serial, jeśli w pobliżu jest telewizor, a jeśli nie ma, to posłuchać radia.

– Dziś jest „M jak miłość", może uprasujesz mi parę koszul – powiedział z nadzieją mój znajomy do swojej żony (oboje są lekarzami).

Ale zauważyłam także, że prasowanie uważa się za jakiś luksusowy kaprys i/lub kołtuński przesąd. A już magiel to relikt prehistorycznej i dawno minionej formacji. Gorąc, parujące prześcieradła, nie mówiąc o plotkach i babach, które spędzają tam wszystkie wolne chwile. Po prostu piekło!

W czasach Mieszka i Dąbrówki, czyli w latach 60., mój tata przywiózł z Włoch koszulę non iron. Cóż to był za szpan! Mama zachwycona, że jest oto wreszcie wynalazek, który zmieni jej życie, tata cały modny i zagraniczny. Ale czar prysł po paru dniach. Non iron okazały się obrzydliwym, nieprzepuszczalnym pokrowcem z plastiku i tatuś wrócił do popeliny, a mamusia do żelazka.

I właściwie co się do dzisiaj w tej sprawie zmieniło? Chyba nic. ©℗

eprasa.pl 480f0f55e5

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Szczepionkowy słoń

Znajoma zachorzała ostatnio, i to dość ostro. Pół roku temu, a co dopiero rok temu lub dawniej, popadłaby w ostre covidowe reżimy, kwarantanny i izolacje. W dodatku pewnie z całą rodziną. Dziś postępowanie jest inne, choć to przecież ten sam wirus. Szybko się rozprzestrzeniający i mało śmiertelny. A tu dzisiaj – pod pretekstem, że wirus się cofnął – nie ma już takich procedur, za czym niewielu oprócz paru ultrasów pewnie nie tęskni. Ale taki mamy klimat.

Znajoma udała się więc do lekarza, charcząca, kaszląca i cieknąca. Lekarz, uwaga – przyjął ją osobiście (jednak w maseczce, która jest wciąż niedobitym ostatkiem popandemicznym), co rok temu byłoby niemożliwe, gdyż leczono wtedy telefonami. A to ten sam wirus, przypominam. Fakt jego obecnego niskiego poziomu występowania w społeczeństwie nie ma w interakcji lekarz – pacjent żadnego znaczenia. Rok temu i teraz. Rok temu takich to od razu zabierali kosmici i lądowałeś na covidowym albo w karetce, czekając na test. Chroniliśmy… lekarzy.

Ale co ciekawe… Lekarz nie skierował znajomej na test covidowy. Jak to? To już nie trzeba koniecznie oznaczyć zakatarzonego, by się dowiedzieć, czy ma koronawirusa, i poddać go specjalnej procedurze… No właśnie, czego? Leczenia? Jakiego? Dziś lekarz nie jest zainteresowany tym, czym żyła cała ludzkość. Zacząłem się zastanawiać – dlaczego. I wpadłem na trop.

Zapytałem znajomej, czy była szczepiona. Ta odpowiedziała, że ma cały komplet czterech dawek. I tu był pies pogrzebany. Lekarz jej nie testował, gdy się dowiedział, że pacjentka jest zaszczepiona. Dlaczego tego nie zrobił? Aby nie wyszło to, co już wiemy: że w przychodniach i szpitalach królują (również) covidowi zaszczepieni. A ten fakt obnaża nieskuteczność szczepionek, tak przecież zachwalanych jako jedyne remedium. Najpierw padł – ustami samego producenta – filar, że szczepionka hamuje transmisję i zaszczepiony nie zakazi, a więc wirus padnie. Teraz pada drugi filar. Po tym „solidarystycznym" ten gorszy, bo egoistyczny. Skoro nie szczepimy się dla innych, to szczepimy się dla siebie. Ale tu też, jak widać klops, bo zaszczepieni przeważają w przychodniach i oddziałach zakaźnych. Pal licho, że nie tylko w covidowych, lecz także we wszystkich innych.

Tego fenomenu się nie bada, bo chyba wiadomo, że jest on powiązany z faktem zaszczepienia ludzkości, i chodzi o to, żeby sprawa się nie wydała. A tu medycyna szybko mogłaby zweryfikować źródło tego trendu. I chyba dlatego, że wie, to tego nie robi. Nawet minister Niedzielski posunął się (kiedyś) do herezji, że to wszystko przez to, że – uwaga! uwaga! – w okresie kwarantann i izolacji (co to spadły przecież na nas jak grad z nieba) osłabiliśmy swoją odporność. Wszystko po to, by nie zauważyć szczepionkowego słonia stojącego w sanitarystycznym salonie. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Zrównoważony jak biskup

W lipcu ubiegłego roku na stronach Misyjne.pl przeczytałem, że najbliższe Światowe Dni Młodzieży w Lizbonie będą podporządkowane Agendzie Zrównoważonego Rozwoju 2030. Były też odniesienia do encyklik „Laudato si" i „Fratelli tutti", ale pod tekstem umieszczono grafikę z ilustracjami celów zrównoważonego rozwoju agendy ONZ 2030. Jednym z celów jest tam równość płci.

Nagrałem wtedy felieton, w którym wyraziłem zdumienie, że ewangelizacyjna inicjatywa Jana Pawła II dziś odwołuje się do globalistycznych i antychrześcijańskich programów. Nie da się ochrzcić celów zrównoważonego rozwoju, jak nie da się pogodzić z katolickim nauczaniem programu równości płci. ONZ opiera cel „równość płci" na dokumentach konferencji kairskiej i pekińskiej, gdzie zawarto dostęp do aborcji oraz strategię gender mainstreaming, z kulturową tożsamością płci włącznie. Temat niestety nie został podjęty przez żadne medium katolickie (oprócz PCH24), ale wywołał rezonans w środowiskach obrońców życia.

W grudniu grupa zaniepokojonych rodziców, których dzieci zgłosiły chęć wyjazdu do Lizbony, spotkała się z bp. Suchodolskim, odpowiedzialnym za Krajowe Biuro Organizacyjne ŚDM. Podczas spotkania rodzice się dowiedzieli, że ksiądz biskup już jakiś czas temu wystosował zapytanie do biskupa Lizbony w związku z kontrowersyjnymi elementami programu. Niezależnie od tego rodzice postanowili sami zaalarmować odpowiednią dykasterię Stolicy Apostolskiej i biuro Organizacyjne w Lizbonie. List polskich środowisk rodzinnych zawierał bardzo precyzyjne i szczegółowe odniesienia do dokumentów, obrazujące niegodziwość Agendy ONZ.

Ze zdziwieniem przeczytali odpowiedź. Zaczynała się od zwrotu: „Wasza Ekscelencjo, Drogi Bracie w biskupstwie" i w ogóle nie odnosiła się do merytorycznych zarzutów. Oto próbka: „Wyzwanie zrównoważonego ŚDM w wymiarze gospodarczym, ekologicznym i w aspekcie społecznym muszę podjąć ja i Ty, i wszyscy. Mamy także inne pola współpracy, inne sugestie, takie jak Agenda 2030 Organizacji Narodów Zjednoczonych […]. Agenda jest oknem, jest otwarciem nadziei, aby wszystkie narody świata były gotowe do przebycia pewnej drogi razem […]. Nowa Ekonomia to pilna sprawa, co widzimy w wyzwaniach i marzeniach, które młodzi ludzie chcą realizować w swoim życiu. [...] musimy marzyć, walczyć i być poetami, aby spełnić marzenia […]. Naszą propozycją jest Chrystus Żywy i do tego spotkania jest potrzebne, abyśmy byli zrównoważeni we wszystkich kwestiach, w odniesieniu do wszystkiego".

Pod listem podpisał się Américo Aguiar, biskup pomocniczy Patriarchatu Lizbony, koordynator generalny ŚDM Lizbona 2023.

Na taki rodzaj lekceważenia problemu jest pewien gwarowy zwrot: „rżnięcie głupa". ©℗

eprasa.pl 480f0f55e5

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Uronić łzę nad PKW

Niedobrze. Stop. Ciosy padają z najmniej spodziewanych stron. Stop. 62 proc. Polaków nie chciałoby, żeby Donald Tusk został premierem, gdyby opozycja wygrała wybory w 2023 r. Stop. Teraz najciekawsze: sondaż przeprowadził Ipsos dla TOK FM i OKO.press. Stop. Aż strach pomyśleć, co byłoby, gdyby sondaż zleciła na przykład „Gazeta Polska". Stop. Tusk pewnie musiałby oddać majątek. Stop.

Partia Hołowni, Polska 2050, ma pewien drobny, a dokładniej rzecz ujmując, gigantyczny problem. Stop. Wizerunek transparentnego Szymona, radykalnego wielbiciela zasad i wartości podstawowych, nieco się bowiem znieświeżył. Stop. Najpierw sprawę sygnalizował red. Marcin Dobski, a teraz Państwowa Komisja Wyborcza. Stop. W złożonym w PKW sprawozdaniu finansowym formacja Hołowni nie wykazała żadnych przychodów i wydatków, chociaż w 2021 r. organizowała sporo wydarzeń politycznych. Stop. PKW użyła nawet określenia „patologiczna sytuacja", pisząc o nielegalnym finansowaniu wydarzeń, stworzeniu aplikacji Jaśmina, przyjmowaniu innych wartości i braku rozliczenia codziennych działań statutowych partii. Stop. Czy Szymon uroni łez kilka nad dokumentem PKW, jak ronił nad konstytucją? Stop. Polska zastygła w oczekiwaniu. Stop.

Cokolwiek dzieje się na świecie z pogodą, jest efektem globalnego ocieplenia, tak przynajmniej twierdzą miłośnicy owego zjawiska, które z jakiegoś powodu nazywają naukowo udowodnionym. Stop. Naturalnie, jak jest ciepło, to jest to globalne ocieplenie, a jak jest zimno czy bardzo zimno, to jest to również globalne ocieplenie. Stop. Gdyby ktoś nie rozumiał owej nadlogiki, to jest niemądry i niech milczy, bo pieniądze na globalnym robi się dobre. Stop. W związku z bardzo zimną zimą w USA wiatr zmalał w stanach dotkniętych kataklizmem nawet o 50 proc. i ekologiczny prąd pochodzący z wiatraków jest towarem luksusowym. Stop. W ogóle prąd jest towarem luksusowym i władze proszą, żeby wszystko wyłączać, jeśli tylko można. Stop. Tak sobie to piszę, bo u nas jest ciągle za mało wiatraków. Stop.

Doktorowi Zbigniewowi Martyce sąd lekarski odebrał prawo wykonywania zawodu na rok z powodu jego wypowiedzi na temat COVID-19. Stop. Doktor kwestionował między innymi zasadność szczepienia przeciwko COVID-19 dzieci poniżej 12. roku życia, przymus szczepień przeciw koronawirusowi, obowiązek noszenia maseczek, wprowadzenie lockdownu oraz lekarskich teleporad. Stop. Odnoszę wrażenie, że w telewizji co drugi lekarz mówi teraz podobnie. Stop. Jak ich wszystkich pozawieszacie, to kto nas będzie leczyć? Stop. ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

O dwóch ludożercach

Małgośka, mówią mi, czas jest ludożercą. No ba! Patrzę w lustro i sama widzę, jak ząb czasu mnie nadgryza. Oczywiście 40 lat plus jakiś VAT to nie powód, aby panikować. Zresztą, żadna szanująca się kobieta nie wita nowego roku przesadnie euforycznie. Zwłaszcza taka jak ja, która przysięgła sobie, że będzie się godnie starzeć – dumnie ignorując inwazyjnie oferty medycyny estetycznej. Wiele kobiet daje się oszpecić na życzenie swych partnerów. Mój dzielny Mąż uparcie trzyma się tych samych zeznań, które wypowiadał mi w narzeczeństwie i przed ołtarzem, więc czuję się zwolniona z pogoni za upływem czasu. Zresztą, niestety, silikon nie może wynagrodzić damie, że z każdym rokiem jest bliżej swojej daty śmierci.

My, Polki, i tak jesteśmy uprzywilejowane, bo Hiszpanie często podkreślają, że trudno po nas poznać wiek – tak dobrze konserwują nas zimny klimat i elegancja. Dlatego owszem – ocieplenie klimatu powoduje we mnie pewne obawy, ale daleko mi do szajby Grety Thunberg, która chyba od dawna świruje na myśl o swoich zmarszczkach. Dwa lata temu pewien hiszpański poseł skomentował na Twitterze naszą rozmowę, zaczynając od słów: „Pewna młodziutka dziennikarka z Polski zapytała...", więc zadzwoniłam z pretensją i mówię: „Pan usunie, że »młodziutka«, bo nie będą wiedzieli, że to o mnie chodzi!". Prawda i rzetelność dziennikarska stoją u mnie ponad wszystko!

Historia odchodzenia wielkich ludzi z tego świata uczy, że czas nie jest ludożercą dla herosów ducha. W moich oczach śmierć Benedykta XVI uratowała jakimś stemplem godności ten odchodzący rok naszej małej wojny domowej i tej za wschodnią granicą. Słowa „Jezu, kocham Cię" musiały siłą rzeczy obiec cały ten neopogański świat. Hiszpanie szybko przypomnieli sobie relację swego eksministra spraw wewnętrznych, któremu papież emeryt Benedykt XVI miał powiedzieć w 2015 r.: „Diabeł zna zasługi świadczone przez Hiszpanię Kościołowi Chrystusowemu, zna jej misję, ewangelizację Ameryki, rolę Hiszpanii podczas kontrreformacji, prześladowania religijne lat 30. Diabeł atakuje najlepszych i dlatego szczególnie atakuje Hiszpanię i chce ją zniszczyć".

Oczywiście ilekroć jakiś amigo powtarza mi te słowa, tylekroć coś we mnie się wyrywa, aby licytować dalej: „To nas, Polaków, niszczono i wymazywano z mapy świata, więc widocznie diabeł jeszcze wyżej ocenia zasługi nadwiślańskich katolików!". Ale nie mówię im tego, bo wiem, że potrzebują nadziei i wsparcia, aby stawić czoło prześladowaniom. Czas nie jest ludożercą, szatan – jak najbardziej. ©℗

eprasa.pl 480f0f55e5

GRZEGORZ KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Gilotyna i hakenkreuz

21 stycznia 1793 r. – 230 lat temu – zgilotynowano króla Francji Ludwika XVI. 30 stycznia 1933 r. – 90 lat temu – kanclerzem Rzeszy Niemieckiej został przywódca Narodowosocjalistycznej Niemieckiej Partii Robotników Niemiec Adolf Hitler. Dwie rocznice, które na pozór odnoszą się do wydarzeń niebędących ze sobą w żadnym związku. Na pozór.

Po pierwsze, łączy je gruba warstwa mistyfikacji otaczająca każde z tych wydarzeń. Rewolucyjna propaganda przedstawiała Ludwika XVI jako „krwawego tyrana", niemal kanibala czyhającego z nożem w zębach na każdego Francuza zakochanego w wolności, równości i braterstwie. Tymczasem jeśli czymś zgrzeszył safandułowaty Ludwik XVI, to zbytnią spolegliwością wobec obozu rewolucyjnego. Napoleon już jako cesarz Francuzów wyznał, że na miejscu Burbona zbuntowane Stany Generalne rozpędziłby paroma salwami kartaczy.

Ludwik XVI – władca państwa, które w latach 1776–1783 skutecznie wspierało wojnę amerykańskiej republiki o niepodległość od brytyjskiej Korony – nie zginął za to, co zrobił, tylko za to, kim był. A był Bożym pomazańcem. Reprezentował monarchię chrześcijańską uznającą nad sobą Boży ład. Republika zaś miała być „żarliwą wspólnotą" (Saint – Just), para-Kościołem założonym przez tych, którzy z wysokości trybuny rewolucyjnego parlamentu głosili, że „w naszej mocy jest zacząć świat od nowa".

Wyrok śmierci na Ludwika XVI zapadł większością jednego głosu (361:360) i został poprzedzony farsą procesu, w którym prokuratorem i jednocześnie sędzią był rewolucyjny parlament. Za śmiercią dla swojego królewskiego kuzyna głosował książę Filip Orleański (przed rewolucją stojący na czele Wielkiego Wschodu Francji) zasiadający w parlamencie jako „obywatel Filip Egalite" – członek klubu jakobinów.

Adolf Hitler doszedł do władzy całkowicie lege artis. Nominację na szefa niemieckiego rządu, którą otrzymał 30 stycznia 1933 r. z rąk prezydenta Paula von Hindenburga, poprzedziła seria zwycięstw NSDAP w kolejnych wyborach na poziomie ogólnoniemieckim i lokalnym od 1930 r. To nie był jednorazowy kaprys niemieckich wyborców, którzy w porywie szaleństwa powierzyli los swój i swojego kraju w ręce „czeskiego gefrajtra" – jak o Hitlerze miał wyrażać się Hindenburg. Z wyborów na wybory poparcie dla narodowych socjalistów rosło. Zwłaszcza w okręgach rolniczych i protestanckich w takich prowincjach jak Prusy Wschodnie, Pomorze, Dolny Śląsk, Brandenburgia czy Szlezwik-Holsztyn. Znawcy geografii wyborczej ostatnich lat Republiki Weimarskiej już dawno stwierdzili, że gdyby w latach 1930–1933 w Niemczech głosowali tylko katolicy, Hitler nigdy nie doszedłby do władzy (J. Falter).

Francuscy rewolucjoniści chcieli stworzyć „nową Francję" i „nowych Francuzów". Nawet kosztem regularnego ludobójstwa, którego doświadczyli uczestnicy chłopskiego powstania w Wandei. Nie rozpoznali dobrodziejstwa „rządów cnoty" zaprowadzanych przez „Obywatelkę Gilotynę" i musieli za to ponieść najsurowszą karę. Wszak nie ma wolności dla wrogów wolności.

Narodowi socjaliści dążyli do zbudowania „nowych Niemiec" i wyhodowania „nowych Niemców". Hitler, ogłaszając programową nienawiść wobec bolszewickiej „żydokomuny", jednocześnie w gronie swoich najbliższych współpracowników nie krył swojego podziwu dla Lenina, który w stworzonym przez siebie państwie „nowego typu" uczynił ludobójczy terror stałą metodą rządzenia. Ludobójstwo jako przepustka do nowego, wspaniałego świata – pragmatyka działania wszystkich rewolucjonistów.

Egzekucja Ludwika XVI zapowiadała epokę terroru, w czasie której republika przeprowadziła ostateczne rozwiązanie kwestii wandejskiej. Podczas jednej z debat nad tym, jak w najkrótszym czasie uśmiercić jak najwięcej Wandejczyków, jeden z jakobińskich deputowanych zaproponował użycie gazu. Objęcie władzy w Niemczech przez Adolfa Hitlera oznaczało początek rządów terroru w Niemczech, a po 1 września 1939 r. także w innych europejskich krajach okupowanych przez Rzeszę. W sprawie gazowania jako sposobu masowego mordowania Niemcy, jak wiemy, nie poprzestali na teoretyzowaniu. ©℗

Narodowi socjaliści dążyli do zbudowania „nowych Niemiec" i wyhodowania „nowych Niemców". Ludobójstwo jako przepustka do nowego, wspaniałego świata – pragmatyka działania rewolucjonistów

eprasa.pl 480f0f55e5

REMANENT

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Zrobiłem remanent spraw. Przejrzałem istniejące w Polsce partie polityczne i stwierdzam, że określenie „polska prawica" jest tak samo trafne jak „niemiecka fantazja" i „włoska solidność".

Taki PiS np. zachowuje się bardziej radykalnie niż partia zielonych i od dawna należy do europejskiej sekty klimatycznej: kopalnie skasować, wiatraczki stawiać, a za elektrownię pod czeską granicą kary płacić. Jeśli chodzi o dbanie o suwerenność, to zachowuje się jak PZPR – gwarantem naszej niepodległości jest Bruksela (kiedyś Moskwa), a bratni sojusz narodów to jedyna dopuszczalna forma istnienia RP (d. PRL).

Przedsiębiorstwa najlepiej, aby były państwowe, i im większe, tym lepsze, bo to świadczy o naszej potędze. Koncentracja kapitału w rękach państwa absolutnie nie jest doktryną kapitalistyczną, więc PiS nie jest partią stawiającą na wolny rynek. W kapitalizmie monopole się zwalcza, kapitał lepiej, gdy jest rozproszony i pozostaje w rękach prywatnych, nie państwowych.

***

Rząd też robił remanent i policzył, że w Polsce przebywa 1 mln Ukraińców. Od stycznia wchodzą w życie nowe zasady współistnienia narodów – gdy ktoś wyjedzie z Polski i wróci po miesiącu, od nowa musi się starać o PESEL. To oczywista zachęta, by nigdy nie wyjechali.

Ukraińcy z kolei zrobili remanent u siebie. Podziękowali za przysłane przez Polskę domki kontenerowe w pełni wyposażone w media, ale narzekają, że to dobre na lato, a nie na zimę. Czyli dziękują, ale narzekają. Do niemieckiej fantazji i włoskiej solidności można dodać ukraińską wdzięczność. Nie wiem, czy to muszę tłumaczyć, ale jeżeli ktoś pod choinkę wsadził ci prezent lekko nietrafiony, no powiedzmy krawat i koszulę hawajską, których ty nie chcesz, to co robisz? Idziesz do wujka podziękować i jednocześnie narzekać, że koszula hawajska jest dobra na lato, a nie na zimę, a krawat do hawajskiej nie pasuje nigdy?

Ja bym te kontenery potrzymał do lata, a potem wynajmował na 29 dni – żeby PESEL nie przepadł.

***

Chiny zrobiły remanent i podają dane o 250 mln zakażonych czymś, co sami wyprodukowali w wojskowym laboratorium broni biologicznej w Wuhan. Europa załamała ręce, ale samoloty latają bez zmian. We Włoszech rząd, podobno „prawicowy", jest tak prawicowy, że kieruje przylatujących Chińczyków na kwarantannę. Nie zamyka granicy, nie wywala Chińczyków z powrotem do nadawcy, lecz nadal grzecznie przyjmuje i przyjmuje, i przyjmuje. Hiszpania ma rząd skrajnie lewicowy i robi to samo. Czym te dwa rządy się od siebie różnią? W jaki sposób oba te rządy dbają o SWOICH obywateli? A może te rządy się nie boją pandemii, bo wiedzą, że to tylko teatr?

W polskim Sejmie też się nikt nie boi – widocznie posłowie uznali, że pandemia to farsa. Na głosowanie w sprawie Ziobry przyszedł nawet chory na COVID poseł PO Dariusz Rosati i PO się tym chwaliło! No ale jak to? Chory, zakaża, a przyszedł? Nikt w Sejmie nie kazał go odesłać na kwarantannę? Nikt nie uciekł ze strachu przed zarażeniem? Nikt. Prawdopodobnie wszyscy zaszczepieni i dlatego się nie boją, ale…

Amerykański sanepid (CDC) zrobił doroczny remanent statystyk i publikuje dane, z których wynika, że zaszczepieni umierają na COVID częściej niż niezaszczepieni. Te dane powtarza teraz WHO i wszyscy są bardzo zdziwieni – taka dobra „szczepionka", a wychodzi z remanentu, że przeciwskuteczna. Jak to możliwe? Nasza kochana „szczepionka" obniża odporność?! No… z naszych własnych danych wynika, że, cholera jasna, obniża.

Chciałbym, aby w kontekście tych statystyk remanent zrobił także polski rząd, dla którego WHO była i jest wyrocznią. Rząd promował preparat zwany „szczepionką". Rząd wydał MILIARDY na zakupy preparatu. Rząd odpowiada za złe wyniki, a w tym przypadku „złe wyniki" oznaczają nie tylko niepotrzebne wydatki, lecz także większą liczbę zgonów.

***

Czy polskie MSZ robi jakieś remanenty? Bo zastanówmy się, jakie konkretnie korzyści ma Polska z przynależności do WHO? Wiadomo, ile wynosi nasza składka członkowska. Ale co my z tego mamy? A gdybyśmy nie wpłacali tej składki i by nas docelowo wywalili z WHO, to co konkretnie tracimy? Czy nasza sytuacja jako Polski się zmienia na gorsze czy na lepsze, czy wcale? Po wywaleniu z WHO nie musielibyśmy realizować ich głupich zaleceń. Dostęp do danych WHO nadal byśmy mieli taki sam, bo one są publikowane na oficjalnych stronach ONZ.

Raz do roku warto zrobić sobie taki rachunek, jaki robimy w naszym gospodarstwie domowym: Kochanie, czy w sytuacji, gdy wykupiliśmy Netflix i HBO, jest nam jeszcze potrzebna kablówka? Może jest, ale ile ona kosztuje i ile razy ją oglądaliśmy w ubiegłym roku? A wiesz co, Kochanie, zrezygnujmy z tego abonamentu, to wtedy za kilka miesięcy sami do nas przyjdą z dużo lepszą ofertą, co?

Gdyby Polska wypisała się z WHO, też by przyszli. Zabiegi dyplomatyczne, propozycje, kuszenie, obniżka składki – byle tylko Polska wróciła. Na takie moje gadanie premier pewnie by wzruszył ramionami i powiedział: „Tak się nie uprawia polityki". A ja na to: „No i wielka szkoda".

***

Zrobiłem też remanent wyborczy. Wyszło mi, że katolikowi nie wolno głosować na PiS po tym, jakiego Sylwestra Marzeń nam urządzili. Promocja szatańskiej tęczy (tęcza boska ma siedem kolorów, szatańska sześć) i premier powiedział: „Nie jesteśmy za tym, aby ograniczać jakąkolwiek ekspresję artystyczną zespołów, które wykonują swój program". Nieźle się premier wpakował. A gdyby w ramach ekspresji artystycznej to były opaski ze swastyką lub pieśń na cześć Putina, lub zwyczajnie ściągnięte portki i dupa artystycznie wystawiona do kamery, a na niej namalowane piękne portrety polityków?

Bo gdy ja, w ramach mojej ekspresji artystycznej, podpaliłem na wizji w TVP flagę UE, to mnie bardzo sprawnie wywalili ze sceny. Brudziński wpakował się jeszcze głębiej, gdy powiedział: „Jesteśmy partią tolerancji, szanujemy każdego człowieka. Nieważne są dla nas jego poglądy".

Jeżeli dla partii (jakiejkolwiek) nieważne są poglądy, to znaczy, że jest to grupa interesów, a nie partia ideowa. ©℗

eprasa.pl 480f0f55e5

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY"

W PREZENCIE

KSIĄŻKI

ADRIAN MARKOWSKI: „BIESZCZADY. DLA TYCH, KTÓRZY LUBIĄ CHODZIĆ WŁASNYMI DROGAMI" ORAZ OPRACOWANIE AGNIESZKI MAZUR: KALENDARZ 2023. NAJPIĘKNIEJSZE SŁOWA ŚWIĘTYCH I DOKTORÓW KOŚCIOŁA"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~515 ZŁ~~

216,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 299 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 480f0f55e5

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

CZY POLACY SĄ SKAZANI NA WIELKOŚĆ?

O szansach stworzenia naszego imperium za Polski Piastów oraz I i II Rzeczypospolitej mówią historycy: Jacek Banaszkiewicz, Andrzej Nowak i Mariusz Wołos

Mikołaj Iwanow – **O sowiecko-polskiej wojnie o białoruską duszę**
Piotr Semka – **O wielkim głodzie w Irlandii i na Ukrainie**
Maciej Rosalak – **O grozie Berberów na Morzu Śródziemnym**
Jakub Ostromęcki – **O truciźnie na dworze Króla Słońce**
Sławomir Koper – **O seksie i alkoholu w życiu Kazimierza Deyny**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 480f0f55e5